

De. II. 1.
TOM CCLXIV.

SERYA 9.

ROK 66.

ZESZYT 790.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PAŹDZIERNIK.

1906.

TOM IV. — ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1906.


TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. PROBLEMAT AGRARNY, — przez <i>Wł. Studnickiego</i>	1
2. PAMIĘTNIK, — przez <i>Mariona</i>	28
3. CIAŁA PROMIENIOTWÓRCZE I ROZPAD ATOMÓW, — przez <i>Stanisława Kramsztyka</i>	66
4. AKTUALNOŚĆ CZY SZTUKA, — przez <i>W. Bogusławskiego</i>	83
5. SOKOLNICKI I KRUKOWIECKI, — przez <i>Aleksandra Kraushara</i>	103
6. FELICYAN ROPS, — przez <i>Jana Topassa</i>	133
7. PSALMODYA POLSKA, — przez <i>D-ra Stanisława Turowskiego</i>	146
8. JAN GADOMSKI, — przez <i>Z. D.</i>	160
9. ROZMAITOŚCI (Zjazd niemieckich socjalistów w Mannheim)	166
10. PIŚMIENICTWO:	
DR. STANISŁAW KUTRZEBA, docent uniwersytetu Jagiellońskiego: Historia ustroju Polski w zarysie, — przez <i>A. R.</i>	173
FRANCISZEK MORAWSKI: Z Zachodnich kresów, — przez <i>P.</i>	177
JAN LEMAŃSKI: Nowenna czyli Dziewięćdziesiąt dziewięć dytyrambów o szczęściu, — przez <i>Z. D.</i>	180
11. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Pogrom Siedlecki. — Wzrost anarchii. — Porozumienie stronnictw. — Kultura naszych miast. — Towarzystwo opieki nad pomnikami historycznymi i zabytkami sztuki polskiej. — Biblioteka publiczna	182
12. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	196

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA


Ogólnego zbioru Tom 264.



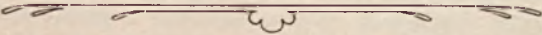
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1906. — Tom IV.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1906.

Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego

BIBLIOTEKA



De. T. 1.

Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego

Rok 1900 - Tom IV

WARSZAWA

Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego

Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego

PROBLEMAT AGRARNY

w guberniach wielkorosyjskich i u nas.

Na istniejącem ustosunkowaniu własności oparły swą egzystencję miliony ludzi, raptowna więc zmiana tych stosunków, jak np. wywłaszczenie wszystkich właścicieli powyżej normy pracy jest podcięciem normalnej egzystencji znacznej części społeczeństwa, ujemnie wpływającem na warunki gospodarcze całego ogółu. A jednak, jak są stany fizyczne, wymagające operacyi, tak mogą być stany gospodarcze, zawierające historycznie narastające nie-domagania o tyle chorobliwe, że wymagają operacyi. Zwolennicy wywłaszczenia w Rosyi mogą twierdzić, że wobec głodów peryodycznie nawiedzających centralną i wschodnią Rosyę, tam wywłaszczenie jest operacją niezbędną, jakkolwiek bolesną, przyczem, wobec panującej tam „obszczyzny,“ jest środkiem urosłym z pojęć ludu. Na razie nie analizując, czy i o ile uzasadnionym jest ów pogląd, musimy zwrócić uwagę na to, że prowincye dawnej Rzeczypospolitej, owej całkiem odrębnej od Rosyi indywidualności historycznej, przez szereg wieków ulegającej pojęciom rzymskiego prawa, z ludnością o zakorzenionych pojęciach własności indywidualnej, nie mogą być odpowiednim gruntem do reform ekonomicznych, dokonywanych nie metodą zachodu, lecz wschodu. Następnie należy pamiętać, że warunki uwłaszczenia w ciągu lat kilkudziesięciu olbrzymi, bezpośredni wpływ wywierają na stosunki agrarne.

Całkiem inaczej odbywało się uwłaszczenie w ziemiach Polski historycznej i w Królestwie, a całkiem inaczej w Rosyi. W Rosyi właściwej rząd miał do czynienia ze szlachcicem rosyjskim, który wedle trafnego określenia pewnego publicysty rosyjskiego, jest urzędnikiem w szlafroku. Wyższy zaś dygnitarz ro-

syjski owych czasów był „szlachcicem w mundurze.“ Reformy włościańskie należało dokonać, gdyż tego wymagała konieczność państwowa, warunki rozwoju finansów państwowych. Ale dokonując reformę, szlachcic w mundurze pamiętał o swym towarzyszu urzędniku w szlafroku. Nie nie stracić, a nawet zarobić na reformie, było dążnością szlachty rosyjskiej, przychylnie przyjętą przez rząd.

Komisya redakcyjna reformy włościańskiej ustanowiła dwie normy nadzieału: maksymalną, powyżej którego odcinano ziemię, znajdującą się we władaniu chłopca, i minimalną, dla której uzupełnienia dodawano mu ziemi, gdy jej nie posiadał w dostatecznej ilości. Przyczem właścicielowi ziemi nadano prawo likwidować wszelkie stosunki ze swymi włościanami, ustąpiwszy im bez wykupu jedną czwartą maksymalnej normy nadzieału; takie nadzieały prawo nazwało *darowiznami* (darstwiennymi), utarła się jednak nazwa, nadana przez życie samo „żebrawce.“ Takie nadzieały spotykamy w rdzennej Rosyi, w ilości dosyć znacznej; ze względów politycznych niepozwolono na nie w ziemiach Polski historycznej.

Właściciel ziemski miał prawo zachować jedną część dawnego szlachecko-chłopskiego obszaru, chociażby przez to naruszone zostały ustanowione minimum i maximum gruntów nadzieałowyc. Owóz im lepsza była ziemia, tem bardziej obcinali właściciele ziemscy rozmiar gruntów chłopskich. W 20 guberniach centralnego czarnoziemiu, wielko i małorosyjskich z 14,8 mil. dzies. z których korzystali chłopci przed uwłaszczeniem, po uwłaszczeniu otrzymali 11,5 mil. dzies. czyli mniej o 22%. W 14 nieczarnoziemnych guberniach wielkorosyjskich zamiast uprzednich 12,60 mil. dzies., otrzymali chłopci 12,45, o 450,000 dzies., czyli o 3—4% mniej. W guberniach małourodzajnych, gdzie ziemia nie posiadała znacznej wartości, właściciele ziemscy chcąc otrzymać znaczniejszą indemnizacyę, ustąpili swym chłopom większą ilość ziemi, niż za czasów pańszczyźnianych, np. w gub. Petersburskiej otrzymali chłopci o 10%, w gub. Permskiej o 15% ziemi więcej.

W 24-ch guberniach opłaty wykupowe były wyższe, aniżeli dochód z gospodarstw; opłaty te przewyższały dochód według znanego statystyka Jansona: ¹⁾

Gub. Nowogrodzka: w większych gospodarstwach	.	180—210%
„ „ w małych	„	. 275—565%

¹⁾ Nie mając pod ręką Jansona, cytujemy powyższą tablicę z pracy p. Ludwika Cybulskiego: „Przyczyny upadku rolnictwa i głodów w Rosyi“ — str. 121.

Dla gub.	Moskiewskiej	205
„	„ Twerskiej	252
„	„ Smoleńskiej	220
„	„ Kostromskiej	240
„	„ Pskowskiej	213
„	„ Włodzimierskiej	276
„	„ Wiackiej	200

Ustawa 19-go lutego 1861 r. nazywa chłopów, którzy wyszli z zależności poddańczej, tymczasowo obowiązanyimi chłopami, pozostawiając pewne zobowiązania włościan względem dawniejszych dziedziców. Ziemię, przyznaną na własność dziedzica, a będącą w posiadaniu chłopą, ten ostatni wykupywał i wykup znosił wszelkie powinności ostatniego względem pierwszego.

Równolegle wydana była ustawa o wykupie, która głosiła, że „drogą operacji wykupu, rząd oddaje pod nabywane przez włościan grunta określoną sumę z rozłożoną na długi termin opłatą.“

Wykup następował na mocy ugody dobrowolnej między właścicielem ziemskim i chłopami (art. 20); wykup obowiązywał chłopów na żądanie właściciela ziemskiego (art. 32). W pierwszym wypadku wynagrodzenie właściciela ziemskiego zależało od umowy i mogło przewyższać zapomogę rządu; w drugim wysokość indemnizacji określała rozmiar wykupu.

Dla określenia rozmiaru sumy wykupu i opłat wykupowych obliczano „*wykupną*“ w sposób następujący: roczny czynsz, ustanowiony właścicielowi ziemskiemu za nadział pozostawiony chłopom, kapitalizował się po 6% rocznie, czyli mnożył się przez $16\frac{2}{3}$. Z obliczonej w ten sposób sumy, właściciel ziemski otrzymywał 80%, gdy włościanie nabywali pełny dział, 75%, gdy nabywali działą zmniejszone.

Bodźcem do domagania się wykupu ze strony właścicieli ziemskich było ich odłuzenie. Z 892,1 mil. sumy wykupowej zatrzymano na spłatę długów w bankach rządowych i prywatnych 316,7 mil., 575,3 wypłacono papierami wartościowemi 5 i $5\frac{1}{2}$ %. Pomimo, że wykup był dla właścicieli ziemskich w rdzennej Rosyi dogodnym, jednak jeszcze w 1883 r. liczono tam spory zastęp „*tymczasowo zobowiązanych włościan*“; zobowiązania ich zlikwidował manifest koronacyjny Aleksandra II.

Imiej polityki względem sprawy włościańskiej przy uwłaszczeniu trzymał się rząd w ziemiach Polski historycznej. Miał tu do czynienia ze szlachtą obcą mu pod względem narodowym, z przedstawicielami innych tradycyj politycznych. Z natury rzeczy musiał próbować oprzeć się na chłopie, częstokroć etnogra-

ficznie nie-polskim, a nawet na terytorium zwartego osiedlenia polskiego, niemal neutralnym politycznie wobec wypadków 1863 r.

Na mocy ustawy z 13/1 marca 1863 r. wykup powinności był obowiązującym w 9 guberniach litewsko-ruskich. Powstanie polskie zmusiło rząd dokonać nadziału z możliwymi udogodnieniami dla włościan. Oddawano dawne działy włościan na mocy inwentarza z 1847 r., przez co zwiększano je znacznie. W rezultacie chłopi Wołynia, Podola, Ukrainy, gub. Wileńskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej i Mińskiej otrzymywali przy usamowolnieniu znacznie więcej ziemi, niż jej posiadali za czasów pańszczyźnianych. Chłopi gub. Mińskiej przy nadziale otrzymali 8 dziesięcin na „duższą,” gdy uprzednio mieli po 5,7 czyli więcej o 40%. Chłopi gub. Witebskiej i Mohylowskiej otrzymali w całości swe dawne nadziały.

Jeszcze bardziej różniła się droga rozwoju, którą szły stosunki włościańskie Królestwa Polskiego i Konstytucya Księstwa ze swą zasadą „znosi się niewola“ zniosła już w 1807 r. poddaństwo chłopskie. Między 1807 a 1846 r., kiedy zostało wydane prawo, zakazujące wcielać grunta chłopskie do folwarcznych, wytwarzał się proletaryat bezrolny. Stał się on naturalnym materiałem ludzkim dla przemysłu powstającego w okresie od 1815—30 r. Zwolniałe tempo gospodarczego rozwoju kraju po zniesieniu konstytucyi Królestwa Polskiego, nie dało możności przemysłowi miejskiemu pochłaniać bezrolnych Królestwa. Powstanie 1863 r. usiłowało zrealizować sprawę uwłaszczenia włościan. Dwoma ważnymi momentami w danej sprawie były: uchwała Towarzystwa Rolniczego z lutego 1861 r. o uwłaszczeniu chłopów na wniosek Tomasza Potockiego i dekrety Rządu Narodowego z 22 stycznia i 21/9 marca 1863 r., nadające chłopom pańszczyźnianym grunta, które były w ich posiadaniu i znoszące wszelkie powinności pańszczyźniane.

11 kwietnia i 2 czerwca wydane zostały dekrety, zawierające sankcyę karną za niewypełnienie. Wskutek tych rozporządzeń włościanie od czerwca 1863 r. faktycznie nie odbywali pańszczyzny. Miało to decydujący wpływ na ukaz 1864 roku, dotyczący uwłaszczenia włościan.

Ukazem 1 marca 1864 r. chłopi polscy uznani zostali niezwłocznie za zupełnych właścicieli ziem, będących w ich posiadaniu. W prawie rozporządzalności swymi nadziałami zostali tymczasowo ograniczeni następującymi dwoma postanowieniami: 1) dom i budynki nie mogły być sprzedawane lub zastawiane odrębnie od ziemi, 2) brać w zastaw i nabywać osady włościańskie mogą tylko włościanie. Komitet rządzący wprowadził oprócz tego przepis, zakazujący dzielenia gruntów chłopskich przy podzia-

łach rodzinnych na części poniżej 6 morgów. W 1891 r. te postanowienia tymczasowe uznane zostały za prawo stałe.

W sprawie zamiany szachownic w majątkach, jeszcze nie urządzonych kolonialnie, i zniesienia serwitutów, ukaz 1864 r. obiecywał określić, przy jakich okolicznościach, niezależnie od woli stron, ziemie mogą być wymieniane i serwituty znoszone na żądanie jednej tylko strony, ale prawo odpowiednie nie zostało jeszcze wydane po dziś dzień.

Gdy sprawa wykupu powinności rozpatrywana była w Komitecie, Milutin zwrócił uwagę na to, że chłop Królestwa Polskiego od początku powstania nie odbywał dziedzicowi powinności i nie płacił żadnych opłat. Uważano więc za stosowne uznać ów stan faktyczny za stan prawny i przyznać chłopom grunta nadane im na własność przez dekrety Rządu Narodowego, nie wymagając wykupu. Na wynagrodzenie zaś właścicieli ziemskich (indemnizacja) podwyższono podatek gruntowy tak na ziemiach drobnej, jak i wielkiej własności. Jest to różnica zasadnicza między reformą włościańską w Królestwie a Cesarstwie.

W 1863 r. w Królestwie Polskiem z 3,613,212 osób ludności wiejskiej było 1,338,827 bezrolnych. W tej liczbie 119,444 rodzin (548,000 osób) komorników, posiadaczy drobnych działków, niekorzystających z ukazu 1864 r. Reforma 1864 r. zaopatrywała ich w ziemię i zwiększała działki przez dodanie gruntów, które, według danych komisji włościańskich, uprzednio były w posiadaniu chłopskim. Grunta tej kategorii szły również na nadział dla innych bezrolnych. Oprócz tego 9,829 rodzin bezrolnych otrzymało nadział ze skarbowych gruntów Królestwa. Po reformie włościańskiej pozostało jednak przeszło 70,000 rodzin bezrolnych.

Dalszy rozwój stosunków agrarnych w Królestwie, na Litwie i Rusi z jednej strony, we właściwej Rosyi z drugiej, był związany nierozzerwalnie z warunkami uwłaszczenia i wogóle historycznymi warunkami tych krajów.

Warunki polityczne państwa rosyjskiego, skrępowanie wszelkich zrzeczeń, samopocy kulturalnej, skrępowanie oświaty przepisani policyjnego państwa w Królestwie, na Litwie i Rusi, były o wiele cięższe, niżeli w Rosyi, kraje te bowiem nie tylko znajdowały się pod presją absolutyzmu, ale cierpiały ucisk narodowy, były też pozbawione organów samorządu lokalnego — ziemstw, które w każdym razie pracowały dla rozwoju oświaty w Rosyi i robiły coś nie coś dla podniesienia kultury materialnej ludności wiejskiej. Pomimo to postęp rolnictwa w Rosyi oraz zmiany w stanie gospodarczym ludności w centrum były bardziej niekorzystne, niż

na kresach. Tu się wylania waga warunków historycznych, które dały jednemu krajom własność indywidualną, drugim — obszczyzny, oraz warunki uwłaszczenia.

Jednym ze wskaźników dobrobytu ludności, czyli raczej stosunku jej sił gospodarczych do ciężaru podatków, jest stopień zaległości podatkowych owej ludności.

		% stosunku zaległości do podatku					
		1881-85	1886-90	1891-95	1896	1897	1898
Gub.	Północne	52 $\frac{0}{0}$	27 $\frac{0}{0}$	25 $\frac{0}{0}$	41 $\frac{0}{0}$	33 $\frac{0}{0}$	30 $\frac{0}{0}$
"	Nadbałtyckie	13 $\frac{0}{0}$	31 $\frac{0}{0}$	33 $\frac{0}{0}$	64 $\frac{0}{0}$	57 $\frac{0}{0}$	64 $\frac{0}{0}$
"	Północno-Zachodnie (Litewsko-Białoruskie)	12 $\frac{0}{0}$	6 $\frac{0}{0}$	4 $\frac{0}{0}$	9 $\frac{0}{0}$	7 $\frac{0}{0}$	8 $\frac{0}{0}$
"	Południowo-Zachodnie	7 $\frac{0}{0}$	15 $\frac{0}{0}$	5 $\frac{0}{0}$	7 $\frac{0}{0}$	7 $\frac{0}{0}$	7 $\frac{0}{0}$
"	Przemysłowe	39 $\frac{0}{0}$	41 $\frac{0}{0}$	76 $\frac{0}{0}$	80 $\frac{0}{0}$	82 $\frac{0}{0}$	86 $\frac{0}{0}$
"	Centralno-Czarnoziemne	32 $\frac{0}{0}$	42 $\frac{0}{0}$	122 $\frac{0}{0}$	127 $\frac{0}{0}$	161 $\frac{0}{0}$	177 $\frac{0}{0}$
"	Wschodnie	71 $\frac{0}{0}$	114 $\frac{0}{0}$	236 $\frac{0}{0}$	201 $\frac{0}{0}$	190 $\frac{0}{0}$	232 $\frac{0}{0}$
"	Południowe	34 $\frac{0}{0}$	40 $\frac{0}{0}$	21 $\frac{0}{0}$	15 $\frac{0}{0}$	10 $\frac{0}{0}$	8 $\frac{0}{0}$
"	Małoruskie	18 $\frac{0}{0}$	37 $\frac{0}{0}$	32 $\frac{0}{0}$	31 $\frac{0}{0}$	30 $\frac{0}{0}$	27 $\frac{0}{0}$

Dane, zebrane z badań t. zw. Komisji centrum (Komisya, która badała przyczyny upadku centrum rosyjskiego) dla Litwy i Rusi. Dane, dotyczące się Królestwa, rozpatrzmy osobno.

Zwiększenie (+) albo zmniejszenie (—) ilości dzies. ziemi nadziałowej i dokupionej na 1000 ludności wiejskiej w 1895 r. w porównaniu z 1875 r.:

Grupy gubernij	Nadziałowej	Dokupionej	Razem	%
Północne	— 58	+ 275	+ 217	+ 8
Nadbałtyckie	+ 331	+ 368	+ 699	+ 120
Północno-Zachodnie	— 429	+ 132	— 297	— 18
Zachodnio-Południowe	— 302	+ 34	— 268	— 26
Przemysłowe	— 330	+ 146	— 183	— 10
Centralno-Czarnoziemne	— 342	+ 27	— 315	— 20
Wschodnie	— 369	— 347	— 816	— 23
Południowe	— 638	+ 140	— 498	— 24
Małorosyjskie	— 182	+ 81	— 101	— 8
Przeciętnie	— 334	+ 30	— 304	— 16

Przyrost ludności w Królestwie oraz Litwie i Rusi wskutek lepszych warunków uwłaszczenia był dosyć znaczny w ciągu lat 20 od 1858—1878 r., okresu, którego przeszło $\frac{3}{4}$ przypada na dobę po uwłaszczeniu.

Przyrost ludności w gub. Kowieńskiej 24%
 " " " Wileńskiej 36,2

Przyrost ludności w gub. Grodzieńskiej	32
” ” ” Witebskiej	35
” ” ” Mohylewskiej	31,6
” ” ” Mińskiej	34

(Statistika wremiennaja, serya III, oddział 10, 1886 r., str. 113 i następne).

Przyrost naturalny w Królestwie od 1862 — 1873 r. wynosił w Królestwie 22,5 i w pierwszym 20-stuleciu po uwłaszczeniu dochodził do 50%. Tymczasem gubernie środkowej Rosyi dały od 6,6% przyrostu naturalnego (gub. Jarosławska) do 14% (Kajuska). Gubernie wielko i małosyjskie od 16% (Tulska) do 27 (Chersońska i Woroneska). Wogóle statystyka centralnego komitetu wykazuje, że między przyrostem ludności włościańskiej w Rosyi, a warunkami uwłaszczenia, istniał w ciągu całego dziesięciolecia nader ścisły związek.

Znaczniejszy przyrost ludności w ziemiach Polski historycznej pogorszył stosunek ludności do ziemi nadziałowej w Królestwie, Litwie i Rusi w stopniu znaczniejszym, niż w Rosyi rdzennej. Wykazują to tablice zamieszczone.

Ilość nadziałowej ziemi w stosunku do ludności wszędzie się zmniejszała w stosunku do ziemi, tylko w gub. Nadbałtyckich widzimy wbrew przeciwnie zjawisko; pochodzi to stąd, że w kraju Nadbałtyckim był dobrowolny wykup gruntów, który trwał dziesiątki lat. Rzecz charakterystyczna, że w kraju Nadbałtyckim widzimy też największy przyrost ziemi dokupionej, nie-nadziałowej. Powyższe fakty wyjaśniają nam, że projekty rosyjskie unarodowienia ziemi, państwowego zapasu i t. p. — nie są popularne w kraju Nadbałtyckim. Pod względem przyrostu ziemi, gub. południowo-zachodnie zajmują przedostatnie miejsce, poniżej ich stoją tylko gub. Centralno-Czarnoziemne. Różne trudności, jakie były stawiane ludności katolickiej południowo-zachodniego i północno-zachodniego kraju przy zakupie ziemi, bezwarunkowo ujemnie wpływały na przyrost własności chłopskiej. Postęp jednak rolnictwa na Litwie i Rusi był znaczniejszy stosunkowo, niż w innych prowincjach państwa, i stosunek ludności rolnej do ilości produktów rolnych, polepszył się w pierwszych prowincjach, pogorszając się w Rosyi rdzennej.

Wykazują to następujące tablice Komisji centralnej.

W tablicy poniższej przyjęto ilość zebranego zboża i kartofli na 1000 ludności wiejskiej, przyczem 3 pudy kartofli przyjęto za pud zboża. Dla okresu od 1861 — 65 r. przyjęto przypadającą ilość zboża za 100, dla innych stosunek przedstawia tablica.

Grupy gubernij	1861-65	1866-70	1871-75	1876-80	1881-85	1886-90	1891-95
Północne . . .	100	82	93	85	89	100	94
Nadbałtyckie. .	100	87	81	85	85	95	102
Półn.-Zachodnie.	100	97	104	115	122	127	120
Poł.-Zachodnie .	100	113	113	123	143	131	129
Przemysłowe. .	100	85	80	80	79	91	79
C.-Czarnoziemne	100	98	101	87	79	82	67
Wschodnie . .	100	119	105	94	109	86	100
Południowe . .	100	124	117	122	123	147	184
Małorosyjskie .	100	109	98	106	101	100	107
	100	102	99	93	95	95	93

Najznaczniejszy postęp rolnictwa wykazują gub. Południowo-Zachodnie 129 i Zachodnie 120; ustępują one tylko gub. Południowym, których rolnictwo rosło, jak na drożdżach, dzięki uprzemysłowieniu tego kraju. Postęp ziem Polski historycznej bez Królestwa, nie jest uwarunkowany rozwojem przemysłu, ten ostatni przejawia się na Wołyniu i Podolu, tylko przez rozwój cukrowni. Ale są to kraje włości indywidualnej, gdy tymczasem „obszczyzna“ rosyjska z jej peryodycznym podziałem gruntu, usuwa chęć wszelkich inwestycyj rolnych.

Otrzymałszy przy nadziale mniej ziemi, niż jej posiadał przed uwłaszczeniem, chłop rosyjski dla zastosowania pracy swej udziałowej w rolnictwie i swego inwentarza, dla tego, aby móżdż wyżyc wraz z rodziną, dzierżawił grunta dworskie. „System przejściowy, utrzymujący w zależności włościian od dworów w formie odrabiania za ziemię uwłaszczoną, podał myśl przeniesienia tych odrabiania na ziemię dzierżawioną”—czyni słuszną uwagę p. Z. Cybulski, 136 str.

W 183 powiatach gubernij ziemskich, włościianie dzierżawią 10,183 tys. dzies. ziemi. Koryszew na mocy tych danych szacuje ilość dzies. dzierżawionych przez chłopów na 50 mil. dzies. dla całego państwa, popełniając tutaj błąd właściwy ekonomistom rosyjskim, wyprowadzanie wniosków dla całości państwa na mocy danych z gubernij rdzennie rosyjskich. U społecznych zwolenników wywłaszczenia przymusowego, spotykamy bardzo często tendencyjną przesadę w cyfrach gruntów dzierżawionych przez chłopów, gdyż fakt ten ma dowodzić potrzeby proponowanej reformy agrarnej.

Komitety gubernialne o potrzebach rolnictwa, które w 1902 r. były powołane przez rząd, udzielają w gub. rosyjskich wiele uwag sprawom dzierżaw. „Całe wsie powstają na ziemiach dzierżawionych”—czytamy w protokołach Komitetu Orenburskiego (str. 51). „Pozbawienie dzierżawców ziemi, którą oni w ciągu wielu lat

dzierżawia, może wtrącić ich w nędzę, wywołać zupełną ruinę (Komitet Połtawski 740, Samarski 392). Niemniej dogodna dla dzierżawców, najbardziej szkodliwa dla rolnictwa, gdyż prowadząca do eksploatacyi gruntów, dzierżawa roczna, zdaniem Komitetów jest w Rosyi rozpowszechniona najwięcej. Komitet gubernialny Saratowski wykazuje, że cechą charakterystyczną dla gub. Saratowskiej jest krótkoterminowość dzierżawy; względnie długoterminowa dzierżawa dogodniejszą jest (kilkoletnia) dla dzierżawców i kosztuje od krótkoterminowej o $\frac{2}{5}$, $\frac{1}{2}$ i $\frac{1}{3}$ taniej. W powiecie Sudańskim przeważającą formą dzierżawy jest płaca od dzies. na jeden zasiew.

Ceny dzierżaw częstokroć są zbyt wysokie. W gub. Połtawskiej, wedle prof. Manuiłowa, dzierżawy przynoszą stratę (?), chłopi dzierżawiają ziemię, gdyż nie cenią swej pracy. W powiecie Orłowskim dzierżawiona ziemia daje 360,369 rb. dochodu brutto; jeżeli odjąć od tego 245,871 rb. czynszu dzierżawnego, pozostaje 114,498 rb.

Bogatsi z włościan często dzierżawiają za gotówkę, a już zawsze dzierżawiają taniej, niż biedniejsi — powiada p. Z. Cybulski ¹⁾, przytaczając dane statystyki ziemstw gub. Saratowskiej i Woroneskiej, wykazujące, że włościanie gospodarujący na ziemi:

do 5-ciu dzies.	płacą za 1 rok dzierżawy	. .	rb. 7 kop. 20
" 15	" " " "	. .	" 5 " 92
" 25	" " " "	. .	" 5 " 62
" 50	" " " "	. .	" 4 " 69
wyżej	" " " "	. .	" 3 " 37

„Cyfry powyższe stwierdzają — pisze Z. Cybulski — że w miarę, jak zmniejsza się majątkowa odpowiedzialność dzierżawcy, a z drugiej strony zwiększa się u niego potrzeba do dzierżawienia ziemi, właściciel ziemski zmusza go do opłacania wyższej dzierżawy. Oprócz tego bogatsi z włościan wydzierżawiają większe przestrzenie ziemi za niższą opłatą, a mając wszystkich w „mirze“ zależnymi od siebie, oddzierżawiają sąsiadom mniejsze działki po cenie podwójnej.

Oddawanie ziemi w dzierżawę, daje możność obywać się właścicielowi ziemi bez inwentarza roboczego.

Z 11,000 majątków, zastawionych w banku szlacheckim polowa nie miała inwentarza własnego zarówno roboczego, jak i użyt-

¹⁾ Z. Cybulski — Ibidem 137.

kowego, a ziemię uprawiali właścianie okoliczni. Jest to fakt charakterystyczny dla rolnictwa rosyjskiego.

W Rosyi wielki właściciel ziemski, którego majątek znajduje się w dzierżawach włościańskich i uprawiany jest za pomocą inwentarza włościańskiego, ma z ziemi rentę, którą mógłby pobierać z kupienia listów indemnizacyjnych, gdyby nastąpiło wywłaszczenie z odpowiednim odszkodowaniem. *Jest to ważny moment ekonomiczny, wyjaśniający stosunek wielu ziemców do zamierzonej reformy agrarnej w Rosyi.*

Odłożenie własności wielkiej w Rosyi jest znaczne. W r. 1886 dług właścicieli ziemskich wynosił 539,600,000 rb. Stworzono wówczas specjalny bank szlachecki, w którym procent z amortyzacji został w 1897 r. obniżony do 4 od sta. Dług szlachty w bankach państwowych rósł w sposób następujący:

w 1886 r.	68 mil. rb.
„ 1892 „	267 „ „
„ 1895 „	351 „ „
„ 1897 „ przeszło.	400 „ „

W tym samym czasie i w bankach rosyjskich dług właścicieli ziemskich wzrósł z 556 mil. rb. do 697 mil. rb.

Do 1-go stycznia 1896 r. właściciele ziemscy wszystkim bankom winni byli razem 1,236 mil. rb., co na jedną dzies. wynosiło 28 rb. W guberniach centralnych odłożenie sięga połowy wartości ziemi (w gub. Kurskiej — 69,51 rb. na dzies. w gub. Tulskiej, Orłowskiej, Tambowskiej i Woroneskiej — 51—46). Gdy tymczasem w Królestwie Polskiem i kraju Nadbałtyckim odłożenie nie sięga $\frac{1}{2}$ wartości. Majątków zastawionych jest procentowo w tych krajach więcej niż w Rosyi, ale odłożenie, wywołane tam częstokroć względami produkeji, zwiększa wartość majątkową. W Rosyi właścivej tylko nieznaczny odsetek szlachty zajmuje się rolnictwem. Stosunek szlachty rosyjskiej do ziemi świetnie scharakteryzował p. Z. Cybulski:

„Tu szlachta nigdy nie reprezentowała interesów rolnictwa, o ile w różnych kwestyach rolnych głos jej był decydującym, zawsze wychodził ze środowiska szlachty, pozostającej na służbie państwowej i opinia jej zawsze była zabarwiona kolorem tego ministerjum, w jakim się służyło. W tej chwili urzędnik państwowy zapominał, że był jednostką składową pewnej prowincyi w państwie, a nawet że był obywatelem kraju. Nigdy więc szlachcie nie bronił interesów rolnictwa i zapewne nie będzie ich bronił nigdy, bo nawet przypuszczając, że kiedyś może nastąpić zcentralizowanie interesów rolniczych w rękach samych rolników, że

z ich głosem państwo będzie się liczyło, to i w tej przyszłości od szlachty, pomimo jej najlepszych chęci, niepodobna oczekiwać niczego; ona tu zawsze ziemi unikała, jej tradycje mało związane są z ziemią, dla dokładnego zaś zrozumienia interesów rolnictwa, należy nie tylko samemu być rolnikiem, lecz trzeba odziedziczyć po dawnych pokoleniach instynkt odczuwania potrzeb warstwy rolniczej. Do wyrobienia tego instynktu tamuje drogę stała nieobecność na wsi właścicieli średnich i większych, którzy nie prowadzą wcale swego gospodarstwa; z liczby średnich właścicieli 58,4%, zaś z większych 86,5% gospodaruje przez dzierżawców, ci zaś, którzy mają gospodarstwo własne, lecz sami są w niem nieobecni, w średnich posiadłościach stanowią 7,9%, zaś w wielkich 45,2%. Tak znaczny odsetek właścicieli ziemskich woli zajmować się służbą państwową, aniżeli pracować na roli¹⁾.

Wyzbywanie się ziemi w Rosyi przez szlachtę, jest zjawiskiem, które zaznaczali wielokrotnie ekonomiści rosyjscy. Od 1863 r. do 1899 r. ilość ziemi szlacheckiej zmniejszyła się w Rosyi z 32 mil. dzies. do 54 mil. dzies.

Wszystkie fakty powyższe czynią zrozumiałym projekt agrarny typu zakreślonego przez kadetów w Rosyi. Odłożenie ziemi ułatwia proces kredytowy indemnizacji; to, że szlachta rosyjska rolnictwem się nie zajmuje, że się wyzbywa chętnie ziemi, osłabia opór, którą ta reforma napotyka. Ale wyjaśniając ów projekt one go nie usprawiedliwiają i pomimo bowiem odłożenia wielkiej własności w Rosyi, papiery indemnizacyjne w razie przymusowego wywłaszczenia zwiększyłyby przepięciony papierami wskutek pożyczek rynek pieniężny o jakie 4 miliardy rubli, przez co papiery te stałyby o kilkadziesiąt procent poniżej kursu i rzuciłyby w otchłań nędzy wszystkich zadłużonych właścicieli ziemskich, pogarszając byt innych, wnosząc długotrwały zamęt we wszystkie sfery życia gospodarczego. Rok rocznie 3½ mil. dzies. ziemi właścicieli prywatnych (nie włościańskiej nadziałowej) rzuca się na rynek, z których 1 mil. dzies. kupują chłopci. Otóż ów fakt mówi, że swobodny obrót ziemi może być czynnikiem reformy agrarnej w Rosyi typu europejskiego, że nie jest i tam niezbędne przymusowe wywłaszczenie. Państwo mogłoby tam skorzystać z podaży ziemi szlacheckiej, z odłożenia szlachty w banku szlacheckim, nabywać grunta przez bank włościański dla prowadzenia planowej akcji parcelacyjnej, tworzenia gospodarstw żywotnych,

¹⁾ Z. Cybulski—Przyczyny upadku włościan i głodów w Rosyi, str. 93.

zdolnych być nosicielami kultury rolnej. Przymusowe wywłaszczenie jest tam zbyt bezużyteczne.

Przymusowe wywłaszczenie jest operacją chirurgiczną gospodarstwa narodowego. Usprawiedliwiać je może konieczność — zasada *salus respublica*. Otóż takiej konieczności politycznej niema, gdyż idea wywłaszczenia wielkich posiadaczy a uwłaszczenia chłopów, jakkolwiek mobilizuje masy do walki, ale walka ta jest bardziej rozkładową, niż twórczą politycznie. Pierwszą jej fazą — palenie dworów, drugą — wzajemne podpalanie chat, spory o ziemię, gdzie jako argumenty wystąpią widły i topory; trzecią — rozrost sfery działania administracji rządowej. Głody, zda się, wskazują na konieczność ekonomiczną wywłaszczenia jednych, uwłaszczenia drugich. Setki miliony rubli, miliony żyć ludzkich, kosztowały Rosyę głody w ciągu ostatnich lat kilkunastu. Są one symptomem choroby ekonomicznej znacznej strefy państwa. Jeżeli potrzebna jest taka operacja chirurgiczna dla uleczenia tej strefy, jak przymusowe wywłaszczenie, pocóż tę operację rozpościerać na inne prowincje państwowe, ranić ich organizmy gospodarcze. O ile jednak wywłaszczenie wielkich posiadłości byłoby środkiem skutecznym na głody, pozostaje kwestyą sporną, wobec tego, iż wielokrotnie skonstatowano, że w latach wielkich nieurodzajów, jak 1891, 1897, gdy urodzaj na gruntach chłopskich spadał do jednej trzeciej, urodzaj wielkich gospodarstw spadał maximum o jedną trzecią, najczęściej mniej. Wspominaliśmy, jak stronią od rolnictwa wielcy posiadacze ziemi w Rosyi, pomimo to urodzaj na ich ziemiach przeciętnie jest o 20% wyższy od włościańskiego i różnica byłaby większa, gdyby niemal połowę przestrzeni wielkiej własności nie stanowiły w Rosyi małe gospodarstwa.

W wydajności najcenniejszego zboża, pszenicy, różnica między ziemią szlachty i chłopską jest jeszcze znacznie większa; dla pierwszej przyjmują przeciętną 80 p. na dzies., dla drugiej 50 — 60 p. Wywłaszczenie więc i nadział obniżyłyby produkcję zbożową Rosyi na setki mil. pudów, co zaciężyłoby dotkliwie tak na konsumpcyi ludności miejskiej, jak na bilansie handlowym i płatniczym Rosyi.

Gdyby źródłem niedomagani chłopów był brak ziemi, to można by mówić, jako o właściwym leku, o wywłaszczeniu wielkiej własności i uwłaszczeniu. Można byłoby tylko zastanawiać się z Czuprowem i Kaufmanem, czy to lekarstwo jest ilościowo dostateczne. Lecz brak ziemi w Rosyi jest względny. W Rosyi wszędzie się skarżą na brak ziemi. „Skargi te, powiada Jermolow, rozlegają się i w Północnym Kaukazie, w stanicach kozac-

kich, gdzie po 20 i więcej dzies. przypada na dorosłego mężczyznę. Dają się słyszeć one i w Syberyi, gdzie dawno osiedli Sybiracy z niechęcią patrzą na przybywających kolonistów. Skarżą się też i w gub. Permskiej i Ołonieckiej, gdzie spotykamy nadziały po 40 dzies. które są utylizowane w nieznaczonej tylko części¹⁾. Otóż poczynając od krańców wschodnich Rosyi Europejskiej i jej ziem azyatyckich—krajów o rzadkiej ludności, wielkich obszarach, którymi rozporządza ludność włościańska, przechodząc do ziem centralnego czarnoziemiu lub przemysłowych, wszędzie istnieje w Rosyi względny brak ziemi, względne przeludnienie w rolnictwie. Ziemi brak przy kontynuowaniu dawnych systemów rolnictwa. Mało jest przeciętnych 23,8 dzies. na gospodarkę dla gub. Ufimskiej, która nie przeszła jeszcze do nawożenia pól, jak również mało 9,9 dzies. w gub. Włodzimierskiej, 9,3 w Penzeńskiej, która nie może rozstać się z trójpółwką.

Zwiększenie natężenia rolnictwa w Rosyi na gruntach drobnej własności, równałoby się zwiększeniu ziemi włościańskiej. Postęp rolnictwa nie jest rzeczą łatwą, wymaga odpowiedniej polityki ekonomicznej ze strony państwa, wymaga odpowiedniej akcji ze strony organów prowincjonalnych, bardziej znających potrzeby lokalne, wymaga nie zarządów biurokratycznych, ale samorządów prowincjonalnych. Otóż ponieważ postęp rolnictwa jest z natury rzeczy sprawą lat wielu, wypełnionych odpowiednią pracą, więc zdaniem większości publicystów rosyjskich dla niezwłocznego ratowania chłopca trzeba dać mu ziemię, nadziei uzupełniająca. Byłoby to poniekąd słusznem, gdyby chłopcy w Rosyi na ogół mieli ziemi w ilości nie pozwalającej zaprowadzenia postępu rolnego. Tak jednak nie jest.

Chłopi mają przeciętnie na gospodarkę	desiatyn
W centralnym czarnoziemnym pasie	9,2
We wschodnich i południowo-wschodnich.	24,3
Centralnych nieczarnoziemnych	9,3
Nadjeziornym (Petersburska, Pskowska, Nowogrodzka, Ołoniecka)	17,3
Przyuralskich	17,4
Północnych	14,6
Małoruskich (Charkowska, Połtawska, Czernihowska)	7,6
Noworosyjskich	9,9
Białoruskich	10,5

1) Jermolow. Nasz poziemielnyj wopros.

	desiatyn
Litewskich	11,0
Południowo-Zachodnich	5,9
Królestwo Polskie	6,2

Otóż prowincye dawnej Rzeczypospolitej, do Rosyi należące, nie posiadają na ogół na gospodarke chłopską więcej ziemi; przeciwnie, Królestwo i kraj południowo-zachodni ma ziemi znacznie mniej, grunta ich, z wyjątkiem tylko południowo-zachodniego kraju, pod względem urodzajności naturalnej stoją znacznie niżej od centralno-czaroziemnych, matorosyjskich i południowo-wschodnich gub., jednak nie przedstawiają obrazu tego upadku ekonomicznego, co tamte kraje, (upadku gospodarczego nie przedstawia też Nowo-Rosya).

Wprawdzie przeciętna liczba nie jest częstokroć typową liczbą, może ona być wynikiem grup gospodarczych bardzo różniących się wzajem od siebie. W 36 rdzennych rosyjskich guberniach liczono w okresie uwłaszczenia 677,222 tak zw. „darstwienników,” którzy otrzymali $\frac{1}{4}$ nadziału i przestrzeń ich ziemi wynosiła 502,378 des. Obecnie ilość ich szacuje Jermołow na 1 milion. Jest to kategoria najbardziej potrzebujących pomocy włościan. Włościan, którzy otrzymali od $\frac{1}{4}$ do $\frac{1}{2}$ wyższego nadziału w 35 $\frac{1}{2}$ gub. Rosyi liczy się 921,726 dusz rewizyjnych, posiadających 1,530,000 dzies., t. j. mniej, niż 2 dzies. na „duszę rewizyjną.“

Istnieje więc liczna kategoria włościan matorolnych, których byt jest szczególnie ciężkim. Sprawą ich winny zająć się odpowiednie organy publiczne. Jakie będą metody polityki ekonomicznej, zastosowane w tych guberniach, to ich rzecz. W każdym razie tu warunki miejscowe, pojęcia prawne ludności, jej tradycye historyczne—wszystko to winno być uwzględnione. Stąd też *nie unifikacyjne centralne organy państwowe, ale fragmenty państwowe, samorząd prowincyi, powołany do życia ze względów na potrzebę reform ekonomicznych, są tu najodpowiedniejszymi organami.*

Wspominaliśmy wielokrotnie, że ziemie Polski historycznej, jako nie znające na ogół własności gminnej, nie znające tych wad uwłaszczenia przy zniesieniu pańszczyzny, które rozpowszechniły się w Rosyi, wskutek wpływu szlachty rosyjskiej, rozwijają się pod względem gospodarzem znacznie prawidłowiej i *nie potrzebują tej operacji chirurgicznej, która stanęła na porządku dziennym w Rosyi*, a której skuteczność może być kwestyonowaną. Ziemie b. Rzeczypospolitej, posiadane obecnie przez Rosyę, składają się z trzech typów gospodarczych: krajów południowych, jakbyśmy je nazywali, południowo-zachodnich według terminologii rosyjskiej,

sześciu gubernij litewsko-białoruskich, które nazwiemy Litwą historyczną i Królestwa Polskiego. Kraje te różnią się stopniem ekonomicznego rozwoju i gęstością zaludnienia.

Królestwo liczy	74	na	wiorstę	kw.
Południowe kraje	58	"	"	"
Litwa	40	w	litewskich	i 26 w białoruskich gub.

Kraje te dają znaczniejszy przyrost naturalny, niż państwo rosyjskie:

Południowe	2,84%
Litewsko-Małoruskie	2,10%
Królestwo	1,70%
Państwo rosyjskie	1,38%

Przyrost ten jest wynikiem szczęśliwego stosunku cyfry urodzeń do śmiertelności, zwłaszcza mniejszej śmiertelności.

Z krajów tych tylko Królestwo uważane jest za przemysłowe, kraje południowe posiadają tylko jedną gałąź przemysłu związaną z rolnictwem, jak: cukrownictwo, gorzelnictwo i t. p. Litwa historyczna jest wyłącznie krajem rolniczym.

Cukrownictwo południowego kraju przedłuża znacznie sezon pracy rolnej, stwarzając zarobek dodatkowy dla włościan. Zarobek na polach wielkiej własności przy burakach jest tak znaczny, że desiatyna ziemi buraczanej wielkiego właściciela daje chłopu więcej zarobku, niż jego desiatyna na działce.

Kraj południowy, to kraj fortun magnackich, olbrzymich latyfundiów. Są one pod względem gospodarczym zbyt duże, gdyż majątki 500 dziesięcinowe są już całkiem dostatecznie wielkie, aby być pionierami kultury rolnej i dostarczać buraków cukrowniom. Gospodarki około 500 dzies. są w kraju tym produkcyjne i żywotne, stąd przeważają tu dzierżawy znacznych rozmiarów. Wskutek znacznej ilości gospodarstw wielkich, klasa oficyalistów wiejskich jest w kraju tym bardzo liczna.

Likwidacya latyfundiów na rzecz znaczniejszych dzierżawców, stworzenie obok nich drobniejszych folwarków, polepszenie bytu włościan przez komasacyę gruntów, zniesienie szachownic, parcelacya pól dalszych, zniesienie podatku rolnego od małej własności (do 10 desiatyn) i ustanowienie postępowego podatku rolnego wzrastającego w miarę obszaru, w celu pobudzania do parcelacyi latyfundiów i dalszych pól folwarcznych, najczęściej gorzej uprawnych—oto reformy, które by mogły przynieść rzetelną korzyść temu krajowi.

Część tych reform może być wywołana przez akcyę ratunkową właścicieli ziemskich wobec projektu wywłaszczenia. Ważnem

jest tu zwiększenie ilości właścicieli ziemskich, począwszy od średniej do wyższych kategorii drobnej własności dla stworzenia liczniejszego zastępu, któryby mógł przeciwdziałać akcji wywłaszczenia. Oprócz tego właściciele latyfundiów winni pamiętać, że, gdyby przyszło wywłaszczenie ogólne, oni, nawet przy otrzymaniu indemnizacji, stracą jakieś 60—70% wartości swego funduszu, już to wskutek t. zw. „słusznej oceny,” już przez niski kurs tych listów indemnizacyjnych. To też przelewanie własności na dzierżawców i oficyalistów na dług, zabezpieczone zastawem, jest dla nich rzeczą dogodną. Następnie należy powołać do życia instytucję kredytową, długoterminowego kredytu amortyzacyjnego dla spłaty zastawów prywatnych.

Reformy podatkowe dla ulżenia jednym formom własności, a usunięcia niepożądanych, mogłyby być najlepiej zaprowadzone przez samorząd lokalny, wyposażony w odpowiednią kompetencję podatkową.

Projektowane zaś uwłaszczenie przymusowe, ustanowienie norm spożywczych lub norm pracy własności ziemskiej, byłoby klęską ekonomiczną dla tego kraju, gdyż obniżyłoby jego kulturę gospodarczą, pozbawiłoby go produkcji cukrowniczej. Kraj stałby się widownią nędzy i musiałby się wyludnić.

Pod względem kultury rolnej Litwa historyczna stoi o wiele niżej od kraju południowego. Jest to kraj, gdzie panuje jeszcze trójpolówka, tylko ze względu na staranniejszą uprawę rolną, lepsze umierzwanie pól, używanie nawozów sztucznych, większego rozpowszechnienia się pługów i ulepszonych narzędzi rolnych, kultura rolna tego kraju jest wyższa, niż w centralnych guberniach Rosyi.

Postęp gospodarczy Litwy historycznej jest wprost wynikiem jej dziejowej tradycji, tej kilkuwiekowej kultury rolnej, która zapoczątkowywała się i rozwijała pod wpływem polskim, posiłkowana polską kolonizacją rolną.

Od uwłaszczenia włościan tego kraju, reformy pomyślnej dla stanu włościańskiego, cała polityka ekonomiczna państwa, nie uwzględniała jego interesów. Przyływ z Królestwa kolonistów Polaków, nosicieli wyższej kultury rolnej, był zatamowany. Prawo zabraniające kupna ziemi Polakom, nie tylko przybyłym z Królestwa, ale zamieszkałym od szeregu pokoleń w tym kraju, tak dalece ujemnie wpływało na obrót ziemią, że typową jej sprzedażą była tylko przymusowa sprzedaż na licytacji. Szedł najczęściej na sprzedaż majątek zrujnowany, nabywca dewastował go ostatecznie, trzebił lasy, częstokroć parki i ogrody. Włościanin katolik

był skrepowany w nabywaniu ziemi, potrzebował uprzednich starań, świadectw administracyi, której agentów musiał opłacać. Oprócz tego prawo stawia chłopu normę 60 dzies., po za którą nie może on nabywać ziemi.

„U nas najczęściej sprzedaż majątku dokonywuje się drogą sprzedaży przymusowej „z licytacji“—czytamy w pracach Komitetu miejscowego gub. witebskiej (wyd. w 1903 r. w języku rosyjskim str. 38).

Kraj ten był i jest pozbawiony odpowiednich instytucyj kredytowych.

Tylko właściciele Rosyanie mogli korzystać z taniego kredytu banku szlacheckiego.

„Przyczyniłoby się u nas bardzo do stania kredytu długoterminowego, — czytamy w referacie Komitetu gubernii Wileńskiej, — prawo otwierania u nas Towarzystw Kredytowych ziemskich na wzór istniejących w Królestwie i banków miejscowych typu gubernij nadbałtyckich. Te instytucje kredytowe, działające na zasadach wzajemności, dostarczają swym dłużnikom pożyczki na warunkach, znacznie korzystniejszych, niż nasze akcyjne banki ziemskie. Np. Wileński bank ziemski przy pożyczkach, wydawanych na 61⁸/₁₂ roku pobiera procentów 5,75, przy pożyczce 66-letniej opłata zmniejsza się o $\frac{1}{2}\%$ i stanowi 5,25 rocznie, do tego należy dodać nadmierne kary przekroczeń terminowych, dochodzące do 12% i wydatki na pokrycie opłat stemplowych. Dłużnicy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Warszawie całkiem z innych warunków pożyczek korzystają; tu pożyczki wydawane są na termin znacznie krótszy, na lat od 31 $\frac{1}{2}$ do 38, pomimo to procent, który otrzymuje Towarzystwo razem z amortyzacją dochodzi 5,5, tak że na korzyść banku dłużnicy nie płacą nic, gdy w Wileńskim opłata ta wynosi pół % rocznie, kary za przekroczenia terminu, w Warszawskim dochodzą tylko 6%. Nie mniej dogodnym jest Kreditverein Kurlandzki.

Zadnych melioracyjnych instytucyj, w rodzaju biura ulepszeń rolnych w Dorpacie, zorganizowanego przez bank ziemski libawski, Litwa historyczna nie zna. Bardzo częste były wypadki, że drogi kredyt bankowy bywał tam przez ziemian zmarnowany, użyty jaknajnieprodukcyjniej.

Będąc pozbawione samorządu, wszystkie gubernie Litewsko-Białoruskie, jak i kraj południowy, są pozbawione dróg podjazdowych. Według obliczeń inżyniera Wulferta, gubernia wileńska płaci za przewóz po swych nędznych drogach gruntowych 4,620,000 rb., gdy tymczasem przy przeobrażeniu ich w drogi bite, transport

jej produktów kosztowałyby 1,248,648 rb., czyli wydaje zbyt znacznie 2,371,352 rb. Taryfa kolejowa rosyjska, zmniejszająca się w miarę odległości, stwarza uciążliwą komunikację dla prowincyi wyższej kultury rolnej przez przerzucanie na ich rynki wewnętrzne zboża z prowincyi o bardziej rozciągniętej kulturze. Odczuwa to boleśnie Królestwo Polskie, skarży się też na to Litwa historyczna: „Do Wilna — czytamy w referacie Wileńskiego Komitetu gubernialnego—przywozi się z naszej gubernii około 200 pudów zboża, tymczasem gubernie innych stref dostarczają tu przeszło milion pudów. To przepelnienie rynków miejscowych obcem zbożem—zjawisko ogólne dla całego naszego kraju—tłumaczy się tem, że dzięki rozwojowi sieci kolei żelaznych i niższym taryfom na przewóz zboża do wewnętrznych naszych gubernij, rozwinęło się ostatniemi czasy na kresach wschodnich zaorywanie nowych pól, przyczem produkcya odbywająca się najpierwotniejszemi, a więc najtańszemi sposobami, opłaca się, dzięki naturalnej urodzajności gleby. U nas przeciwnie, jakość ziemi jest daleko gorszą, a wyższe pod względem kultury rolnej gospodarstwo wymaga znacznych nakładów. Koszt produkcyi puda żyta kosztuje w gub. Wileńskiej 54,1 kop., przewóz po kolei żelaznej na przestrzeni 50 wiorst 1,47 kop., od 50 — 150 w. — 4,41 kop. razem więc od 55,48 kop. do 58,57 kop.; w gub. Tulskiej produkcya puda żyta kosztuje 25,1 przewóz puda na przestrzeni od 1650—1750 w. 24,92 kop. razem więc 50,92 kop.

W kraju przemysł młynarski rozwija się nader słabo, gdyż szkodzą mu taryfy rosyjskie. Istniejąca jednakowa co do rozmiaru taryfa przewozowa dla zboża w ziarnie i mąki, jest środkiem sztucznym, ustanawiającym premium dla poparcia młynów Rosyi wschodniej. Przy zmieleniu żyta odchodzi około 30%, przy zmieleniu pszenicy około 25% otręb, dla których taryfa przewozowa obniżona o 2—3 $\frac{3}{4}$ kop. od puda, zależnie od przestrzeni. Przy porównaniu więc przewozu zboża i mąki okazuje się, iż przewóz jednego puda mąki w ziarnie kosztuje o $\frac{2}{3}$ —1 $\frac{1}{4}$ kop. taniej, niż przewóz puda mąki w ziarnie, a ponieważ za zmielenie puda mąki pobiera się na Litwie 5—7 kop., stąd premium młynarskie Rosyi wschodniej wynosi od 10—21% dochodu brutto młynów litewskich¹⁾.

Rzadka stosunkowo ludność, brak kredytu, brak dróg podjazdowych, słabo rozwinięta i nielicząca się z potrzebami kraju sieć kolejowa—wszystko to stanowi szereg okoliczności nieprzyjaznych

¹⁾ Prace komitetów miejscowych o potrzebach przemysłu rolnego. Gub. Wileńska 1905 r. (w jęz. rosyjskim).

dla uprzemysłowienia kraju. Dodajmy do tego zakaz, który ciążył do roku zeszłego na Polakach, co do kupna ziemi pod miastami i do dziś ciąży na Żydach (Polacy jak wiadomo otrzymali w kwietniu roku zeszłego prawo nabywania ziemi od Polaków) —jednym słowem na tych, którzy są nosicielami kapitału kraju, a zrozumiałą jest rzeczą, jak utrudnionem było na Litwie powstawanie fabryk po za miastami.

Istnienie serwitutów i szachownic ciąży do dziś dnia na postępie rolnictwa tego kraju, wszystko to konserwowano ze względów politycznych.

Nie posiadając rozwiniętego przemysłu rolnego, Litwa posiada niewielką ilość gospodarstw znaczniejszych. Majątki są podzielone na małe stosunkowo folwarki, których znaczna część znajduje się w dzierżawie szlachty zagonowej, ale już bezziemnej. Poszczególne dzierżawa wynosi od 50 — 200 dzies., które dzierżawca uprawia przy pomocy własnej rodziny oraz parobków.

Gdy wywłaszczenie przymusowe w kraju południowym dałoby największy zastęp poszkodowanych w oficyalistach wiejskich, w gub. Litewsko-Białoruskich główny zastęp poszkodowanych stanowiliby dzierżawcy. Tu jednak przeobrażenie znacznej ilości dzierżawców we właścicieli zastawianych folwarków, wypłacających bankowi o 10 procent powyżej tego, co dziś oni płacą, jako czynsz dzierżawczy—byłoby łatwiejszem, gdyż znaczna stosunkowo ilość takich klientów bankowych zmniejszyłaby jego ryzyko. Dzierżawy są tu wycenione, ale moment psychiczny gospodarzenia na własnym gruncie uczyniłby wydajniejszą pracę dzierżawcy i dałby mu możność uiszczenia rat z amortyzacyi. Powstała dla regulacyi stosunków agrarnych instytucya kredytowa musiałaby nie posiadać lichwiarskich cech wileńskiego banku kredytowego ziemskiego.

W ciągu ostatnich lat 40-tu na Litwie historycznej społeczeństwa właściwie nie było. Wszystko było rozatomizowane. Była praca jednostkowa dla zapewnienia sobie i swej rodzinie dobrobytu, ale nie było pracy społecznej, polityki ekonomicznej zrzeszeń dobrowolnych, organów samorządnych. Obecne kraj osiągnąć to musi, co winno zwiększyć tu skuteczność pracy tak rolnika, jak i przemysłowca.

I oto, kiedy okres wydajniejszej pracy jednostek, przez możliwość pracy społecznej, wydaje się już blizkim, odgłosy zamieszek agrarnych w Rosyi mącą stosunki tego kraju.

Chłopi t. zw. gubernij Zachodnich, pomimo przeszkód stawianych im przez krępujące prawodawstwo wyjątkowe, nabywali grunta.

Tak w gub. Wileńskiej

	Zwiększyła się przeźren grunfów	W tej liczbie kupionych przy pomocy banku włośc.	
1) 1863—83	70		
1883—95	157,2	26,9	17,11
1896—99	30,5	16,2	53,11
	<hr/> 257,7	<hr/> 43,1	
2) Grodzieńska			
1863—83	50,9		49,51
1883—95	82,0	40,6	
1896—99	36,3	22,5	61,98
3) Kowieńska			
1863—83	49,1		12,98
1883—95	84,1	10,9	
1896—99	20,4	5,6	21,21
4) Witebska			
1863—83	47,0		
1883—95	741,4	51,9	29,76
1895—99			
5) Mińska			
1863—83	40,7		
1883—95	284,4	138,0	48,52
1895—99	123,2	95,9	77,84
6) Mohilewska			
1863—83	56,6		
1883—96	361,3	207,9	57,54
1891—99	77,7	73,7	94,75

Bank włościański został otworzony 1883 r., stąd tylko w dwóch następnych okresach włościanie korzystali z jego pożyczek.

Zbyt jednak drożym był kredyt tego banku, zbyt wadliwa polityka jego, aby się mógł stać skutecznym czynnikiem reformy agrarnej. Tu potrzebnąby była instytucja inna, oparta o samorząd kraju.

Rozwijając się gospodarczo, pomimo ciężkich warunków ludność włościańska t. zw. Zachodniego kraju, nie potrzebuje rewolucji agrarnej dla bardziej pomyślnego rozwoju, ale normalnych warunków politycznych, szerokiego samorządu krajowego i lokalnego.

Kraj ten nie jest bynajmniej przeludnionym i jego emigracja na Syberję, jest objawem anormalnym. W 1900 r. prze-

siedliło się na Syberyę 15,078 rodzin, z których wróciło napowrót 6,750¹⁾.

Kraj ten może przyjąć nawet pewną ilość kolonistów, blizkich jego ludności, będących nosicielami wyższej kultury rolnej. Gdy koloniści ze wschodu, wdrożeni do kultury mniej natężonej, mogą zwiększyć przeludnienie tego kraju; koloniści z Królestwa, przyczyniając się do podwyższenia kultury rolnej, mogą przeciwdziałać względniemu przeludnieniu kraju.

Pionierami i nauczycielami rolnictwa na Litwie historycznej była ludność Polski etnograficznej, od wieków gęściej zaludnionej, utrzymującej żywsze stosunki z Europą Zachodnią. Dziś znacznie uprzemysłowienie i wyższy stopień ekonomicznego rozwoju Królestwa, uwarunkowany jest nie tylko w dwójnasób gęstszą ludnością, ale i takimi faktami historycznymi ostatniej doby, jak zniesienie poddaństwa 1807 roku, czyli o kilkadziesiąt lat przedtem niż na Litwie, stuletniem niemal działaniem Kodeksu Napoleona, okresem odrębności prawno-państwowej Królestwa od 1815-31 r., z którego spuścizny korzysta Królestwo po dziś dzień, наконец, bogatymi pokładami węgla w pobliżu granicy zachodniej. Zaprowadzenie cła w złocie w 1876 r. przy upadku kursu rubla, spowodowanego wojną turecką, masowe wydalenie Żydów z Rosyi w 1891 r. - wszystko to było czynnikami przemysłowego rozwoju Królestwa, czyli raczej jego części, leżącej po lewej stronie Wisły.

Rolnictwo Królestwa pozostaje pod wpływem dwóch czynników: przemysłowy rozwój kraju stwarza centra dostarczające rynków zbytu na nabiał, warzywa i inne produkty rolne; z drugiej strony znajduje się Królestwo pod presją konkurencji rolnictwa rosyjskiego, konkurencji odległych kresów Rosyi wschodniej, które rzucają, dzięki taryfom kolejowym, zboże swej ekstensywnej kultury na rynek Królestwa. Widzimy tu ten sam czynnik, na który uskarża się Litwa i Białoruś.

Prócz tego znacznie oddalenie Królestwa od portów bałtyckich kieruje eksport zbożowy Królestwa ku Niemcom, stąd cła agrarne Niemiec bardziej ciążą nad rolnictwem Królestwa, niż nad rolnictwem rosyjskiem, które wysyła swe produkty przez morze Bałtyckie do Anglii.

We wszystkich guberniach prawego brzegu Wisły, z wyjątkiem łomżyńskiej, ludność wiejska przez ostatnie lat 40-ci wzra-

¹⁾ Wileński Komitet powiatowy str. 77.

stała prędzej od miejskiej. Od 1872 do 1897 r., w ciągu lat 25-ciu, ludność Królestwa powiększyła się z 6,528,017 do 9,455,943, czyli o 2,927,926 głów. Ludność miejska podniosła się o 1,930,000 głów, czyli nastąpiło zgęszczenie ludności wiejskiej, gdy w Niemczech, pomimo nawet znacznego przyrostu ludności, miasta nietylko pochłaniały całkowity przyrost, ale zmniejszyły także absolutne cyfry ludności wiejskiej. W Niemczech od 1881—90 przy ogólnym rocznym przyroście 1,07% ludność miejska podniosła się z 14,790,000 do 23,243,000 głów, gdy wiejska spadła z 26,219,352 do 26,175,241.

Posiadając gęstą ludność rolną (ludność rolna Królestwa wynosi 50 na kln. kw., Francji 45), Królestwo musiałoby prowadzić natężony system rolnictwa, ale temu jak widzieliśmy, przeciwdziała przynależność tego kraju do Rosji. Kolonizacja rolna Królestwa na Litwę historyczną, na Wołyń spotykała zakazy władzy, (szczególniej usilne było parcie ludności Królestwa na Wołyń, ale temu położyły kres rozporządzenia Komitetu ministrów).

Z konieczności więc chłopci Królestwa dali znaczną emigrację na stałe do Ameryki w 1889 r., z konieczności też dają stałą emigrację zarobkową do Niemiec, Danii i Stanów Zjednoczonych, objaw podobny daje się zaobserwować w Galicyi. Stajemy się jakby piątym stanem ludów Ameryki i Europy, nie mogąc pracy naszego ludu zastosować na jego terenie historycznym, nie mogąc stworzyć tam dla niego odpowiedniego warsztatu pracy.

Rozszerzając sferę zastosowania pracy chłopskiej, parcelacja jest objawem dodatnim pod względem gospodarczym.

Parcelacja nie rozpoczęła się nazajutrz po uwłaszczeniu. „Chłopi, powiada M. Bloch, jeszcze nie opatrzyli się w nowem położeniu i przysłuchiwali się pogłoskom o nowych nadziałach. Z drugiej strony, właściciele ziemscy nie mogli odrazu przystąpić do uregulowania gospodarstw własnych, do ostatecznego załatwienia powinności i serwitutów.“ Budowa dróg żelaznych w szóstym i siódmym dziesięcioleciu, dostarczając zarobku ludności włościańskiej, daje jej pewną ilość gotówki na kupno ziemi. Wówczas to rozpoczyna się parcelacja. Podaż majątków wielkiej własności do parcelacyi, wywołaną została z początku potrzebą regulowania interesów po uwłaszczeniu; następnie okres depresyi cen, wywołany konkurencją amerykańską, był w Królestwie, jak wszędzie, bodźcem do parcelacyi. Środków na parcelację dostarczał po części Bank Włościański, po części emigracja zarobkowa chłopów do Niemiec i Ameryki.

Ogółem po uwłaszczeniu nabyli chłopci w Królestwie 917,767 dzies. zwiększywszy przestrzeń swych gruntuów z 4,590,325 dzies.

do 5,507,092. Przeszło dwie trzecie dokupionej ziemi przypada na ostatnie dziesięciolecie. Od 1894 — 1904 r. dokupili chłopci 636,594 dzies., gdy w ciągu uprzedniego trzydziestolecia ogółem 281,178 dzies. ziemi.

Stosunek gruntów nadziałowych do kupionych przedstawia się, jak następuje:

	Nadziałowej	Kupionej	Razem
W gub. Warszawskiej . . .	602,493	140,032	742,527
„ Kaliskiej . . .	399,118	123,871	522,989
„ Kieleckiej. . .	384,032	79,409	463,441
„ Łomżyńskiej. . .	632,782	147,868	780,650
„ Piotrkowskiej . . .	466,421	97,173	563,594
„ Płockiej . . .	269,793	44,060	313,853
„ Siedleckiej . . .	502,326	91,374	593,700
„ Suwalskiej . . .	613,202	11,663	624,865

Przeciętnie włościanie nabyli 20% ziemi nadziałowej. Najwięcej w gub. Radomskiej, przeszło jedną trzecią przestrzeni gruntów nadziałowych, następnie w Kaliskiej 31%, najmniej w Suwalskiej 2%, stosunkowo mało w Łomżyńskiej 10%; w pozostałych sześciu guberniach blisko przeciętnej normy. Znaczna stosunkowo ilość dokupionej ziemi w gub. Kaliskiej jest wynikiem emigracji zarobkowej. Mały udział w emigracji zarobkowej z gub. Suwalskiej nie jest główną przyczyną nieznacznej ilości dokupionych tam gruntów chłopskich. Jest to gubernia o znaczniejszym niż inne procencie własności chłopskiej; gdy w innych guberniach Królestwa własność chłopska zajmuje około 50% przestrzeni, w gub. Suwalskiej wynosi 70%. W gubernii tej włościanie otrzymali najznaczniejsze nadziały, po 12 dzies. na gospodarza, gdy przeciętnie w innych gub. po 7 dzies. Znaczna ilość majoratów, powstałych z nadań po 1831 r. generałom i pułkownikom rosyjskim, w gubernii Suwalskiej zmniejsza ilość ziemi dostępnej dla parcelacji.

Obecne zarobki chłopskie w przemyśle, a szczególnie emigracja zarobkowa, jest ważnym czynnikiem kupna gruntów, kredyt odgrywa też pierwszorzędną rolę w kupnie ziemi przez chłopów. Wskutek jednak wadliwości banku włościańskiego z pomocy jego korzysta tylko część włościan przy kupnie ziemi. Od chwili bowiem otwarcia banku włościańskiego w Królestwie 1890 r. do 1903 r. włącznie przy pomocy banku włościańskiego nabyli chłopci Królestwa 353,709 dzies., t. j. zaledwie czterdzieści kilka procent kupionej w tym okresie ziemi; wydane było 75,475 pożyczek, kupno ziemi dokonane było 179,000 razy, z których przeszło dwie trzecie przypada na okres istnienia banku włościańskiego.

Braki banku włościańskiego, nieprzystosowalność ustawy jego do naszych warunków, drożyzna tego kredytu, formalistyka biurokratyczna tej instytucji, czyniąca kredyt ów dla chłopu jeszcze droższym—wszystko to uprawnia przypuszczenia, że w razie otwarcia krajowej instytucji parcelacyjnej, proces parcelacji może być w kraju znacznie przyspieszony.

Znaczna ilość włościan, nabywających ziemię w Królestwie Polskiem zarysowuje w umyśle chłopu kupno ziemi, jako rzecz naturalną, pożądaną, z samej natury stosunków wynikającą. Wobec czego polityka agrarna kraju winna oprzeć się na procesie dobrowolnego kupna i sprzedaży ziemi, parcelacji; uwłaszczenie, dodatkowy nadział, pokrewny pojęciu „obszczynnika“, znającego peryodyczne podziały gruntów gromadzkich i wzdychającego do wciągnięcia do tych podziałów gruntów wielkiej własności — jest czemś całkiem obcem pojęciu prawnemu chłopów naszych.

Proces parcelacji przy odpowiedniej polityce kredytowej i podatkowej, może oddać ziemię w ręce chłopskie. Z danych zebranych przez Blocha o parcelacji w znacznej części Królestwa okazuje się, że parcelacji ulegają w znacznie mniejszym stopniu majątki mniejsze, a majątki magnackie nie ulegają jej wcale. Na dobra od 60—600 morgów przypada 21 parcelacyj, od 600—1500—4%, od 1500—3000—1,2%. Dla zachowania niezależnej inteligencji wiejskiej byłoby pożądanem, żeby przeciwnie, parcelowały się latyfundiya, a nie pół średnia własność ziemska.

Majątki większe można łatwo wciągnąć do parcelacji przez ustanowienie opodatkowania ziemi w zależności od obszaru, postępowo wzrastającego ze wzrostem obszaru. Otóż należałoby ustanowić minimum własności ziemskiej wolne od podatku, tem minimum mogłyby być grunta do 10 morgów; grunta do 300 morgów mogłyby zachować dawną normę opodatkowania, grunta od 300 do 500 powinny być opodatkowane o 10% wyżej; każde sto morgów płaciłoby zwiększający się podatek ziemski, tak żeby własność ziemska ponad 2000 morgów tylko przy wyjątkowej kulturze rolnej dawała zyski. Minimum wolnego od dodatkowego podatku gruntu mogłyby być zwiększone, w razie, gdy kultura rolna w majątku jest związana z przemysłem lub daje znaczne zarobki stałym czy sezonowym robotnikom.

W Królestwie według danych centralnego Komitetu statystycznego około 1/5 przestrzeni należy do 288 właścicieli, stanowiących grupę posiadaczy powyżej 4,000 morgów. Otóż bez presji podatkowej lub przymusowego wywłaszczenia, grunta tych właścicieli nie pójdą na zaspokojenie „głodu ziemi“ warstwy wło-

! ściańskiej. Systemem polityki ekonomicznej europejskiej jest użycie systemu podatkowego, jako czynnika podatkowego, jako czynnika polityki ekonomicznej; systemem azjatyckiego despotyzmu jest wywłaszczenie, nie liczenie się z prawami jednostki. System pierwszy zwiększa obrót gruntowy, jest źródłem, zwiększającym dochody państwowe; system drugi wprowadza zamęt w stosunki gospodarcze kraju i rujnuje finanse państwa. Sejm w Warszawie może wybrać tylko metodę pierwszą; Duma petersburska okazała wielką skłonność do drugiej.

Wobec tego, żeśmy nie zabezpieczeni od narzucenia nam metody wschodniej przez Dumę petersburską, musimy jeszcze zatrzymać się nad pytaniem, czy ze względu na ilość gruntów mogą nasi bezrolni i małorolni być uwłaszczeni do normy umożliwiającej istnienie rodziny włościańskiej niezależnie od zarobku. Normę tę przyjmujemy przeciętnie na 10 morgów.

Po za własnością chłopską, wynoszącą 5,508,092 dzies. istnieje w Królestwie drobna własność (do 60 morgów) szlachty zagonowej, 651,740 dzies. i ziemi osadników miejskich 202,307. Tak więc drobna własność Królestwa wynosi 6,325 tysięcy. Następnie 153 dzies. zajmuje terytorium miast; 3,261 tys. średnia i większa własność szlachecka, 650 tysięcy — ziemia należąca do skarbu państwa. Grunta rządowe stanowią 1100 tysięcy dzies., lecz ponieważ składają się przeważnie z lasów, tylko 10% mają przestrzeni odpowiedniej do parcelacyi. Z ziemi właścicieli prywatnych wypadnie około 35% potrącić na lasy i nieużytki, przestrzeń więc ich parcelacyjna równa się 2500. Ogółem więc cała powierzchnia Królestwa, mogąca być rozparcelowana, nie przechodzi 2600 dzies. (5200 morgów).

Osad poniżej 10 morgów według danych warszawskiego biura statystycznego jest 491,644 na gruntach nadziałowych, posiadają one 2,670,036 morgów ziemi; przy uzupełnieniu obszaru tych gruntów do 10 morgów, winny byłyby posiadać 4,916,440 czyli należałoby dać 2,246,404 morgów.

Osad na gruntach nabytych przez włościan od osób innego stanu i nieposiadających 10 morgów jest 131,561, brakuje im do 10 morgowej normy 646,670. Wreszcie 19,707 osadom drobno-szlacheckim poniżej 10 morgów brakuje 67.352.

Potrzeba więc byłoby na uzupełnienie ziemi małorolnych osad: 2,246,040 + 646,670 + 67,312 razem 2,959,386. Jeżeli dodamy do tego potrzebę uzupełnienia ziemi małorolnych mieszczan, trudniących się rolnictwem, to otrzymamy sumę powyżej 3 mil. morgów.

Rachunek nasz uwzględnił tylko osady i 491,6 tys. chłopów małorolnych na gruntach nadziałowych, 131,5 tys. chłopów małorolnych na gruntach nie nadziałowych i 19,8 tys. drobnej szlachty, ogółem 642,4 tys. osad. Rodzin we wsi jest więcej niżeli osad, gdyż w osadach mieszkają rodziny jeszcze nie oddzielone. Wobec tego, że prawo zakazuje działów poniżej 6 morgów, w osadach poniżej 10 morgowych znajduje się znaczna ilość rodzin nieoddzielonych. P. Wład. Grabski przyjmuje, że liczba osad jest wyższą od liczby rodzin o 0,4. Wobec tego, że w osadach mieszkają i bezrolni, którzy stanowią odrębną kategorię, przyjmujemy ilość małorolnych o 0,2 większą od ilości osad. Liczba więc rodzin 642,4 tys. wynosi $642,4 + 128,4 = 760,8$ tys. Owe 128,4 tysiące rodzin wymagałyby też dla nadziału 1,284 tysięcy morgów.

Przeszło więc 4,285 tys. morg. potrzeba na uzupełnienie ziemi dla chłopów małorolnych. Dla nadziału bezrolnych pozostało około 1 mil. morg.

W 1897 r. Królestwo liczyło 191,271 rodzin i 37,038 osób pojedynczych bezrolnych. Otóż przez sam przyrost naturalny nastąpić musiało zwiększenie się liczby bezrolnych o jakie 15% czyli do 225 tysięcy. Oprócz tego stosunki prawno-ekonomiczne Królestwa sprzyjają zwiększeniu się ilości bezrolnych. Po uwłaszczeniu bezrolnych było nie więcej nad 70 tys. rodzin, po latach trzydziestu kilku liczba ich wzrosła do 191 tysięcy rodzin; wzrastała więc szybciej, niż ludność Królestwa. Na zwiększenie ilości bezrolnych wpływa kodeks napoleoński, wymagający równych działów dla rodzeństwa i zakaz dzielenia gruntów na działki poniżej 6 morgów. Insytucyi kredytowej, któraby dostarczała włościanom kredytu długoterminowego, ułatwiającego opłaty familijne i umożliwiającego kupno ziemi tym członkom rodziny, którzy zrzekli się swych części w dziedzictwie rodzicielskiem, in natura—Królestwo nie posiada. Ilość rodzin bezrolnych na wsi po za rzemieślnikami, robotnikami fabrycznymi i handlującymi, a więc bezrolnych trudniących się rolnictwem, należy szacować na przeszło 300,000 rodzin. Dla obdzielenia ich po 10 morgów ziemi potrzeba byłoby 3 mil. morgów, czyli, że Królestwo posiada 2 mil. morgów deficytu.

Eksperyment agrarny, zalecany przez ekspozyturę kadetów rosyjskich i naszą demokrację postępową, jest niewykonalny ze względu na obszar i zaludnienie Królestwa. Oprócz tego, im wyższą jest kultura rolna kraju, tem więcej inwentarza wymaga jego gospodarstwo. Stąd dla stworzenia pomyślnie prosperujących drobnych gospodarstw w razie nadziału, należałoby zużyć setki milionów na udzielenie inwentarza dla nowostworzonych i zwiększo-

nych nadziałem gospodarstw. Zwiększa to trudność operacji finansowej, której wymagałaby reforma agrarna.

W *projekcie reform agrarnych*, wydany przez Demokrację postępową czytamy: „Przestrzeń jednostki gospodarczej, odpowiadającej potrzebom rodziny włościańskiej, nie może być dziś niższą niż 10 morgów, podnosząc się wyżej w miarę mniejszej urodzajności gleby. Gospodarstwa takie powinny być racjonalnie urządzone i zaopatrzone w budynki. Nadzór nad nimi i pobieranie odpowiedniej opłaty dzierżawnej winno być powierzone gminie, która, znając swych członków, łatwiej będzie mogła je oddawać w odpowiednie ręce i jako zainteresowana pilnie nad nimi czuwać“ (str. 9). Jest to zaprowadzenie „obszczyzny“ na naszym gruncie. Już nie realizacja, ale samo propagowanie u nas projektów podobnych wnosi zamęt ideowy. Towarzyszy im agitacja strejkowa po wsiach, mająca na celu dezorganizowanie rolnictwa naszego, jak akcja strejkowa w ciągu lat ostatnich dezorganizowała nasz przemysł. Akcja strejkowa, agitacja agrarna zwiększa u nas antagonizm między posiadaczami ziemskimi a najemnikami, między wielo i małorolnymi chłopami. Proces ten podważa i paraliżuje proces unarodowienia się naszego chłopca, co zmniejsza szanse osiągnięcia możności usamodzielnienia kraju, prowadzenia własnej polityki ekonomicznej.

Choroby gospodarki społecznej Rosyi, jej patologiczne stosunki agrarne w gub. Saratowskiej, Samarskiej i innej zarażają nasz grunt miazmatami chorób społecznych i politycznych.

WL. STUDNICKI.

PAMIĘTNIK.

(*Strofy liryczne*).

25.

Nazywają mnie dokoła osobą „uspołecznioną“, a Maryan orzekł nawet, że jestem tylko społeczniką i „nic więcej.“ A ja czuję, że stworzona do miłości, że urodzona „grande amoureuse“, bardziej niż Giulietta, bardziej, niż George Sand... Stworzona jestem do namiętności tragicznych, do uczuć, o których historia pisze...

Miłości, o miłości...

Różo królewska, i czaro wonna,
Bramo rajów utraconych,
Mocy, której królestwo
Jest bez granic...
Oto całe moje jestestwo
Wrywa się ku tobie
I nie wyrzeknie — za nic! za nic!...

Kochać chcę... Chcę miłości tytanicznej, gromowej... ognia, który począł się w niebie... wzruszeń nie z tego świata... Zajrzeć przez uchylone zawory tam... na dno otchłani, gdzie się wąż w uścisku Życie i Śmierć...

To jakieś chorobliwe rozszerzenie serca, którego zapelnąć nie może ani miłość nieszczęśliwa, ani wytężona praca społeczna, ani ustawiczne kontrolowanie siebie i zjawisk świata.

I choćby Orecki miał mi wymyślać od „romantyczek,” powtarzam:

Serca zbyt wielkie są jako ule zbyt wielkie:
Miód ich zapelnąć nie może... stają się gniazdem jaszczurek...

W dali, jako konieczność logiczna, majączy mi samobójstwo...

26.

Burza dojrzeła.

Precz z liryzmem! z wzdychaniami gołębiemi! Stoimy u progu zdarzeń, których zmierzyć niepodobna. Któż odgadnie, co się kończy? Któż się ośmieli powiedzieć, co się zaczyna?

Lecą głuche wieści, jak strwożone gołębie przed burzą.

Słowo jest rozkazem, Słowo niewidzialne, wypadłe niewiadomo z czyich ust... Patrzymy, czy z zakrętu ulicy nie nadciągną zastępy orężne, hufy o tarczach złocistych, proporce rozwiane.

Czekamy...

27.

Lawina górską, potok wezbrany, spiętrzone morze!

Zrywa tamy, pędzi, druzgocze, luczy, zalewa doliny i miasta.

Któż zmierzł siłę wodospadu? Któż obliczy rozpęd wulkanu?

Z łona ziemi, z wnętrzości milczenia wybuchły moce spletae. Aż w niebo bije krzyk—nie, nie krzyk: szął, ogień, rozpacz.

„Wolności!...”

I stało się to, stawało... pod mojem okiem... Zatapiałam się w burzy własnych myśli, męczyłam, tłukłam. A koło mnie płynęła Wiekuistość... Nieśmiertelna pieśń odradzającego się życia... Wyteżam wszystkie siły ducha, aby zrozumieć chwilę obecną, ogarnąć jej doniosłość. I określić swój do niej stosunek.

Jeżeli miałam zdolności pisarskie, depczę je dzisiaj. Drę papiery, smutne świadectwo niedoszłych wzlotów Pegazowych. Niech wyschnie na popiół myśl bezpłodna! Niech umiera we mnie „ja” wyolbrzymione. Chcę odtąd tworzyć w najcudowniejszym materiale: w życiu. Tobie służyć, o Życie!... Na początku był Czyn, nie Słowo... I Czyn będzie wiecznie...

28.

Ruina — pogrom — zniszczenie... Kartagina zburzona, Jeruzalem, na której gruzach siedzą nieszczęsne... Więzienia przepelnione... Strzały dzikie... Krew dokoła... Krew... Ciała młodzińcze, kwiaty wiosenne, strutowane przez wściekłą przemoc...

Zgarniano je kupami, kładziono na wozy... I szły te wozy żałobne, nieskończone, kryjomo po nocy.

O Jeruzalem, o Kartagino... Gdy tarany obłącznie biły o mury miast, a niewiasty obcinały warkocze na cięciwy do łuków — nie płynęły łyż tak gorzkie, jak z ócz tych matek, którym nie wolno nawet pogrzebać dziecka...

Mroki... Mroki... i ten sam bat...

Ocalała z pogromu, patrzę błędnymi oczyma. Co ja tu robię? Czy nie powinnam iść tam, gdzie jeszcze coś uczynić mogę? W dziewiczych mózgach dzieci szczepić ziarna przyszłości...

29.

Ostatni wieczór w Warszawie.

Wszyscy w komplecie: Władzia, Bolek, Maryan... małżeństwo: student i studentka z Paryża.

Uroczyście podają im herbatę w jednej szklance i dwóch słoi-kach od musztardy.

— Ostatnia to już herbata, którą pijecie u mnie!

— Wyjeżdżasz? — pyta sennie Władzia.

I Maryan podniósł głowę.

— Wracam do Zalesia. Tam jeszcze można coś robić... I może to jedyne, co można...

— To prawda... — odpowiada bezdźwięcznie.

Widzę! każdemu z nas zwała się na piersi zmora stupudowa. Ssie nas zwątpienie, rozpacz.

Władzia skubie coś przy rękawie. Maryan przegarnia nerwowo czuprynę, małżeństwo studenckie milczy. Bolek tylko zachował równowagę ducha. Układa w myśli plan nowego dramatu. Regularnie co miesiąc popełnia dramat...

Nikt nie usiłuje mnie wstrzymać. Każdy z nas w tym światku ma swoją rolę i nie wolno mu jej rzucić — pod infamią!

Idziemy jeszcze na spacer, „na ostatni spacer.“

Nazajutrz, niewyspana, rozbita, z zimnem wskroś ciała, z szumem w głowie, przyjechałam...

30.

Szmat sonej ziemi, upstrzonej połaciami śniegu tającego. Cha-ty w dymach... pas bagien... lasy drzemiące...

Znów Zalesie...

Chodzę i patrzę... Wszystko tak samo... Jestem sobą daw-ną... skromną, nauczycielką wiejską...

Więc istotnie to było? ja, proch marny, ocierałam się o wielkich ludzi i na własną rękę marzyłam o nieśmiertelności?

Opadły złote pióra.

Jak sen, przemknęły zdarzenia gorączkowe; dnie, niosące coraz coś nowego. Wpadłam w ocean Lodowaty, w ocean ciszy. Wszystko, jak gdyby skostniało. Bajka o śpiącej królewnie. Nie przyszedł jeszcze czarodziej, pocałunek nie zbudził do życia tych pól, stęgłych w równe skiby, wierzb o krętych konarach...

„Sobą dawną?...“

Nie. Już ja nie ta, co stąd wyjechała. Między tantą niešťczęśliwą dziewczyną, rzuconą w najsmutniejsze warunki życia i szamocącą się w nich rozpaczliwie—a mną obecną, stanęło coś... Widzę serdeczną, jasną twarz Maryana... on nauczył mnie patrzeć, majaczy mi się nowe oświecenie... Czuję rozszerzenie kątu widzenia.

Orecki mówił, że tworzyć trzeba w męce... że tylko twórczość, podlana męką, ma wartość wieczystą... Oto ja dziś, całą męką zbłąkanej duszy, chcę wyorać skarb, znaleźć wyroczne słowo życia...

Boję się spojrzeć po za siebie... Dwadzieścia sześć lat... Czyż można to przekreślić jednym zamachem ręki?... Przysłowie uczy: „lepiej późno, niż nigdy...“ Maryan dodałby, że trzeba mieć odwagę niszczenia rzeczy złych i chybionych... Lecz mnie porywa żal i trwoga wobec ówierćwiecza zmarnowanego...

A jednak — trzeba...

Panie Rzeczyckie dęsały się trochę za mój postępek z ciotką, ale nie trudno je udobruchać. Paliła je zresztą ciekawość, jak tam było w Warszawie. Pan Wiktor wita mnie koleżeńsko i na powitanie pokazuje piękne, białe zęby młodego wilczka.

— Nie włącz mi w drogę, bo... — mówi ten uśmiech.

Człowieku, gdybyś wiedział, jakem daleka od wtrącania się w twoje sprawy!... Pełna smutku jestem, bo doznaję wrazenia, że zgubiłam siebie...

31.

Dręczy mnie przykry problemat.

Jaki jest stopień mojej użyteczności społecznej?

Na tej „placówce,“ jak mówi Maryan, kołuje, niby mara błędna, wygłaszam mechanicznie pewniki wiedzy centralno-urzędowej.

Dusze dzieci? Rozwijanie ich? Ha! ha! ha! Jak sięgnę pamięcią, widzę się sztywną, niechętną, tłumiącą złość wewnętrzną. Patrzyłam w twarze, jak w maski nie mówiące. Brak

mi zawsze było klucza do tych światów zamkniętych. Maryan mówi, że dusze — to kwiaty, które trzeba wziąć w ciepłe dłonie i rozwijać do słońca. Tak... ale za to, wprost z placówki, można się przejechać... daleko...

Zresztą, tchórzostwo — to też wymówka przed samą sobą. Oślaniam nią ranę wstydlivą, wieczną bolączkę duszy mojej. Ową niezdolność czynu, niemoc twórczą, nieumiejętność życia...

Dlaczego tak?

Jest w tem wszystkim feler, brak jakiś, coś, co poprawić należy. Nie wiem, nie rozumiem, gdzie błąd, ale go czuję. Maryan (uwazam, że pomału stał on się dla mnie wzorem, który cytuję we wszystkich wątpliwościach natury ogólnej) otóż Maryan i jemu podobni widzą przedewszystkiem społeczeństwo i potem pytanie: jaka moja tu służba? Ja widzę najpierw siebie i pytam się: jaki *mój* stosunek do społeczeństwa?

Wszędzie *ja* i *ja*.

Czy nie tu leży źródło? Roślina wybujała nienormalnie jestem. Lata spędzone samotnie, na wpatrywaniu się w duszę swoją, wyrobiły we mnie ten chorobliwy przerost indywidualizmu! Teraz dopiero uczę się strychulcem ścinać bezlitośnie główki kwiatkom mej „wyższości.“

Zdławić raz narzenia bezsensowne i śmieszne ambicje. Wytrwać z korzeniem samouwiebienie... nie admiirować, niby Narcyz, szlachetności własnej...

Trzeba być ofiarną dla celu... nie dla procesu ofiarności...

32.

Nastrój liryczny...

Chodzę po bagnach, pod parasolem, przez który przesiąka plucha. Naokoło łyzy, rozwieszzone na tumanach. Po niebie przepływają widziadła o rozpostartych szatach. Kędyś, w głębi, zrywa się wiatr przelotny... Leci szelest, niby skrzydło komara po lutni napiętej... Szarość niewyczuwalna, duchowa prawie... Malaryczna poezja tego zakątka kuli ziemskiej.

Dreńczy mnie tęsknota. Czuję w sobie obecność uczucia jakiegoś, którego nie umiem nazwać po imieniu. Czegoś brak i czegoś za dużo. Powiedziałabym: nastrój twórczy... ale nie wiem, co tworzyć. Nie widzę obrazów konkretnych. Przypomnienie czegoś, co nie było. Platon, jak mi się zdaje, nazywa to „ideami wrodzonymi.“

Może i nie Platon. Wszystko, com kiedykolwiek wiedziała, przyblukło, rozwiało się wskroś przestrzeni. Duchem jestem. Błą-

dzę w tej szarości setki, tysiące lat... Kształty pokoleń i ludów mijają, jak cienie za zasłoną. Przenika mnie zrozumienie, że cała wiedza, budowle logiczne, umiejętności, wznoszone mozolnie, to ułamki, znaki chińskie, dobrowolna umowa, jak w teatrze, by krążek żółtego papieru uważać za księżyc...

W jaki kryształ czysty zakląć porywy rozpierzchłe?

W jakiej stali hartownej odlać dobre chęci?

Błądzą... Szukam... Ostatniego wyrazu życia...

33.

Kobiety szczęśliwe nie mają podobno historii.

Dodają: i kobiety pracujące.

Nie wiem, ile już dni czy tygodni przeszło. Cała żyję w pracy. Od rana do wieczora... Życia nie starczyłoby... Do czegokolwiek się wezmę, widzę skrzywienie, które trzeba poprawić, ugor, który trzeba obsiać. Jestem jako rolnik, któremu otwarto zagrodzone dotąd obszary. Myślę: czy ja ślepa dotąd byłam?...

Siedziałam trzy godziny u starej Gdalakowej. Kobieta chora i jak palec, samotna. Syn ożenił się i zapomniał o niej. Postępując, opowiada mi historię życia, a raczej historię jednego nieprzerwanego mozołu i sześćdziesięcioletniej walki z głodem. Patrzyłam w twarz jej zmarszczoną, w podłogę z udeptanej gliny, w łatane szmaty, suszące się nad kominem, gdzie tlał węgielek... Dzień po dniu wyrastał przedemną obraz tego żywota „na komornem,“ gdzie w jednej izbie gnieździło się sześcioro dzieci i piętnaście kur...

Uderzyła mnie tragiczna różnica moich niedoli wzdychających od czarnej, prostej brutalnej nędzy...

— Pięcioro dzieci pochowałam... pani moja... pięcioro dzieci...

Dzieci... te miniatury Boskie, wdeptane w błoto... przyszłość, która marnieje, wydając ledwie jedno ziarno na sto...

Ogarnia mnie żałość bezdenna, ból palący...

Wieczorami okrażają mnie te małe bosonogie figurki. Rzne ad hoc spreparowane wykłady freblowskie, do których przygotowuję się po lekcjach szkolnych. Wiem, że połowa słów mych przepada, bo więcej je zajmuje błyszczący samowar i różowy wazonik na stole. Poszturchują się i udzielają sobie uwag półgłosem. Ale to nic!... „Trzeba kochać,“ mówi Maryan. Nie wiem, czy Kocham... ale wiem, że jestem zadowolona...

Oto cię widzę już, drogo służby... I tym gościńcem iść chcę — aż do śmierci...

Z nadejściem lata myślę urządzić gimnastykę. Umizgnę się do pana Rzeczyckiego o kąpiele. Może jakieś warsztaty ręczne... Słowem, moc projektów, aż po nocach spać nie mogę, przeglądając wszystko, co jeszcze zostaje do zrobienia...

34.

Wysłałem przed dom. Słyszę, sanki jadą. Myślę: „do dworu.“ Nie, minęły wjazd do dworu. Jadą dalej, wprost ku szkole. Stanęły. Wyskoczył... Maryan.

Zdumienie... radość... okrzyk... cała fala wspomnień na widok twarzy tej... I zaraz myśl chłodna:

— To nie dla ciebie... Pewno z jakąś misją społeczną...

— Dzień dobry, panno Stachno!... Czy śmiertelnik znajdzie gościnne przyjęcie pod tym dachem oświaty ludowej i przepisów naczelnika straży ziemskiej?

Całował mnie po rękach, aż musiałam szepnąć: „Memento Tomaszowa.“

— Zawsze żyje zacna Tomaszowa? A teraz—herbaty, i proszę mi pokazać królestwo swoje... o, moja księżniczko zaklęta...

Zalesie śliczne dziś było. Lasy, drzewa, płoty oprószyła kiść srebrna. „Sadzity mróz,“ jak mówi Tomaszowa, rysował desenie na bładem niebie; gałązki rzeźbiły się, niby w marmurze wykute. Ogród w kwiatkach lecącego śniegu iskrzył się pąkami białymi. Wizya śniegowa... Marzenie z lodu... Wszystko powlokła patty-na czarui.

— Po co pan przyjechał nareszcie?

— Do pani.

— To jest, jako do tłoczni, która w bezmózgie główiny dzieciaków i t. d.

— No, skłamałbym, gdybym twierdził, że nie mam w torbie paru funtów bibuły, a w sercu pewnego planu... Ale po za tem, przyjechałem do pani...

Samowar szumiał na stole. Cisza... Cisza... Najzupełniejsza idylla...

— Czyż tu nie tysiąc razy lepiej, niż w hałasie warszawskim, między srokami i szpakami, powtarzającymi cudze frazesy?...

Opowiada.

Władzia lata po zebraniach i konspiruje. Bolek układa nowy dramat, a płodność jego przeraża wszystkich reżyserów i dyrektorów teatralnych. Małżeństwo studenckie wybiera się z powrotem do Paryża. Orecki...

— Cóż Orecki?...

— Zawarł pakt z żoną. Przestała go szpiegować, a on za to wraca na obiad do domu.

Słuchałam, jak we śnie. Więc nic się nie zmieniło. Ludek idzie dalej swą ścieżyną. Jaka ja już daleka od tego...

W moją chmurną ciszę snów i pracy wtargnął, niby okrzyk życia... Jak dziecko, niewytrzeźwione z drzemki, przecieram oczy...

Wieczorem zebraliśmy się u Jędrzeja.

Jedna odezwa — i cała wieś napłynęła. Maryan utrzymuje, że dziesiątki lat klauzury biurokratycznej i tyrania różnych naczelników wyrobiła w ludzkie to poszanowanie dla „papieru.“ Ale mnie się zdaje co innego.

Taki papier, co spada Bóg wie skąd, to coś nadzwyczajnego, nadzmysłowego... Kto wie, co on reprezentuje... Może jakąś siłę, trudną do ogarnięcia myślą?...

Patrzyłam na twarze zasłuchane, skupione, brązowe od słońca. Nieruchomość figur kamiennych. Niekiedy, gdy Maryan, uniesiony zapałem, opuścił grunt realny, zajechał zbyt wysoko, po jednych lub dwojgu ust przewinał się uśmiech niedowierzania. Dusze te, nienawykłe do spekulacji, a pełne zdrowego, chłopskiego rozumu, z niesłychaną przenikliwością chwytają niemożliwość.

Uśmiechy te były, jakby przelotne błyski słońca po masce ze śpiżu. Gaśły wnet w ogólnem skupieniu i powadze.

To milczenie jest jak jezioro... spokojne, ciche a bezdenne...

Kto zgadnie, co się tam kryje... w głębi otchłani...

Maryan zdumiewał mnie. Gdzież się podział uczestnik wieców, „inteligent“ operujący terminami naukowymi!... Wychodził z niego jakiś inny człowiek, serdeczny kum, prostolinijny twór ziemi!... Wypowiedziałam mu swoje uwielbienie. Zdziwił się. Alboż on udaje? Nie, taki jest rzeczywiście; co mówi, mówi z głębi duszy.

Zrozumiałam.

To jest credo jego, treść życia, konieczność, w tkanki cielesne wzrosła. To jest człowiek silny, który *żyje* w idei.

Wobec jego prostoty i siły i ja nie rozumiem już dawnych moich buntów i ropaczy, rozłam pragnień i obowiązków. Zaczynam wierzyć, że to naprawdę było tylko urojenie nerwów, za które Maryan gniewa się i gromi mnie energicznie. Wstyd mi za siebie. Obrażam go w najgłębszych ukochaniach, w najczulszem rozumieniu życia... Zdejmuje mnie cześć i trwoga...

— Niech mi pan wybaczy... Wiem teraz, że naprawdę pa-sożyt i nic więcej...

— Nie, panno Stasiu... Pani jest idealną istotą, tylko warunki życia spaczyły panią... Ale to powierzchowne zboczenie; zrobimy z pani dzielnego człowieka!... A ja się cieszę podwójnie, bo...

— Bo co?

— Bo nas to zbliży... — rzekł cicho.

Znów mój pokój, cisza, i denerwująca ciasnota przestrzeni... Oczywiście, wyjechały na widownię moje ręce — i odwieczna prawda, że są miłe i słodkie...

I stało się tak, że Tomaszowa weszła uroczyście z tacą i szklankami, gdy Maryan klęczał przedemną i całował...

35.

Skandal...

Wieść rozleciała się i powraca, wyogromniona w plotkach. Państwo Rzeczycey lodowato wypowiedzieli mi dom. Pan Wiktor okrutnie błyska zębami. Nawet Tomaszowa mnie opuściła.

Tłómaczyć się? Walczyć z hydrą zajadłych języków?

Nie mam ani ochoty, ani uzdolnienia.

Podałam się do dymisji.

Fatalność!... Teraz, kiedy gorącym sercem wrastam w to wszystko, kiedy mi się drogą staje izba bielona i moja w niej praca...

Napisałam do Maryana o ratunek. Odpowiedział natychmiast. Ma dla mnie posadę, tymczasem nieświetną, ale z czasem może znajdzie się coś lepszego. I w końcu ofiaruje mi serce i rękę.

Naturalnie! Po tem, „co zaszło...”

Stanowilibyśmy to, co w naszych kółkach nazywa się małżeństwem sympatycznym. Ludzie garnęliby się do nas. A my? Dużo zrozumienia wzajemnego... i wspólne cele...

Ale nie chcę.

Z Zalesia usunę się za tydzień. Co będzie dalej, nie wiem. Przyszłość moja, to biała karta, na której życie wykreśli granice, lądy i morza...

Tymczasem czytam po całych dniach.

Zaczynam odczuwać rozkosz czytania. Ten jej rodzaj był mi dotąd nieznany. I cieszę się, jakby cieszył się malarz, wynalazłszy nową barwę. Zdobywam kopalnie wrażeń i czuję rozszerzenie się całej istoty u źródeł czystych i głębokich...

36.

Pod przyciskiem leżą bruliony mych dawnych utworów, szpargaly, zabazgrane słowami bez związku... Świadcstwo długich, mo-

notonnych godzin, niezapełnionych niczem... Chwil, kiedy umysł domaga się stawy, wyobraźnia — podniety, siły wyładowania.

A zzewnątrz nie przychodzi nic... nic...

I duch kona w pustce bez końca.

O ileż mi lepiej teraz... Zbliżam się do jakiegoś punktu wyniosłego, skąd, jak ze strażnicy, widok rozległy na przestwo-ry życia...

Przerzucam moje archiwa.

Listy od przyjaciółek i koleżanek... Co parę lat inne nazwiska, inne stosunki...

Ludzie na drodze naszej zapalają się i gasną.

Dzieciństwo... Byłam dzieckiem brzydkim i nieśmiałym. Pamiętam uwagi przyjaciółek mej matki, które, w przeświadczeniu, że bał czteroletni nie zrozumie, śmiały się ze mnie. Nazywano mnie głupią, bom była milcząca, zahukana i nie recytowałam bajeczek...

A ja czułam już wtedy zimną, przenikliwą świadomość...

O, jakbym ukarała je teraz za cierpienia dziecka, za to, że truły świeżą, wrażliwą, przejrzystą duszę...

One to może pierwsze rzuciły zarzewie nienawiści i ambicji, i „wypaczyły drogę,” jak mówi Maryan...

37.

Jestem już na nowej siedzibie.

Dom stary, poklasztorny, mury grube, okna podobne do strzelnic. Dołem ogród o wiekowych, rozłożystych drzewach. Wieczorami, po sklepionych kurytarzach ściele się iście klasztor-na cisza.

Instytucya, w której spełniam obowiązki nauczycielki, jestto ochrona dla dzieci wyrobników, utrzymywana sumptem bogatych, a dobroczynnych dam. Oprócz mnie jest tu dozorczyńni pani Szelska. Rola jej jest raczej freblowska, ale że najlepiej lubi prze-siadywać w kuchni i pietrasić różne przysmaki, więc na mnie spada ciężar bawienia dzieci.

Wczoraj powiedziałam:

— Moje dzieci, dziś nie będziemy śpiewały chórem, ani grały w komórki do najęcia, tylko róbcie co wam się podoba. Krzyczcie, dokazujcie, jak w domu.

Dzieciaki wytrzeszczyły oczy i nie ruszyły się z miejsca. Dla ośmielenia ich wyszłam z pokoju. Jedno, drugie, zaczęło się kręcić, próbować tężyzny swej... nareszcie rozhulały się z takim animuszem, że aż pani Szelska przybiegła z kuchni.

— Cóż to za wrzask piekielny? Panno Stanisławo!... — zawołała z wymówką, pokazując mi guzy i sińce, któremi już młodzię zdążyła się ozdobić.

Objasniłam ją, że zabawa, w której dziecko spełnia automatycznie wolę opiekunki, nie jest zabawą.

Ale pani Szelska postawiła stanowcze veto. Ona jest odpowiedzialna tutaj. Wychowuje dzieci, chwala Bogu, od lat dziecięciu, o żadnej pedagogii nie słyszała i słyszeć nie chce, a wszystkie opiekunki są z niej zadowolone. Dowodem — książki...

Może to i prawda, że przy moim systemie zabaw, porządek okazałby się mniej wzorowy...

Bawimy się więc w „komórki do najęcia“ i tym podobne gry towarzyskie. Wieczorem dzieci zjadają posiłek, zdejmują sukienki, przywdziewają swoje łachmany i wracają do domu... Skąd nazajutrz przyniosą faunę we włosach i bogaty słownik przekleństw.

A ja stoję i patrzę za niemi.

W niezgłębione mroki smutku...

38.

Opędzić się nie mogę od opiekunek, które przybiegają o każdej porze dnia, wtrącają się do lekcyj, dają mi wskazówki. Ale mam i znajomości sympatyczne. Pierwsza z nich to panna Marta, niewiasta „partyjna.“ Wysoka, ładna, wesoła. Wpada z piosnką, rozwija się z szat, a w miarę tych czynności, sypią się z niej, niby z puszek Pandory, druki różnych formatów, w ilości, zdolnej wybrukować ulicę Marszałkowską i wysadzić z posad piramidę egipską. Przytem mówi; wyrazy „dyrektywa“, „egzekutywa“ lecą z ust jej, dźwięczne, jak perełki. Ma ładne oczy niebieskie i powiada, że chciałaby wyjść za mąż, ale nie żadne tam miłostki dekadencje, tylko proste, zdrowe małżeństwo, i dziesięcioro dzieci, które się wychowuje na obywateli i bojowników!...

Odchodzi, a mnie przez całą noc brzęczy w uszach: „Dyrektywa.“ „Egzekutywa.“ „Dyktatura.“

Drugi — to pan Stanisław Horski, lekarz ochrony.

Człowiek, pływający w teorii. Przez cały dzień czyta. Czyta, aż do pęknięcia głowy. O życiu t. z. rzeczywistością tyle ma pojęcia, ile mu dostarcza co rano, wraz z bułkami, stróżka, ucieleśniająca w umyśle jego nudną, ale nieuknioną prozę egzystencji. Lubię go, kiedy zaczyna mówić. Ślini się, połyka wyrazy, by nadążyć za potokiem myśli, nie patrzy na nikogo: pewna jestem, że choćby patrzył — nie widzi. Oczy mętne zwraca gdzieś ku tajemnym ośrodkom duszy. Czuje się w nim nieprzebraną krynicę my-

śli. I zawsze oczekuje się, że powie coś—coś niesłychanego, coś piorunującego...

On zaś, najczęściej urywa nagle, jakgdyby pod przeblyskiem jasnowiedzenia: „nie warto.“ Macha ręką, twarz mu martwieje. Siedzi jak kłoda, aż do chwili, kiedy nowa myśl rozjaśni umysł, zelektryzuje, podnieci... Wtedy zrywa się, jak z księżycy spadły, zaczyna mówić prędko, urywkowo...

Prócz tego ma suchoty i stale przymiera głodem.

Lubię go za tę obojętność dla życia, za dziecinną nieświadomość spraw codziennych, za podarte buty i pięcioletni kapelusz, za charakter jagnięco dobry, przy którym burzliwe hasła rozbrzmiewają ze szczytną śmiesznością... Podżartowujemy też z niego... zresztą, tylko dla zwyczaju, bo szanujemy go wszyscy za niepospolitą wiedzę. On wie o tem — może i nie wie. Uśmiecha się i myśli o czem innem. Wydaje mi się czasem, że patrzy na ochronę, na dzieci, na mnie, i nie widzi nas wszystkich, zatopiony w abstrakcyach.

Przylatuje Władzia, cała w czerni i tajemnicach, zawsze gdzieś spieszy, zawsze brak jej czasu... Z nią lata Bolek, o tyle wściekły społecznik obecnie, o ile przedtem był nietzscheanistą i chmurną jaźnią...

Dalej krąży w przestrzeni małżeństwo studenckie, wiecznie wyjeżdżające do Paryża i nie mogące wyjechać...

Czasami zdaje mi się, że ci wszyscy ludzie mrowią się po powierzchni ziemi, jak osobniki, dotknięte lekkim obłędem. Gonią za majakami, krzyczą frazesy bezładne z pianą na ustach, biją się o nic...

Mania przybiera niekiedy formę ostrego szału, gdy się zetkną ludzie dwóch odmiennych partyj...

A ja?

Ja jestem obca.

Nie należę do tej, ani do tamtej, ani do żadnej partyi. Nie mogę się wkoleić w łożysko życia partyjnego. Nie lubię kłótni, swarów. Bierność mej natury każe mi marzyć o spójni, harmonii... I myślę pokryjomu, jakby to jednak ładnie było, gdyby wszyscy ludzie podali sobie ręce, jak bracia...

Zatapiam się w pracy, aby uciec od tego.

39.

A z tem wszystkim pusto, pusto, pusto!...

Gdy wchodzę wieczorem do pokoju, cisza szepcze do mnie: nic... nic... nic...

Siadam przy oknie, na ogród. Kwiecień niesie na skrzydłach tchy słodkie i wabiące. Księżyc przeziara z za gałęzi, powleka ludzi i rzeczy pozłotą czaru. Na jakimś dachu szkli się, niby tafla jeziora, niby zwierciadło innego, lepszego świata... Drzewa, jak duchy, strząsają opony, stają półkolem... gdyby tanecznicze rozchichotane... Chciałabym polecieć na łąki, unurzać się w rosie, w młodziuchnej runi traw, pić wilgotne tchy rozbudzonej ziemi... W obliczu tej wiosny coś okrutnego mnie szarpie. Coś porywa, gna!.. Duszno!.. Ciasno!.. Kołuję po pokoju, jak z wierz w klatce. Dławię się!.. Zdrzeć, zniszczyć wszystkie tamy sztuczne, mądre słowa rezygnacyi...

Do niego!.. Do niego!..

Nie zapomniałam... Przez tyle lat... Tęsknię, jakem tęskniła... Do niego... do tego śmiesznego maniaka, co złamał mnie i siebie... Do niego, który w głupim osłepieniu przypił się do szczytu życia, ulepił sobie bożyszcze z fałszywych wartości i nie śmiał być wolnym.

Oh, ty...

Czemu uczyniłeś gruz i próchno z tego, co mogło kwitnąć, jak róża? Coś uczynił ze mną i z sobą? Czemu nie umiałeś przejrzeć?... Ach, czemu nie umiałeś żyć!...

Wiosna...

Co rok powtarzające się misteryum i zawsze jednako cudowne.

Niepołamowany pęd życia, *fiat* zbudzonej ziemi, przemożny zew twórczy, który rozpala tysiące kształtów i barw, zahaftowuje białą kanwę ziemi zgłoskami najpiękniejszej gwary... Gdzie do niedawna było szaro i smutno, śmieje się ruch i wesele. Przewodowny pocałunek życia...

Radabym mieć sto gardeł i harf tyleż, by słać uroki twe, o wiosno...

40.

Marta przyszła w mej nieobecności, zobaczyła te grzechy literackie i wydrwiwać mnie zaczęła.

— Szpargały! Głędzenie!.. Nie dziś pora na to! Dziś trzeba zjednoczyć się w pracy, wyteńczyć siły wszystkie do czynu!..

— Wy stoicie zawsze na poziomie rewolucyi francuskiej. Reszta historii przeszła dla was bez śladu.

— Teraz i bazgracze przysięgli, moja Stasiu, ciskają precz bibułę i biorą się do roboty. Wiecie o tem? Czyn jest osiłą wszechrzeczy. On rodzi myśli, on rodzi życie, on rodzi filozofię. I czyn będzie wiecznie!

Odwrociła się i odedrzwii raz jeszcze powtórzyła z naciskiem:
— Czyn będzie wiecznie...

Upokarzam się przed tym wyrokiem. Rośnie w duszy mej
pieśń czynu...

O przyszłości, przyszłości!...

Ogromna, nieobjęta, wzywana!... Stań się! Jakiż będzie
kształt twój? Jakie zgłoski wypiszą historię dni nowych? Ja-
kie nieznanne, otchłanne siły ducha wybuchną z kryjówek? Jakie
nowe słońca przerodzą świat i nowe byty powołają?

Czekam. Drzę. Nad słuchuję odpowiedzi... Drgam na dźwięk
każdego dzwonka. Wbijam w przychodnia wzrok pytający:

— Co przynosisz?...

Nikt nic nie mówi. Wydaje mi się, że nosi w sobie tajemnicę,
która jeszcze nie dojrzała. Słowo tai się jeszcze w czelu-
ściach... Gdyby mi ktoś rzekł dzisiaj, że to urojenie, że życie
jest takie same, jak przed laty dziesięcioma, że pod powłoką nie
kryje się nurt wezbrany — nie uwierzyłabym! nie uwierzyłabym!
nie uwierzyłabym!...

Ja czuję... Ja wierzę w to, że życie niesie coś niesłycha-
nego...

41.

Dzisiaj rano, przed siódmą, wpadł Maryan, zabłocony, ob-
darty, po kolana unurzany w szarym mule.

— Niech mi pani przyniesie szczotkę do czyszczenia! prę-
dko! żeby służba nie widziała!...

W milczeniu doprowadzaliśmy tualetę jego do stanu popra-
wności, wymaganej przez urzędy policyjne miasta Warszawy.
Musiał się rozebrać do tej operacji. Ha, żeby to pani Szelska
widziała!

Zaczęłam nalegać, żeby na drugi raz wziął mnie ze sobą.

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Bo, bo... Najpierw, tam koło ściśle zamknięte, a po drugie...

— Co po drugie?

— Czy to się tak gładko idzie cztery wiorsty w nocy, gdy
dokoła krążą patrole!

— Odkądże ta troskliwość o całość społeczniczek?

— Pani jest dla mnie więcej, niż społeczniczka...

Poruszyłam głowę. Ah, te wspomnienia!...

Trzeba go było wyprowadzić ostrożnie. Na schodach za-
trzymał się.

— Stasiu, Stachno... Więc nic? Dalej nic?...

— Dalej nic.

— Nie chcesz wyjść za mnie?

— Nie.

— Ha, niewiasto z kamienia!

Wzruszył ramionami, zmartwiony trochę, ale czyż społecznik może się martwić taką drobnostką, jak wianek grochowy?

— W każdym razie, rzucił już z dołu, niech pani drzwi na noc nie zamyka, bo ja częściej może będę musiał oczyszczać się z grzechów nocnych...

Zazdroszczę mu tego życia czynnego i pełni wrażeń.

A zawsze strona dekoratywna... Takie to moje społeczeństwo!..

Bolek wyrobił mi tłumaczenia w jakiejś księgarni. Piszę we wszystkich wolnych godzinach. Małuczko, a stanę się bardzo bogata i może urzeczywistnię moje marzenie od lat: podróż do Włoch...

42.

I znów krew... Ofiary nieprzeliczone... Ścięte pokłosa, dzieci, starcy, młodzież... Najszlachetniejsze, najczystsze ziarno!...

O ziemi, krwią przesiąkła... O ziemi męczeńska... Jakież skarby ofiarności! Jakież nieprzebrane źródło bohaterstwa! Jakiejże żywotności jest organizm, z którego tyle krwi wytoczyć można — a on żyje...

Biorę gazety, rzucam z przerażeniem. Krew... krew... Policja rani robotników, robotnicy policję, wojsko strzela do przechodniów, spiskowcy rzucają bomby na wojsko, nożowcy rabują sklepy, socjaliści rzną nożowców, rzeźmieszkowie biją terrorystów, terroryści — rzeźmieszków... Kołowrót dymiący śmiercią... wszędzie strzały, mordy, krew...

Komu to potrzebne i na co!...

Wytworzyła się stała rubryka zabitych. Pięćdziesiąt trupów nikogo nie dziwi. Człowiek przemienia się w głuchą i ślepą maszynę, której nie wzrusza ryk kanonady i trzask walących się domów...

Co będzie dalej? Jak się powikłają jeszcze to straszne stosunki, gdzie człowiek dla człowieka jest zwierzyną?

Marta szaleje. Nozdrza jej rozdymają się, jakgdyby wietrząc krew. Wygląda, jak Napoleon, liczący narody ujarzmione. Każdy zabity stójkowy przyprawia ją o paroksyzm radości.

— Na Boga... — szepnęłam. — Cóż ten człowiek winien?

— W jego osobie karze się system.

— Budzicie hyenę, drzemiącą w każdej duszy ludzkiej... Rozpalacie pożogę, której nie zdołacie ugasić! Dzięki wam, życie stanie się jedną areną, gdzie czyhać będziemy na siebie z pazurami!...

— Paradna z was istota... Może litować się będziecie? o duszyczko sentymentalna!...

Marta mówi niezłomnie, terroryzuje mnie apodyktycznością. Opuściłam głowę. Cóż ja znaczę! Każdy jest mędrszy, bystrzejszy, wymowniejszy odemnie, każdy więcej czytał i ma więcej cytat w zapasie, niż ja tytułów książek... ja, głupia, nauczycielka wiejska... Wiem. W historii niema sentymentalizmu. Przez ciąg dziejów przeplątuje się wiekuiście jedna i ta sama zwrotka: biała zwyciężonym... Ale jednak... Ale jednak...

Tak mi smutno...

43.

Byłam z Martą w teatrze, oczywiście, na najwyższym piętrze, pod sufitem. W krzesłach zobaczyłyśmy Oreckiego z żoną.

Osoba nie pierwszej już młodości, ale odświeża się sztucznie. Cała we fiokach, uśmiechach, przymileniach. Rozmawiała z dwoma panami, siedzącymi o rząd dalej. Co chwila obracała się do nich ze śmieszną minanderyą czterdziestoletniej naiwności. Aż mnie wstyd brał za nią.

Obok niej siedział Orecki, chmurny, jak noc.

Spotkaliśmy się przy wyjściu z teatru. Subtelnie drwiący uśmiech przewinął mu się po ustach.

— A te dwie gwiazdy skąd tutaj?

— Z paradyżu! — odparła Marta.

Wyraził zdziwienie iż dotąd nie wiedział, że ja jestem w Warszawie.

Milczałam, pozwalając im wdawać się w skombinowane spiski co do jakiejś sprawy.

— Zatrzymają się panie chwilkę? Tylko odprowadzę legalną połowę do ogniska domowego.

— Byle niedługo.

— Oh, mnie jeszcze pilniej, niż paniom!

Czekałyśmy w kawiarni.

— Nie rozumiem takiej Oreckiej! — mówiła Marta. — Ja na jej miejscu plunęłabym mu w gębę i i poszła, gdzie mnie czy poniosą.

— A miłość?

— Miłość? Gdzie mnie policzkują dzień po dniu? Toż dla niej samej lepiej byłoby przecierpieć raz i niech się skończy!... Orecki wpadł rozpromieniony.

— Służę paniom.

Marta jest wysoka i bardzo przystojna. Nasz Demostenes bynajmniej nie jest obojętny na takie cechy. Ja szłam w milczeniu, chmurna, zinknięta w sobie. Zwykła powłoka moja dni codziennych...

Odprowadziliśmy Martę, a że do ochrony mojej daleko, zaproponował dorożkę.

— Co się pani dzisiaj stało? — spytał, pochylając się nademną.

Szukał rąk moich, ścisnął mocno, podniósł do ust. Oburzyło mnie to. Tak bez wstępu? Po półrocznem niewidzeniu? Jakież ma prawo!...

Zaczął mówić o sobie, o swojej przyszłości...

Świat go uważa, i — co gorsza — on sam się uważa czasem za skończonego... A jednak czuje, że nie wypowiedział się jeszcze, że jeszcze może coś dać światu...

I rozwijał projekty gorączkowe.

Nagle rzekł:

— Ucieknijmy zagranicę.

Poruszyłam głową z uśmiechem lekceważenia.

Nalegał:

— Ucieknijmy. Jak dwa ptaki przecinać będziemy Europę wzdłuż, wszzerz... Hiszpania, Grecya... gdzie pani zechce... choćby biegun północny!... Potem? Ach, co myśleć o potem? Żyć chwilą — oto najwyższa mądrość życia!

— Szaleć?... — szepnęłam wpatrzona w odległe majaki duszy.

— Szaleć... Czy potrafiłaby pani życie stawić na kartę? Ach, nie zna mnie pani jeszcze... Dla jednej sekundy gotówem umrzeć. Jedziemy na kolej... Dobrze?

Szukałam ucieczki od tych słów kuszących, od oczu, wbitych we mnie z żelazną wolą hipnotyzera.

— A działalność społeczna?

— Co mi społeczeństwo!.. Mam odwagę powiedzieć głośno, że mnie to nic nie obchodzi... Teraz, kiedy wrzenie sięga zenitu, kiedy spławy rozpalone są do białości, kiedy namiętności społeczne przeradzają się w fanatyzm... Nic mnie to wszystko nie obchodzi!.. Mam jedno życie—jedno tylko życie—i chęć wysączyć je do dna... Bez zastrzeżeń i bez tchórzostwa...

— Takiś to społecznik, bracie... — myślałam z ostrym żalem.

W półmroku ostra twarz Oreckiego, jego szept namiętny, oddech palący tuż nademną—wydawały mi się, jak Mefisto-kusiciel.

Przed zamgloną świadomością błyskały, jak sztangi żelazne, te wyrazy:

— Maryan... Orecki... Iluż ich będzie jeszcze?...

— Wszyscy jesteście erotomani... snuło mi się po myślach, niby ostatnia zwrotka ulatującej pieśni. On... ja... my wszyscy... Wypełniamy życie pogonią za wrażeniami, nie łudzając się ani na chwilę. Oboje szukamy w sobie lekarstwa na chorobę chroniczną — zapomnienia... Potrzeba nam co czas pewien wrażeń silnych, wstrząsających... Morfinizm myśli...

Ucieliłam.

Wpadłam do domu, przycisnęłam głowę rękami. Strząsnąć! Zapomnieć!... Obmyć się w jakiejś krynicy czystej... Zrzucić wszystko, jak szaty zbutwiałe...

— Wszyscy jesteście erotomani... chichotał mi chochlik jakiś posępny na dnie serca. I takie to nasze społeczeństwo...

44.

Maj... Słońce... Upały...

Przez otwarte okno mej klasy wpada zapach bzu i płochliwe, okrągłe cienie liści, ruszanych wiatrem.

Chodzę, jak mara, siedzę na lekcjach rozbita, z sińcami pod oczyma. Prawie nie słyszę, co mówią do mnie.

Pani Szelska radzi mi na wieś wyjechać.

— To wiosna... — mówi. — Ja, jak byłam młoda, to mnie tak nieraz przecie rozbierało na wiosnę, że ani weź, rady dać sobie nie mogłam. Mówię pani od serca, jak matka. Na wieś... a potem za męża...

Zdaje się, że sama ma zamiar postąpić podług ostatniej recepty. Zamyśla się tajemniczo, odbiera listy, które drze zaraz...

Służąca moja chodzi z zapuchłymi oczyma. Jest tu w grze jakiś pan Wincenty.

Któregoś wieczoru odwiedziła mnie Władzia. Wzdycha i wzdycha... Jest po słowie z Bolkiem, ale nie mogą się pobrać, bo nie mają utrzymania.

Miłość tu... Miłość tam...

Zaprawdę, ona jest osnową wszystkiego, ona przepaja wszystko!...

W tej olbrzymiej fali erotycznej ja tylko chodzę wytracona, wykolejona...

Dokąd mam iść?

Czuję znów to, co niegdyś...

Pęd nieprzepartry pcha ludzi ku sobie. Ludzie parami idą przez życie. Osobniki samotne wyglądają dziwnie i dziko.

Orecki zasypuje mnie listami.

„Jak dwa duchy... W przestrzeni... Tylko... Bez zastrzeżeń i bez tchórzostwa...”

Z początku darłam listy... Przychodzą coraz nowe... Codziennie...

45.

Jadę.

Chcę raz w życiu zaznać upojenia ruchu, zachwytu bezgranicznego, jak wtedy, w noc pochmurną w Zalesiu, gdy miałam towarzyszyć pani Rzeczyckiej... Raz w życiu wyjść poza normy—prawidłowość—równe i odmierzone koleje... Być, jak gwiazda—daleka — bezimienna — w przestrzeni... Życie koczownicze, prężne, ruchome... O rozkoszy!... Żadnego z tych drobiazgów codziennych, które wżerają się w duszę...

...I przyjdzie koniec tej miłości naszej,
Ostatnie iskry wyleją w popiele,
Pusta oziębłość rozgości się w ciele,
A żądzę zмора przesyty wystraszy...

Zorza uniesień, dusz wezbranych święto
Zagaśnie w szarej przędzy powszedniości...
W wyziębłem ciele pustka się rozgości,
Jak w wykłószonej niwie, którą zżęto.

Co damy sobie? Jakie talizmany
Na długą drogę i na dzień powszedni,
Za raj prześniony wspólnie i wykany?...
A może z siebie odarci i biedni
Z zimnem i wrogiem pójdziemy obliczem
W dwie świata strony — by sobie być — niczem...

Co tam... Bez tchórzostwa!... jak mówi Orecki...

Wieczorem.

Szłam do sklepu po ostatni sprawunek na drogę. W ogrodzie Saskim przesunęła się koło mnie wysoka postać.

Żona Oreckiego.

Nie zna mnie. Szła z zupełnem zaniedbaniem, patrząc gdzieś przed siebie. W tem zgnębieniu pierzchała sztuczna, głupia zalotność, która Oreckiego do pasy doprowadza, a z kobiety tej czy-

ni pośmiewisko wszystkich. Patrzyłam na nią i wzroku oderwać nie mogłam od głębokiej, bolesnej zmarszczki na czole.

Uderzyła mnie myśl:

— Tę zmarszczkę wyżłobiłaś może ty...

I z błyskawiczną szybkością rozwijać się zaczęły myśli, jedne z drugich. Czemu się zbliżam do niego? Co nas ciągnie? Czy go choć kocham? Nie. Czy on mnie kocha? Nie. Przyciągamy się i odpychamy naprzemian, gramy w kota i mysz... turniej dwóch dusz rozpróżnionych...

...I przyjdzie koniec tej miłości naszej,
Ostatnie iskry wyleją w popiele...

Dlaczego więc?...

Zbudził się we mnie głos prostej, elementarnej uczciwości, bez sofizmatów. Marta mówi wprawdzie, że dla tej kobiety byłoby lepiej, żeby ją ktoś uwolnił od męża, obelg i poniżeń. Ale nie idzie o tę kobietę... co mi do niej... Idzie o mnie...

Nie chcę abym ja to czyniła. Nie! nie! nie!...

Wiem, że Orecki będzie piorunował na mój sentymentalizm, połowiczność, na to, że nie jestem człowiekiem, że zaledwie powiedziałam: „bez zastrzeżeń i bez tchórzostwa,“ już tchórzę i już się zastrzegam... Znam na pamięć całą tę litanię. Ale uciekam od niego od siebie, uciekam, nim się dowie, nim zdoła mnie dogonić... Uciekam w świat...

46.

Góry, doliny, wsie, miasta, wieżycy kościelne, rozwłózione nad dachami chmury dymów, kominy fabryczne, okratowane prześła mostów, wiszary skalne, kurytarze z kamienia, tunele, *almy*, przełęcze, stare zamki na szczytach...

Jadę, jadę...

W uszach mam szcęk i grzechot pędzących wagonów. W ustach smak dymu i kurzu. Oczy mnie bołą od przelatujących widoków, od nadmiaru obrazów, od tysiąca twarzy, co przemijają, wchodzą i wychodzą... Przymykam powieki, znużona. Pędzę na skrzydłach pociągu, który rwie, gwizdże, jęczy...

Nad wieczorem przyjechałam na małą stację Mori. Zapadał mrok cichy, bezszelestny, owijał góry łagodne, białe wille, wynurzone do połowy z gajów cyprysowych... Mgły wysuwały się, niby z niewyczerpanego tygla... Widma gór rozplynęły się w obłoku liliowym, przejrzystym... Wjechaliśmy w olbrzymią kotlinę, na której dnie, wśród rozmięconych głązisk, drzemie małe, zielo-

ne, jak szmaragd lago di Loppio... Dokoła poszczerbione strażnice, wieże strzaskane, złomy druidyczne, rumowiska kamieni, niby ślady jakichś zapasów Tytanicznych, gdy namaszczeni oliwą półbogowie przerzucali się blokami stupudowymi... Skamieniała groza... zwałiska jakiegoś Colosseum Gigantów...

— Jestem we Włoszech... — szeptałam, otwierając oczy szeroko, drżąc, jakby w obawie, że ten sen zbyt piękny rozwieje się za chwilę...

Gwiazdy nad dymiącymi szczytami... W powietrzu zapach nieznanych mi kwiatów... Gąszcze trzcin przebłyskują iskrami złotemi... To robaczki świętojańskie... Zdaje się że całe powietrze błyska... Po płotach z kamienia wiją się róże. Niedziela. Na każdej stacyjce wsiadają i wysiadają tłumy. „Ciao!...“ leci ku odjeżdżającym. Dziewczęta bez kapeluszy, o bajecznych oczach, z bukietami w ręce, wpadają, śmieją się, przekomarzają z konduktorami. Wagon wypełnia nawoływanie: „S'è divertito?“ „Molto!...“ Ktoś rzucił gałązkę pachnącego pnącza „il biancospino.“ Podejmuję ją, przyciskam do twarzy...

Jestem we Włoszech...

47.

Arco. Stacya klimatyczna w kotlinie górskiej. Gmachy, na których wypisano wołowemi literami: *Stabilimenti di cura per sole, luce, aria ed elettricità...*

Długie szpalery krzewów południowych, palmy, youki, oleandry rozłożyste, magnolie oblepione kwiatem wielkim, jak talerze, róże... ach, takich róż nie widziałam nigdy jeszcze! Pokłady, nawałnica, potop!... białe, różowe, szkarłatne, żółte... kwiat na kwiecie, wiszą na murach, pełzają po grzędach, cisną się jedno na drugie... kwitną, przekwitają, rozsypują płatki dokoła...

I ani żywej duszy...

Sezon się skończył. Anglicy znikli. W willach pozapuszczano okiennice, *stabilimenti* zabite na głucho, plac tenisowy zarósł chwastem i perzem. Lampy żarowe zlewają światło na puste alce...

Tylko między gotykami cyprysów zerwie się czasem wicher przelotny, zmiecie parę garści wonnych...

Siedzę na ławce.

Na niebie nawisły chmury ołowiane. Rozbijają się o cypłe, rwą na strzępy nad czołem starego zamczyska. Drobnny deszcz pada melancholijnie, od niechęcenia... spadną dwie, trzy krople leśniwe... Czasami... Niekiedy...

Pusto, cicho, niby na jesieni, u nas, gdy wszystko zamiera i gaśnie. Ale u nas wtedy łąki są zwarzone, drzewa bezlistne i wszystko łąka głoszę o śmierci. A tutaj róże kwitną, ziemia chce żyć!... Czekam, czy z długich wiaduktów alej nie wypłyną strojne postacie, nie zaszeleści jedwab, nie rozebrzmi śmiech wesoły... Czekam... patrzę...

Godziny płyną...

Zamek na skale owinał się cały w opony strzępiaste. Od stacyi przyptynał świst: odszedł ostatni pociąg do Mori... ostatni ślad życia w tej pustce zamarłej. Wlokę się w głąb mrocznych cyprysów, pod obłokiem mżącego deszczu, samotna, jak duch pokutujący...

48.

Kołyszę się w łodzi, nad wodą błękitną, drżącą, ruchomą, skier świetlistych pełną... Rozkołysane, przelewne fale... Marzenie z szafirów... Sieć srebrna, w której przebłyskują klejnoty turkusów... W słońcu toń jest błękitna, jak tęsknota, w dali ciemniejże najczystszym lazurem. Wiatr porusza, ożywia wody, zapala ognie mgotliwe...

Patrzę w szczyty okoliczne, przepowiadam sobie leniwo:

— Monte Baldo... Monte Stibo... Monte d'Oro... Monte San Giovanni... Colle Brionne...

Góry przesłania leciutki opar rozgrzanej wody. Na pochyłościach leżą wille między winnicami. Okolica dzika, smutna. Nagie skały dźwigają się wprost z jeziora, ponure głązy wiszą, jak groźba. Wielkim trudem i kosztem wykuta została nad brzegiem „*strada del Ponale*“

Tu i tam jakieś wsie, miasteczka nawpół zrujnowane, poczerniałe, biedne...

Gdzieś, w mgłach złotych, majaczy Malcesine, otoczone gajami oliwnymi i tarasami cytryn...

I śnieżny, rozrzepotany żagiel barchetty...

Tam już Włochy...

Przewoźnik mój, jak wszyscy tu, w Rivie, jest Włochem, ale poddanym austriackim. Jak wszyscy współziomkowie, nienawidzi Niemców. *Tedeschi* — to nieznośny naród, który co wiosnę wali się po wandalsku do Rivy, ale trzeba go znosić, bo ma *dannari*. Tedesków można, a nawet należy, ze skóry obdzierać. Tedeski nie pozwalają śpiewać hymnu Garibaldiego i sadzają za to do kozy... Ale... niechmo polityka się zmieni... My jesteśmy

Włosi, my nie chcemy służyć w wojsku austriackiem. *Fuori d'Italia, fuori o stranier!*... ¹⁾

Z pomiędzy skał wypada pęd rzeźwego powietrza. Signor Georgi przykłada palec do ust ze znaczącym, skupionym uśmiechem.

— Senti? È l'aria d'Italia!...

Powiew z Włoch! Ziemia obiecana! Wrota raj utraconego...

Już wyłania się Riva z arkadami nadbrzeżnych gmachów, z wysoką starą basztą.

Placyk nad jeziorem cichy, pusty. O tej porze roku pierzchyły mizerackie dusze, poszukujące kuracyi „słońcem, światłem i powietrzem.“ Na ławkach ziewają oficerowie austriaccy z miną wygnańców. Czasem zjawi się turysta, należący do klubu alpejskiego, lub młoda para w podróży poślubnej. On w tece podręcznej szkicuje krajobraz, sutymi dawkami ultramaryny zaznaczając żywe, rozbełkotane fale. Ona korzysta z wolnej chwili i pracowicie smaruje *Ansichtskarte*. Potem odchodzą, bardzo zadowoleni z podróży i z siebie.

Na piasku wylegają się marynarze, ćmiąc fajeczki. Słońce pełga po ich twarzach miedzianych i niekonicznie białych koszulach...

Dopiero po obiedzie zaludnia się, przychodzą Włoszki o cudownych oczach i brudnych rękach, niby robiąc robotę, a w rzeczy samej rajcując całemi godzinami, bez przestanku, bez umęczenia. Koło nich uwijają się czarne, jak dyablęta, *bambini*, umorusane, nieznośne, krzykliwe... krzykliwsze chyba od wszelkich dzieci świata.

Wracam do domu.

Mieszkam przy rodzinie włoskiej, w wysokiej kamienicy, pośrodku zaułka, cuchnącego kwaśnem winem. Rodzina składa się z matki, czterech siostr i brata. Jest jakby na zawsze zniażdżona nieszczęściami familijnemi, które miały być wielkie, ofiarowana na dół smutną i beznadziejną...

Pytałam jednej z signorin, czy chciałaby za mąż wyjść? Odparła, że dość już przeszła krzyżów w życiu.

— Ależ małżeństwo nie zawsze jest krzyżem. Może być i szczęściem...

Otworzyła oczy. Czy tak? Nie wiedziała...

Wszystkie cztery marzą o Italii, której nie znają. Słowa; *Venezia, Firenze, Roma* wymawiają z żarliwością uniesienia pobo-

¹⁾ Z hymnu Garibaldiiego.

źnego. Brat był raz w Medyolanie; za powrotem, z głębi serca, wezbranego patryotyzmem, krzyknął: „Evviva l'Italia! Evviva il Garibaldi!...” i za to siedział trzy dni w kozie... One nie były nigdy, bo nie mają pieniędzy.

Wszystkie cztery za to mają suchoty.

Wieczory są ciche, smutne. W nielicznych kawiarniach pustki. Czarnookie Rivanki, ująwszy się pod rękę, spacerują po dwie, po trzy, bez kapeluszy, jak na wsi.

Największe ożywienie jest jeszcze przy stacyi, gdy przychodzi pociąg z Mori. Lampy łukowe oblewają światłem dziedziniec, gdzie się uszeregowali wysłańcy hotelowi w beznadziejnem oczekiwaniu gości.

Teatru niema. Jest wprawdzie gmach, ale nie dają w nim przedstawić, bo największy dochód nie pokrywa kosztów...

Smutno... bezgranicznie smutno...

Ta miejscowość nie jest zdrowa... Wszystkie Rivanki są blade, przejrzyste, jak papier, zdaje się, że kropli krwi w nich niema. Obcy przyjeżdżają tu po zdrowie... wypili widać wszystkie soki żyzne z tej ziemi — i dla swoich już ich nie starczyło... Mgły kłębią się nad jeziorem... Wille mrocznieją między kolumnami cyprysów. Cienie gór majaczą złowrogo i mnie, com się nasłuchiwała opowiadań signora Georgi'ego i moich signorin, zdaje się, że to jakaś ciężka prawica, wisząca nad miastem...

49.

Naprzeciwno mnie, przez uliczkę, mieszka szewc. Widzę go przez cały dzień, schylonego nad kopytem. Pracuje i śpiewa:

O Mimi, tu piu ne torni...

Rozbita na echa, piosnka powraca do mnie... Na placu, na jeziorze, w odgłosach górskich... Grano tu niegdyś *Cyganeryę* i cała Riva ją śpiewa, aż mi się dusza rozdziera...

Idę kamienistą ścieżką pod górę.

Od niewidocznych ogrodów, płyną zapachy róż, lip, magnoli... egzotyczne, upajające, jak senne wspomnienie lepszych bytów... Po murach pną się winorośle...

Przed oświetlonym tarasem hotelu „Sole d'oro“ stoi śpiewak w łodzi. Wiem, że śpiewa dla pieniędzy, dla marnych paru groszy, ale ten głos ciepły, egzaltowany łączy mi wyciska z oczu.

Idę coraz wyżej, coraz szybciej, naprzekór sobie, naprzekór urokom, które są już dla mnie szyderstwem — żalem — przeszłością...

Siadam pod kruszącą się basztą Skaligerów. Wyłomy patrzą czarnymi czeluściami. Het, w dole, Riva jaśnieje, poznaczona kwadracikami świateł. Białe drogi do Arco, do Torbole. *Viale Dante* wysadzona kwitnącymi magnoliami...

Lampy łukowe ślą wgłąb wody drżące, wyłamane smugi...
Notti sul Garda! Noce na Gardzie! Są pod tym tytułem walce marzące — i nowe egzotyczne, canzoni i karty pocztowe. Z po za Monte Baldo wyłania się pomału księżyc, welony mgieł opadają z przyczół górskich, świetlistość rozpełza się po wodzie, płoną błyskawice... Gdzieś, pośrodku topieli, rozjarzył się wielki krąg zwierciadlany. Drobne światełka tańczą dokoła, gonią się z chichotem. I kędyś, w powietrzu drży piosenka:

...O Mimi, tu piu ne torni...

Przekłęta muzykalność włoska! Przekłęty kraj melancholii!
 Może to dusze dziewic tutejszych, które mrają powoli w ciemnych izbach starych domostw... Może to ich niewypłakane tęsknoty... A może to ja przyniosłam w sobie ten smutek śmiertelny?... przebiegam miasta — góry — doliny — a on za mną... I próżno uciekać będę... On pójdzie za mną wszędzie...

Ukrywam twarz w rękach.

...I nigdy już nie wrócę mi
 Wiosenne sny, młodzieńcze łzy...
 I nigdy drzeć nie będzie piersi
 Jak w te pamiętne szczęścia dni...

Czyż nigdy na jawie nie doznam takiego wniebowzięcia, takiego zachwyty zupełnego, jak wtedy, w Zalesiu? w marzeniu?... Kraino cudu i słońca!... Czemu mnie smutkiem poisz? Czemu nie mogę oderwać się od wszelkiego, pozostawionego na tamtym brzegu?... Niosę w sobie słowo żałoby, które omracza wszystko dokoła. Odemnie się cienie na tej ziemi kładą. Brak jakiś czuję, minus niewypełniony. Tylko łzy mam w oczach... i tęsknotę, tęsknotę...

50.

I znów uciekam od samej siebie. Z parostatku na pociąg, z pociągu na statek... Tułam się, a ze mną ta massa uczucia niepotrzebnego, którego niema oddać komu. Gdy mi się zaczyna czynić źle, gdy widzę, że poprzez uroki nieba i ziemi przeziera stare, chroniczne zło—„rachunek!..“ Za godzinę już mnie niema...

Przejeżdżałam, jeziora ciche, tarasy róż i wawrzynów, wieńce bluszczu nad zamarłymi willami. Szumiały mi gaje eukaliptusów... Jarzyła się flotylla płomienistych gwiazd jeziora... Przez wodę leciały do mnie dzwony wioski San Giovanni... Przejeżdżałam wody, zielone od roślinności, wiszącej po górach, zamknięte kondygnacjami gór granatowych, lapisowych, sinych,—coraz bledszych, mgławszych, rozwiejniejszych... Patrzyły na mnie czarne wnętrza Gandryi.

I znów niósł mnie parowiec po usniechniętym szafirze, między białemi i różowemi miasteczkami, gdzie wyrastają dwa cudowne bukiety tych wód: Itola Madre i Itola Bella...

Rzucałam róże w wodę świetlistą i płonąca. Patrzyłam w pomarańczowy smug zachodu za tarasami gór. W bardzo pogodne dnie widać daleki szczyt, uwieńczony śniegiem! Simplon, Simplone. Nazwy dzwonią, jak muzyka... Otom we Włoszech... Marzenie zlewa się z rzeczywistością... moje stare, odwieczne marzenie... A ja, w kraju magnolii, mam wizye krwi w oczach i smutek śmiertelny w sercu.

I gna mnie coś. Z ludzi spotykanych, z miejsc widzianych, utworzyła się jakaś mozaika mglista. Widzę wszystko, jak w obłoku.

Lecę... lecę... nie wiem, dokąd...

51.

Nad wodą świetlistą i bezdenną...

Dokoła olbrzymy granitowe, o czołach z lodowców... Mała, słoneczna wioska szwajcarska przy wielkiej drodze Święto-Gotardzkiej, łączącej Włochy z Europą środkową. Powozy, samochody, rowery, piesi wędrowcy z tobołami na plecach i koszturami w dłoni... Od rana do nocy! Aż oczy bolą i w głowie się mąci.

Siadam na stacyi. Koło mnie przepływają fale wszystkich nacyj świata. Anglicy, Niemcy, Francuzi, wystrojeni, jak do wyjazdu na corso. Stada Amerykanek, każda z Baedekerem, Kodakiem, lunetą i ręczną walizką. Istna wędrownia narodów! Najrozmaitsze gwary, typy południowe, oliwkowe cery, oczy dzikie i płomiennie...

Pociąg wpada, wchłania te pstre, różnojęzyczne fale; z tunelów przybiegają jego gwizdki rozpaczliwe. Na pustej stacyjce zostaje zawiadowca i ja.

I tak co godzinę. Słowa niema do kogo przemówić, bo każdy jedzie gdzieś dalej, dąży dokądś, spieszy się...

„Pod ścianą ze skal i pod wieńcem borów
 Stoї, cichości pełna i kolorów
 Tella kaplica...“

U podnóża jej siedzę na zrębie kamiennym. Nademną lipa aż do wody opuszcza gałęzie, oprószone złotym kwiatem. Woda zielono-szafirowa drga, jak żywa, wstrząsa się, chybotce, wylamuje w garby, przelewa przez samą siebie, rozplywa z pieśnią wiekuistą plusku i szumu. Parowce suną, jak rybitwy srebrne, a za nimi wstęgi światła — zórz — połysków... Na dalekich szczytach lodowych gra słońce...

W tem samym miejscu siedział przed pół wiekiem genialny poeta z najukochańszą kobietą. I dla niej rwał żywe, bolesne włókna serca i wił z nich przedzę cudowną. Dziś... To, co było skargą, tęsknotą, szałem, czyta na zimno jakiś „literat,“ szukający wzorów, jakaś znudzona pensyonarka, której zadano ćwiczenie...

Blednie słowo wobec życia. Najpotężniejsze, najgenialniejsze słowo jest tylko formą kruchą i przechodnią... Należałoby tworzyć poemat w materyale trwalszym, wiekuistym: w czynie...

...Jezioro kołysało się od brzegu do brzegu, rozfalowane, niosąc na sobie łuskę błyszczącą, i cienie od szczytów górskich, i złote uśmiechy słońca, i igrzyska wód żywych. Osłonecznione lasy mieniły się, jak wzdęte nurty zielono-złote. Senność płynęła od gór — od borów — od wody...

Wszystko przeszło... wszystko...

Tylko miłość trwa. Ta sama miłość... Ludzie udarowani od losu i ludzie po za nawias życia wyrzuceni, w ogólnej treści żyją tak samo. Rozmaitość w powszechności, powszechność w rozmaitości... Jednakie etapy życia: urodzenie i śmierć. Jednaką fatalność... Bo wszystko się powtarza — tylko życie coraz nowe wyrazy podstawią pod te same pojęcia...

I zaczęły się winać wspomnienia...

Jak to już dawno, gdy chodziliśmy pod rękę przez cieniste aleje Łazienek i jedno niebo mieli w sercu. Jak bardzo odsunęliśmy się od siebie... Z kochanków płomiennych staliśmy się obcymi...

Ja błądzę samotnie z kraju do kraju. Ty... Nie wiem, gdzie jesteś, nie chcę wiedzieć... O miły, miły, najmilszy...

Jakże to się stało? Jak to się stać mogło?...

Daleko jesteś, a pełno tu Ciebie... Słyszę głos twój w plusku fal, w szumie borów na reglach niedostępnych... Twoja-m na zawsze. Przyjdź. Razem patrzeć będziemy w odmět lazuruowy,

w płomieniste róże, w obłoki mew, podobnych do dalekich żaglowców. Z ust swych pić będziemy pieśń życia... Bez ciebie niema dla mnie życia...

...I nigdy już nie błysną mi
Te słodkie łyzy, te twórcze łyzy,
W których spiżowy dźwięczy grom...
Jak za minionych szczęścia dni...

I nigdy już nie zabrzmie śmiech,
W gędzących sto rozdzwonion ech...

Drzę, nad słuchuję... Umieram z żalu... Nie umiem żyć bez ciebie... Nie umiem, nie mogę. Przyjdź!... Po co takie uszczuplenie życia, dobrowolne odarcie z harmonii, czaru, rozkoszy... O, drogi mój...

Po dniu upalnym i złotym nadchodzi wieczór. Gasną szczyty, fale i liście. Bładym korowodem wynurzają się mgły z wądołów. Mgły wiotkie, liliowe... Po świetle błędzą po wodach, a mrok czyha na nie, goni je, dusi...

Chłód płynie od lodowców niewidzialnych. W mroku olbrzymieją harde głowy kolosów górskich. Po grzbietach ich świecą wieńce płomieni. Ogromne hotele jaśnieją jak latarnie. Wskroś lasów przedziera się wagon, niby długa lizka, nabijana światłkami...

Rzeczywistość jest za piękna... niepodobna opisać jej słowem, bo słowo staje się banalne, jak symbol zużyty — wobec tej poezji realnej i wiecznotrwalej... Zakrywam twarz, dusi mnie łkanie, szlocham głośno, rozpaczliwie. Wezbrana fala uczucia porwa mnie, wchłania, zalewa...

52.

Jadę królewskim szlakiem złota i szmaragdów, pod bramą z tęczy, rozpiętą od chmur do chmur... Z tęczy pędzących potoków... Zachód obrywa róże z wieńca zórz krwawych i miecie w wodę, palą się żagwie złote w głębokościach, za statkiem ociekają łyzy rubinowe i płomienne. Roziskrzyła się dal, niby kraina mistyczna...

Na statku tłumy. Niedziela. Wracają pary kochanków do miasta. Koło mnie stoi dziewczyna w stroju berneńskim: biała koszula, gorset aksamitny, srebrne gwiazdy i sznury... Uśmiecha się... Młody chłopak z fajką w ustach szepece jej ciągle coś do ucha...

I ja niegdyś byłam kochana...

Dusza moja wtedy, niby kwiat do słońca, rozwierała się do zrozumienia i objęcia cudu... Dziś zamknięte wierzeje królewskie... Nie rozumiem, nie wiem...

I nigdy już nie błysną mi
Te święte łzy, te twórcze łzy,
I nigdy już nie zadrza pierś,
Jak za minionych szczęścia dni...

Przeszło. Suchem okiem patrzę w obrazy czarodziejskie. Wyrosła we mnie twarda obojętność... Pół Europy przebiegłam, szukając zapomnienia. I nie zapomniałam... Tylko w sercu, na miejscu dawnych uniesień, rozgościła się sucha, grobowa pustka... Zmarnowałam życie... Ze wszystkich kwiatów jego wyziera ku mnie śmierć...

Zdaleka już, całe w błyskach, ogniach i łunach, jarzy się miasto... Na jasnym wybrzeżu muzyka...

Myślę:

Czemu gna mnie pustka po świecie? Czem jest ona i jakie jej imię? Co jej treścią? Najpierw była tęsknota... Teraz już nie tęsknota... Po za jedną twarzą ukochaną widzę dziesiątki, setki twarzy innych... W echa głosu jego wplątują się głosy inne, ochryple, rozpaczliwe... Odpycham gazety... a przecież drżącą ręką szukam rubryki jednej i tej samej... Patrzę, czyja krew znów oblała kamienie uliczne... jakie życia poszły na ofiarę... W pośród uroków nieba i ziemi krzyczy we mnie głos jakiś obcy, nieznan, imperatyw kategoryczny, echo stron dalekich... Czuję w sobie dominujący nakaz, który mi powtarza: „Nie tak... Nie tak... Nie tak...”

53.

Jestem w Paryżu.

Wmęczam w siebie ogólniki, które wypada mówić w tych okolicznościach: „Oto stolica świata, ognisko nauki, sztuki i cywilizacji, ziemia historii, wielka zbiorowość, gdzie idee krążą w powietrzu.”

Chodzę, potrącana i ogłuszona. W głowie mi się kręci od dzwonek, gwizdów, trąbek, krzyków, nawoływań. Ktoś rzuca mi w przelocie jakieś słowo, przystaję zmieszana, oglądam się... Dopiero po chwili miarkuję, że to uwaga żartobliwa, wybryk dobrego humoru galijskiego.

I wlokę się dalej.

Dławi mnie coś, jakgdyby te miliony domów zamknęły mi na wieki horyzont świata i nie miały już wypuścić z objęć kamiennych.

Przysiadłam na jakiejś ławce.

W ogrodach bez życia sterczą obłuskane gałęzie kasztanów. Poschłe, zczerniałe liście wiszą, czyniąc wrażenie organizmu przedwcześnie zniszczonego. Z wiecznie zachmurzonego nieba płynie duszność i upał. Unoszą się kłęby kurzu, dymu i sadzy. Wyziewy ohydne... Od dzielnic fabrycznych nadjeżdżają furgony, brzydki, obciążone, cicho turkocące...

Wydaje mi się, że miasto to — to wrzód olbrzymi, co się położył na ziemi i ssie ją. Wszystko pożera, nic za to nie dając...

A, prawda... Oddaje „sztukę, naukę, cywilizację...”

Zwiedzam muzea, ziewam nad szpargałami chińskimi, nad posążkami Buddy, nad pirogami Botokudów, nad czerepami, mumiami. Mijam zakurzone torsy bez głów, ręce, nogi, szczątki nosów i zbroic.

Wlokę się pomiędzy olbrzymimi płótnami. Oczy bolą od złocień, barw i połysków. Przed „Moną Lisą,” przed Boticellim tłumy, bo obrazy te zaznaczone są gwiazdką w Baedekerze. Nb. Boticelli tylko w ostatnich wydaniach Baedekera. Ci, co mają egzemplarze stare, mijają go, nie zatrzymując się.

Patrzę na kopistki. Legion ich. Wdrażają oczy we wzory, wmyślają się całym umęczeniem duszy w tajemnicę cudzej twórczości... Myślę: „I tu zachodzi nieporozumienie.“ Czy nie należałoby raczej zniżyć do życia, patrzeć w życie... i tworzyć? Czy życie nie jest jedyną prawdą i jedynym celem? Ale sztuka, to kraina odrębna. „Odrębność klasowa,” powiedziałabym, posługując się analogiami z innej dziedziny. Świat barw, linii, światłocieni, niema z życiem, jako takim, nic wspólnego. Nic nie tłumaczy, nic nie objaśnia. I dlatego mijam go zinną i idę dalej, zapatrzona w czarne pytańniki mej duszy.

Na placu Bastyli stałam godzinę.

Tu lud własną ręką zburzył ostoję przemocy, zdobył ostatni szaniec starych porządków świata i otworzył drogę dla nowego życia...

Ziemia historii...

Patrzę dokoła. Jadą fiakry, omnibusy, śmigła Metropolitan... Ruch spokojny, uregulowany, daleki od płomieni rewolucyj... Jakąż fatalność prze ludzi, aby się poświęcali dla przyszłości, nieznannej i nieobliczalnej?

Siadłam na kozioł omnibusu, pierwszego lepszego i takjechałam przez Paryż. Zmierzch brudny, mglisty, rozwiesił się nad miastem, po przez łyzy deszczu łyskały nudnie lampy uliczne. Mokre chodniki leżały, jak łachmany błotne przed stopniami sklepów. Kawiarnie i restauracje, teatry, cyrki, rozjarzone od świateł, wchłaniały wciąż, to wyrzucały fale ludzi. Pod rozpiętymi parasolami mknęły sylwetki, dążące gdzieś, śpieszące. Ja tylko jedna wlokłam się bez celu, bez racyi, bez potrzeby. Uderzyło mnie raptem poczucie strasznego osamotnienia. Nigdy ostrzej nie wystąpiło, niż teraz, wśród gromad ludzkich, rozbawionych w wieczór niedzielny. Widziało mi się, że gdybym upadła teraz i konała — taki wesoły Francuz mruknąłby swoje: „O, la, la!“ i poszedł dalej, nie oglądając się. Czułam przepaść między tym tłumem płochym, dowcipnym, ekspansywnym, całym nazewnątrz rozszalałym wolnością — a mną, płonką niw szarych i stroskanych, cichą, sentymentalną, przyuczoną od dziecka kryć się i maskować...

I czułam jeszcze żelazną spoistość gromad ludzkich i obcość ich dla samotników, jak dla żywiołu przeciwnego, wrogiego, wykluczającego je...

Wśród społeczeństwa trzeba żyć w rodzinie...

Zacęłam biedz do hotelu, byle się łudzić, że i ja mam cel, dom, przystań... Czułam się, jak stara, zdezelowana maszyna, która na każdy impuls odpowiedzieć może już tylko bolesnym skrzypem. Wszystko we mnie niszczało, obwisło, rozprzęgło się. Biegłam do swego pokoiku na piątym piętrze, nie patrząc na nic...

Raptem rzuciło mi się w oczy coś znajomego, rysy niezapomniane, zawsze obecne w duszy...

Stałam, przygwożdżona do miejsca.

Uciec, czy zostać?... Sen, czy jawa?... Ukochany, jedyny, wzywany łzami bólu, obłędu... Dziś właśnie, w takie strasne dziś...

...Stał i patrzył na mnie.

— Stachna tu?... — spytał cicho, jakby przypuszczając, że to, co widzi i mówi, to sen tylko...

— Ja tu...

— I dziś dopiero się widzimy...

Patrzyliśmy w milczeniu na siebie.

Postarzał, pochylił się, zrzedłe włosy, zmarszczone czoło mówiło o wielkiem zmęczeniu. To człowiek już skończony...

Mnie łyzy się kręciły.

Człowieku, coś uczynił ze sobą!...

I ze mną...

Tak mi żal... Za ciebie i za siebie...

— Stachna... Jak to już dawno... ach, jak dawno!.. Powiedz, od kiedy tu bawisz? jak ci się Paryż podoba?

Zaczęłam mówić o kulturze, ognisku nauki i sztuki, mówiliśmy oboje, przesadzając się w wykrzyknikach: „rozkoszne, wspańnięte miasto!“ A potem spojrzeliśmy sobie w oczy—i umilkliśmy...

I poznaliśmy, że trawi nas jeden i ten sam smutek... Ze oboje wyrzuceni jesteśmy rozmachem jakichś śmig potężnych... oboje — rozbitkowie na przeolbrzymiej puszczy... Ze przeżera nas strach przed obcością, nieznaną i bolesne poczucie samotności... że z tym milionowym organizmem nie wiąże nas nic, że gdy ustaną płatne i określone stosunki z gospodynią, sklepikarzem i t. d., jesteśmy sami, samotniejsi, niż na wyspie bezludnej... Że ta krynica, otwarta i bezdena, obojętna jest, jak Fatum... Że tu przyjsć trzeba silnym i zdobywczym, mając zęby tygrysa, a człowiek chwiejny i zbolały trawić się będzie sam w sobie, aż zginie...

Weszliśmy do jakiejś kawiarni... Jak niegdyś... Siedliśmy przy sobie, okrażeni hałaśliwą przeraźliwie, obcą tłuszcza...

Opowiadał mi, niepytany, o sobie.

— Nie żyję tak, jakbym chciał. Życie poszło na prawo, a ja na lewo, nie umiem wyplątać się z pęt musu. Może to bezwładność... Potoczyłem się w tę stronę, to i toczę...

Przetarł czoło.

— Ale ty, Stachno... mów mi o sobie... Nawet nie bardzo się zmieniałaś...

Milczałam.

Tyle razy w marzeniach, zaklinałam go, przekonywałam, szalałam... Teraz, na jawie, wydawało mi się wszystko, coby powiedzieć można, zbyteczne — dalekie — minione...

W dziwnym jasnowidzeniu widziałam przyszłość jego, jak na dłoni. Przenikało mnie zrozumienie nawskroś życia, nie tylko z mego stanowiska; ze wszystkich stron... Jakgdybym patrzyła z gwiazdy polarnej...

Wiem, że gdy byłam sztuczna, stylizowana, chytra i zaborcza—szalał za mną... A gdy miłość uczyniła ze mnie dziewczynę prostą i wierną, o sercu bijącym tylko dla niego, przestał mnie kochać...

Wiem, że i dziś może odzyskałabym miłość jego, gdybym przywdziała tę maskę...

Ale nie chcę. Gdybym ruchem palca mogła zmienić przyszłość — nie zmieniałabym...

Niech się stanie, co się ma stać...

— Zmęczony jestem, Stachno — szeptał. — Nie chcę już walczyć. Potrzeba mi spokoju... Chciałbym się ożenić. Cóż ty na to?

— Powinieneś... to będzie najlepiej dla ciebie.

Ten ból głuchy... czy we mnie? Nie... We mnie, lecz i po za mną. Gdzieś nieskończenie daleko... Za stu zatrzaśniętymi z jękiem podwojami...

— Powinieneś... — powtórzyłam. — To będzie najlepiej dla ciebie.

On patrzył we mnie.

— Jaki ja głupi... jaki ja może kolosalnie głupi... Czuję, że przy tobie jest szczęście, a brnę gdzieindziej — i zagrzęzną bez powrotu...

Wziął mnie za rękę. Odsunęłam go.

Zwolna wracaliśmy do domu.

— Czy daleko mieszkasz, Stachno?

— Nie. Tutaj.

— Naturalnie, zawiadomisz mnie, kiedy cię można odwiedzić, prawda? Oprowadzę cię po Paryżu...

— Do widzenia tedy.

— Do widzenia Stachno.

Wiedziałam, że to pożegnanie na wieki...

Kocham jeszcze, ale kocham miłość moją, nie tego człowieka...

Marzenie wydeło, wyogromniło do chimerycznych rozmiarów miłość tę, i teraz, przy tworze egzaltowanych zadum moich, rzeczywistość wydała się widmem bładem, bezkrwistem.

Patrzę i szepczę ze zdumieniem:

— Ty żeś to, bohaterze mego obłędu?...

54.

Jesienna glossa...

Wielki ogród Tuilleries przeredzony i poczerniały. Leżą liście z drzew, niemasz łabędzi na wodzie, niemasz róż na krzewach. Wiatr dzwoni żałośnie. Złowieszcze podmuchy idą w północy, a w nich kostnieje każdy promyk słońca.

Wielki chłód garnie mnie w swe ramiona.

Czynię testamenty życia. Istniałam przecież na powierzchni ziemi i lepiej, czy gorzej, ale odegrałam pewną rolę. Ludzie stali się ze mną, wchodzili w sferę myśli mych i czynów. Więc musi w tem wszystkim być jakaś racja — logika — sens moralny...

O Boże, znaleźć słowo życia...

...Szukając słowa tego, jakby we śnie
Idę przez życie — i wciąż w dal spoglądam
Wytężonemi oczyma boleśnie...

Jak przez sen idę po życiowej glebie...
Idę przez życie — i wciąż szukam siebie...

Widzę okiem ducha całą moją Odyseję.

Życie realne zdawało mi się grube, cuchnące, obmierzłe. Zamknęłam się w pałacu marzeń, w cieplarni, gdzie kwitną dziwne storczyki nadmiernie wybujałych indywidualności. I sama stałam się jak storczyk, daleki od życia...

Ale teraz spada odurzenie. Skończyłam z tkliwością, nie mam ochoty wpatrywać się dalej w duszę własną tylko. Potrzeba mi życia!.. życia!.. Pragnę żyć na ziemi, z jej bólami i troskami, z jej rozkoszą i pięknem!..

Poemat pisać czynem, tworzyć w życiu!..

I pierzchnie może zmora dni i nocy, zmora podróży, zmora mego istnienia: pustka... Ucichnie srogi głos nakazu wewnętrznego, który dotąd szeptał mi tylko: „nie tak...“ „nie tak...“ „nie tak...“

55.

Na bulwarze Ś-go Michała spotkałam nagle — Martę. Zdziwiłyśmy się bardzo, zaczęły się całować.

— Wy tu? skąd? Mówiono, że gdzieś po Włoszech błądzicie?

— Byłam i we Włoszech.

— Przyjechaliście zapewne na studia?...

— Zapewne.

— A ja tu już tkwię kawał czasu. Przyjechałam porozumieć się co do dalszego programu działania... Ale! czy też wiecie o Oreckim?

— Nic nie wiem.

— Baba przejęła wasz list pożegnalny... były sceny, awantury... Szczęście, że tak daleko, bo by wam chyba oczy wydrapała...

— Za cóż tak mnie nienawidzi?

— Bała się, że Jasiulek drapnie za wami... Cóż chcecie! to kwestya bytu dla niej!

Rozumiem.

To już nie romanse, ideały; to groziło porwaniem żywiciela, stanowiska społecznego, wszystkiego, bez czego ta kobieta byłaby zerem... I jej sztuczną, wysiloną kokieteryę rozumiem... Idzie

o przykucie męża za jakąś cenę. Toć to kwestya żołądka, tragicznie palący interes życiowy...

Runieniec oblewał mnie jak ukrop.

I ja miałabym... O, wyjść obronną ręką z brudu życia...

Bądź spokojna, niewiasto, o dobro swoje, ze wszystkim, co jego jest...

— Nieświetnie wyglądacie — rzekła Marta. — Ot, wyszlibyście za Maryana. Chłopiec szczery, jak złoto... i czuje chroniczną słabość do was...

— Nie chcę...

Wzruszyła ramionami.

— Nie rozumiem, doprawdy. Moje marzenie, to wyjść za mąż i mieć dużo, dużo dzieci.

Nieraz dawniej zastanawiałam się, skąd to żarliwe pragnienie w Marcie. Teraz rozumiem. W każdym człowieku tkwi potrzeba twórcza.

Umysł Marty jest ustawicznie w stanie wrzenia. Coraz nowe historye tam się rodzą. Teraz znów są demonstracye. Biega po wiecach, zebraniach, wciągnęła i mnie w ten chaos i odmet. Wre walka stronnictw, krzyżują się najszaleńsze projekty, kipi ruch niesłychany, oczywiście, ruch języków... Ludzie kołowacizny dostali z zakładaniem kółek, przelicytowują się wzajemnie w obietnicach i głośno brzmiących frazesach. Żeby mieć pojęcie o takim kołowrocie, trzeba samemu wejść między tłum bezkrytyczny, który słucha i tej i owej partyi i rozważa: „który program przyniesie więcej korzyści realnych.“ (Wyrażenie nie moje, lecz żywcem ściągnięte z jakiegoś pisemka politycznego).

Rej wodzi Marta.

Potrzeba twórcza ciska tą kobietą, zdwaja energię, czyni ją wszędy obecną. Tu przemawia, tam agituje, jeszcze gdzieindziej miota gromy. Nie zgadzam się z nią zawsze; widzę coraz większy rozłam między nami. Zagrzeźła w doktrynie, w czterech kątach sekty, nie dostrzega życia, wszechstronnego życia. Ale pomimo to, zazdroszczę jej. Moim bólem obecnym jest bezpartyjność. Nie umiem iść drogą stadną, nie zdolna-m do życia gromadnego. Wprost nie wiem, gdzie iść i do kogo się przyczepić...

I znów, jak niegdyś, czuję... że wszystko kupi się, łączy w pary, każdy szuka swej połowy. Tylko ja jedna — sama jestem na świecie.

Ja i moja praca... porzucona praca w Zalesiu...

56.

Meeting...

Przemawia Marta, rozgorączkowana i drżąca. Trzeba cisnąć krew ofiarną w twarz kolosowi kamiennemu gwałtu i przemocy. Zatopić go we krwi... I jeszcze krwi... i jeszcze!... Spełnimy nowe ofiary, oddamy tysiące żyć i jeszcze tysiące!... Aż zdławimy przemoc, zwyciężymy!...

A wtedy!...

Powstaje „towarzysz,” gwiazda partyi, dyktator.

— Będziemy silni, będziemy dyktowali prawa. Staniemy na straży naszych interesów klasowych i t. d., i t. d.

Słuchałam ze zdziwieniem, z przykrem zdziwieniem.

Toż są ludzie, walczący za „równość, wolność, braterstwo?”

Czyż inaczej przemawiali wszyscy mocarze świata?

„Silny jestem, więc narzucam moje interesy reszcie śmiertelników. Mojem będzie panowanie...”

Zawsze „panowanie.” Czyż nigdy nie wyplącemy się z terminologii przemocy? Prawda, mówi socyologia, że popęd samozachowawczy pcha jednych do wyzyskiwania drugich. Ale... ale...

Jeśli tak, to po co krew się leje? po co zaludniają się mury więzień, po co po tundrach i tajgach rozproszone kości?

Idea... życie gotowam położyć dla idei. Ale jeśli to ma być ciasna doktryna garści ludzi...

Marta woła: „Działać będziemy terrorem, nie szczędźmy krwi, kosztem ofiar kupmy przyszłość.

Wygląda, jak Napoleon w przededniu bitwy. Zdawało mi się, że na twarzy jej widzę luno czerwone, że cuchnie krwią, jak rozjuszona pantera.

Spytałam cicho:

— Kto wam pozwolił czynić te ofiary?

— One same się czynią — odparła. — Tylko was, zagrzeszyłych w kanonach myślenia burżuazyjnego, przeraża wielki ruch wolnościowy!

— Bo ten ruch wolnościowy jednych, jest pętaniem drugich.

— To walka klas, nieunikniona konieczność historyczna.

Przeczytajcie tylko parę książek...

Byłam już rozgrzana, na cały głos wołałam:

— O tak, wy tylko czytać umiecie, wy, *inteligencya*, mechaniczni przeżuwacze cudzej mądrości i dla zdań, wyuczonych z książek, szafujecie setkami żyć cudzych!... Wy, którzy ani jednej sekundy nie poświęciliście na myślenie twórcze!

— Sentymentalizm w polityce!.. A to coś nowego! Od was się pocznie nowa rasa ducha, programy łez i ślamazarstwa!

Krzyczałam:

— Pycha, pycha was rozpiera!.. Chcecie być na czele, chcecie kierować ruchem, upajacie się własną wielkością. Wy, inteligencya, prowodyrowie!... Wyście umieli rzucić hasło głodu znękanym i wynędzniałym tłumom, a czy sami byliście głodni? Czy widzieliście wpadłe szczęki, policzki zzieleniałe, oczy obłąkane gorączką?... Krwi ofiarnej!... A czy widzieliście wpoprzek ulicy trup dziecka z rozkrzyżowanemi rękami, starca, dogorywającego pod rżami nahajek, żonę, wyjąca, jak hyena, nad zwłokami męża? Idźcie na ulicę, stańcie sami z odkrytą piersią, przeciw kulom! O, nie!... wy przednie duchy, władcy mocarni, bohaterowie!... w kawiarniach paryskich!...

Z kilku stron dało się słyszeć sykanie. Zagorzalcy patrzyli na mnie z oburzeniem, „towarzysz“ uśmiechał się drwiąco. Powstałam, i skierowałam się ku wyjściu.

— Idź dalej pisać pamiętniki! - pogonił za mną śmiech Marty. — Z bibułowego życia zostanie — bibuła!...

„Z bibułowego życia zostanie bibuła.“ Ale ja nie do bibuły wracam. O nie!... dawno już pozostały za mną grzechy szpargawania.

Nie mogę żyć z wami... może dlatego, że wyście mocne duchy, umiejące świat do kolan sobie kłonić, że w tym pochodzie zwycięskim depezcicie prochy, nie widząc ich; ja zaś prochem jestem i w imię prochów protest podnoszę.

Dość burzenia, dość dzikiej nienawiści. Dość krzyku z pianą na ustach. Pragnę harmonii... Chcę widzieć gmach, dzwigający się zgruzów. Obłąkanej negacyi przeciwstawić twórcze słowo życia.

— Sentymentalizm! — zachluchocze Marta.

Może. A może to tylko głos zwyczajnej, nie naukowej dobroci?

Ty, Marto, jesteś niewiasta uczona, masz swoją partycję, i tyśiące argumentów książkowych na zwalczanie mnie. Ale ja walczyć z tobą nie będę. Nie należę do żadnej partycji. Sama, samusiénka na całym świecie...

A teraz rachunki ze sobą...

Pracowałam, jak z łaski i wdychałam do niebieskich migdałów. Twierdziłam głośno, że miernota, ale na dnie duszy

przeświadczona byłam, że jestem „stworzona do wielkich przeznaczeń.“ Przeglądałam pamiętnik... w jednym miejscu widzę: „Potrzeba mi całopaleń, ofiarności, uczuć wiekopomnych.“ Szukałam wielkości gdzieś po za mną, gdzieś w krainie wzlotów Ikarowych... a to tak łatwo. Chcieć za wiele, a nie znalazłszy, odziać się w smutek rezygnacji i pogardliwość do „życia cuchnącego.“ Modna maska: artyzm, dusza wyższa... Zawsze strona dekoratywna. Gdziekolwiek zajrzę do pamiętnika: „ja mądra, ja głupia, ja smutna, ja nieszczęśliwa...“ wiekuiście ja i ja...

O, nie tak, nie tak!...

Precz z bolączkami, z szanotaniem się w pętach, z klątwą nieudolności życiowej! Trzeba zejść w niziny, na samo dno istnień ludzkich, ale nie w rękawiczkach i kaloszach „by się nie zabłocić...“ bez zastrzeżeń, bez pamięci o *ja* i *nie-ja*. Wmyśleć się w myśli ich, uchwycić na gorąco tajemnicę duszy, wziąć ją „w miękkie dłonie i rozwijać, jak kwiat...“ Bez programów i bez partyi. A raczej z jednym programem czystej miłości...

Nic dla siebie nie oczekując... Nic...

Zaszyję się gdzieś w kącie, podobny do Zalesia. A choćby w samym Zalesiu. Dlaczegożby nie tam właśnie, w miejscu, gdzie błądziłam, nie rozpocząć nowej drogi?

Marta... Orecki... Jakby wichur ich zmiotł. Patrzę spokojnym wzrokiem istoty, wyniesionej po nad to wszystko. Zgasnicie, jak świeczki, przyszłość przejdzie po was, doktrynerzy. Nowa frazeologia zabije starą. Tylko to zostanie, co nie jest ogniem żywiołowym, lecz czystym płomieniem twórczym — praca w imię życia...

Praca odczyszczona z pierwiastków samolubnych. Tak żyć trzeba. I będę! Oto ostatni wyraz, którego szukała tak długo...

A te strofy spisywane w ciężkie i posępne chwile życia, przeszlę—Tobie, coś był całą moją przeszłością...

Na pamiątkę, żem niegdyś cię — — —

Patrzę spokojnie i widzę już, na końcu drogi, przystań ostateczną... Obym w minutę pożegnania mogła powtórzyć słowa — Milтона, jak mi się zdaje:

— Ten jest prawdziwym poetą, czyje życie było poematem.

MARION.

CIAŁA PROMIENIOTWÓRCZE

i

rozpad atomów.

Co przed kilku laty pisałem o „atomie elektrycznym“ w „Bibliotece Warszawskiej“, uczyniło mnie mimowolnym jej dłużnikiem, wymaga to bowiem teraz znacznego już uzupełnienia. Sprawy tam poruszone rozwinęły się osobliwie, wysunęły się na tło przednie nauki i wygórowały tak wysoko, że odłoniły widnokęgi rozległe, zgoła nowe i nieprzewidywane.

Jeżeli jednak obowiązkiem jest piszącego dokończyć, co zaczął, nie jest bynajmniej obowiązkiem czytelnika pamiętać, co przeczytał. To niech mnie usprawiedliwi, że pewnych przypomnień unikać mi tu niepodobna.

Atomy elektryczne poznaliśmy najpierw, jako najdrobniejsze cząstki elektryczne z atomami materyalnemi, chemicznemi, związane w „jonach“, występujących przy rozkładach chemicznych, działaniem prądu elektrycznego powodowanych, ale ukazały się nam i w stanie bardziej swobodnym, jako „elektrony“, w promieniach katodalnych zwłaszcza. Promienie te, doniosłego w nauce znaczenia, nie przebiegają zapewne żywo w pamięci naszej, ale zabłysną w niej niezawodnie, skoro przytoczę, że są rodzicami bezpośredniemi promieni Röntgena, których odkrycie w grudniu r. 1895 tak powszechne i żywe wzbudziło zajęcie.

Przypominamy sobie teraz, że promienie katodalne powstają przy wyladowaniu elektrycznem w rurze Geisslera, gdy rozrzedze-

nie w niej powietrza doprowadzone zostaje do kresu, jaki za pomocą najdokładniejszych pomp rtęciowych osiągnąć można; wybiegają z katodu czyli z bieguna ujemnego, rozchodzą się po liniach prostych, a w punktach, gdzie uderzają o szklaną ścianę rury, wzniciają jej świecenie czyli fluorescencyę. Jak widzieliśmy, ze wszystkich szczegółów tego zjawiska zdać sobie można sprawę najlepiej, jeżeli przyjmujemy, że promienie katodalne złożone są z elektronów, z cząstek niesłychanie drobnych, o wiele mniejszych aniżeli atomy materii zwykłej, a rozbiegających się z prędkością olbrzymią, przypadającą między $\frac{1}{5}$ a $\frac{1}{3}$ szybkości światła, co czyni około 60 tysięcy kilometrów na sekundę. Promienie Röntgena pochodzą od promieni katodalnych bezpośrednio, rozbiegają się bowiem na zewnątrz rury Geisslera z tych jej punktów, które fluoryzują pod działaniem promieni katodalnych; pojmować można, że tak szybko biegnące elektrony, gdy uderzają o ciało stałe, wzniciają falę elektryczną i rozsyłają ją w przestrzeń, jak pocisk potracający o zawadę wytwarza falę głosową w powietrzu. Hypoteza taka daje się dobrze pogodzić z promieniami Röntgena, których własności będziemy mieli sposobność w dalszym ciągu przypomnieć.

Odkrycie zdumiewających tych promieni Röntgena dało podnieść do badań pokrewnych. Nasunął się przedewszystkiem domysł, że powstawanie zagadkowych tych promieni wiąże się w ogólności z objawami fluorescencyi; starano się więc dojść, czy różne ciała, które mają własność świecenia, gdy są światłem naturalnem oświetlone, mogą również wysyłać pewnego rodzaju promienie niewidzialne. W kierunku tym prowadzone doświadczenia fizyka francuskiego Henryka Becquerella zostały powodzeniem uwieńczone. Poddawał badaniom mianowicie związki uranu, znanego pierwiastku chemicznego, występującego w kilku minerałach; wystawiał je na działanie promieni słonecznych, a następnie w izbie zaciemnionej mieścił je na płycie fotograficznej, papierem osłoniętej. Tą drogą okazało się, że rzeczywiście sole uranowe są źródłem promieni przedzierających się przez papier lub cienką blachę metalową i wywierających wpływ na płytę fotograficzną. Oczekiwana jednak łączność nowych tych promieni z objawami fluorescencyi nie ujawniła się bynajmniej, też same bowiem działania otrzymał Becquerel przy użyciu przetworów uranowych, które poprzednio zgola oświetlone nie były i przez czas dłuższy w ciemności pozostawały, a tem samem nie fluoryzowały zgola, nie świeciły. Becquerel więc odkrył nowy rodzaj promieni, promienie uranowe czyli promienie Becquerella, a uran okazał

się ciałem „radyoaktywnem,” to jest „promieniotwórczem.” Nie pozostał wszakże jedyną w rodzaju swoim substancją, wkrótce bowiem okazał Curie wraz z żoną swoją, panią Skłodowską-Curie, a współcześnie z nimi i profesor G. C. Schmidt w Erlangen, że podobnież zdumiewającą własność wysyłania promieni bez żadnej podniety posiadają także związki innego jeszcze pierwiastku, toru mianowicie.

Wiadomo, jak wielki rozgłos zyskały dalsze poszukiwania obojga małżonków Curie, które im zjednały wielką nagrodę Nobla. Pani Skłodowska-Curie przeprowadziła przegląd systematyczny wszystkich znanych pierwiastków chemicznych i przekonała się, że prócz uranu i toru żaden inny pierwiastek nie ujawnia podobnych działań, dających się przy pomocy jej przyrządów wykryć. Okazało się przytem, że niektóre minerały uranowe okazują działanie silniejsze aniżeli sam uran, a w szczególności tak zwana uranowa ruda smołowa, znajdująca się w Jachimowie (Joaachimstal) w Czechach, która promieniotwórczą swą działalnością trzy lub cztery razy nad czystym uranem góruje; można tedy było przypuszczać, że w rudzie smołowej prócz uranu znajduje się inna jeszcze, silniej radyoaktywna substancja. Domysł był słuszny: z rudy smołowej dobyli małżonkowie Curie pierwiastek bajecznych własności, któremu nadali nazwę rad (radium). Z jakimi walcząc przychodziło tu trudnościami, pojmiemy łatwo, gdy zważymy, że z tysiąca kilogramów smoły uranowej zdołano wydobyć zaledwie czwartą część grama, czyli pięćdziesiątą część luta chloru radu. Smoła uranowa jest najobfitszym, dotąd znanym źródłem radu, ale i w niej, jak widzimy, zawiera się w ilości nader skąpej, tworzy bowiem zaledwie część cztero-milionową ogólnej jej masy; należało stopniowo wydzielać z niej części coraz bardziej zalecające się silną działalnością promieniotwórczą, by wreszcie szukaną substancję w zupełnej zdobyć czystości. Pani Skłodowska-Curie osiągnęła istotny rekord analizy spektralnej, który najczulsze dotychczasowe metody stokrotnie przewyższa.

Prócz radu wykryła pani Skłodowska nadto inny jeszcze pierwiastek promieniotwórczy, który na cześć swej ojczyzny nazwała polon (polonium), a do tej grupy przybył jeden jeszcze pierwiastek, podobnież własności posiadający, aktyn (actinium) odkryty przez Debierne'a. Z tych trzech nowych pierwiastków najlepiej znany jest rad, chociaż w stanie elementarnym dotąd otrzymania go nie zdołano; posiadamy go jedynie w związku z chlorem lub bromem, ale ciężarem swym atomowym i właściwem swym widmem cechuje się dokładnie, jako pierwiastek odrębny.

Ciała promieniotwórcze objawiają swą obecność jedynie wysyłaniami przez siebie promieniami. Promienie te są niewidzialne, ale o istnieniu ich świadczą sprowadzane przez nie zjawiska: wywołują świecenie ciał fosforyzujących lub fluoryzujących, gdy na nie padają; wywierają wpływ na płytę fotograficzną, a wreszcie rozpraszają ładunki elektryczne. Powietrze jest w zwykłych warunkach izolatorem, ciała naelektryzowane chroni od utraty ich ładunku; pod wpływem promieni, o których mowa, staje się przewodnikiem i rozbraja ciała naelektryzowane. Do dochodzeń tych wystarcza zwykły elektroskop. Do pręta metalowego, zakończonego w górze gałką, przyczepione są dwa listki cienkiej blachy złotej lub glinowej, które dla osłony od prądów powietrznych osadzone są w naczyniu szklanem, gdy górna gałka zewnątrz niego wyziera. Jeżeli kulka ta w jakikolwiek sposób naelektryzowaną zostaje, chociażby tylko przez dotknięcie potartą laską laku, ładunek elektryczny udziela się także prądkom złotym lub glinowym, które tedy wskutek wzajemnego odpychania rozsuwają się między sobą, a jeżeli przyrząd dokładnie jest wyrobiony, czekać potrzeba godzinę albo dłużej, zanim nastąpi wyraźne zbliżenie się listków, wskazujące ubytek ładunku elektrycznego. Inaczej się dzieje, jeżeli w pobliżu elektroskopu umieścimy jakikolwiek przetwór radu: listki opadają i zbiegają się szybko, ładunek elektryczny niknie prawie natychmiast. Jeżeli zamiast prostego takiego elektroskopu odwołamy się do elektrometru bardzo dokładnego, mamy przyrząd mierniczy, który dla wykazania drobnych śladów substancyj promieniotwórczych tysiąc razy jest czulszy, aniżeli wszelkie inne znane metody analizy fizycznej lub chemicznej. Prędkość, z jaką rozprasza się ładunek elektryczny przez rozmaite przetwory, daje miarę stopnia ich promieniotwórczości, a tą drogą poznano, że dany ładunek elektryczny w jednakich warunkach pod wpływem czystego chlorku radu ulega nieledwie milion razy szybszemu rozproszeniu, aniżeli przez działanie jednakiej ilości uranu metalicznego.

W wielu razach ważną pomoc przy dochodzeniach tych daje metoda fotograficzna, dozwala bowiem śledzić kierunek rozbiegających się promieni, a ponieważ płyty na działanie promieni przez czas dowolnie długi wystawiać można, otrzymujemy skutki widoczne i w tych nawet razach, gdy natężenie promieni zbyt jest słabe, by się natychmiast ujawniło.

Wspomnieliśmy też, że promienie ciał promieniotwórczych pobudzają świecenie ciał mających własność fluoryzowania; tem się tłómaczy, że chlorek radu jaśnieje w ciemności, jakby roba-

czek świętojański, wysyłane bowiem przez bryłkę taką promienie wywołują własną jej fluorescencję. Gdy na skroni lub na oku zamkniętem kryształ taki umieścimy, oko wypełnia się światłem, wszystkie bowiem jego części, a zwłaszcza soczewka, pod wpływem promieni radu świecić zaczynają.

Podobnie, jak promienie Röntgena, tak też i promienie radu przedzierają się w niejednakiej mierze przez metale, kości, mięśnie, dla tego też chciano je zamiast promieni Röntgena stosować do otrzymywania obrazów różnych części ciała ludzkiego, które chirurgii i w ogólności badaniom lekarskim tak wielkie oddają usługi; w takim razie byłyby zbyt liczny cały zbiór potrzebnych do tego przyrządów. Okazało się jednak, że do celu tego nie są przydatne, przez rozmaite bowiem tkanki ciała ludzkiego przenikają z jednaką prawie mocą, powstające więc stąd obrazy nie okazują różnic dosyć wyraźnych w szczegółach budowy wewnętrznej przedmiotów badanych. Wywierają nadto wpływ szkodliwy na ciało ludzkie, a prawie wszyscy badacze, którzy z radem mieli do czynienia, pomimo wszelkich ostrożności, ulegli bolesnym następstwom tych wpływów. Gdy ponad drobną bryłkę trzymamy przez kilka minut palec, doznaje on silnego zapalenia skóry, które się z trudem leczy. Doświadczenia te zwróciły uwagę, czyby promieniami radu nie dało się zwalczyć złośliwych nowotworów, jak raka i wilka, ale to dotąd do rezultatów stanowczych nie doprowadziło.

Promienie radu zresztą nie są jednorodne, podobnie jak promienie światła wysyłanego przez słońce lub przez ziemskie nasze płomienie. Oko bezpośrednio różnic tych nie dostrzega i otrzymuje wrażenie jednolite, ale gdy wiązka światła słonecznego lub jakiegokolwiek innego przebiega przez pryzmat, składające ją promienie różnobarwne odchylają się w niejednakowej mierze od pierwotnego swego kierunku i ukazują się w widmie rozdzielone między sobą.

Podobnie dzieje się z promieniami radowymi; pryzmat wprawdzie usług swych nam tu odmawia, zastępuje go jednak magnes, promienie te bowiem ulegają wpływowi magnesu, ale w niejednakowy sposób; gdy przebiegają między biegunami magnesu, część ich jedna pozostaje względem niego obojętna i zachowuje pierwotny swój kierunek prostoliniowy, część druga skręca w jedną stronę, ku jednemu biegunowi, część trzecia wreszcie odchyła się w stronę przeciwną. Za przykładem Rutherforda, któremu najstaranniejsze w rzeczy tej badania zawdzięczamy, nadajemy trójjakim tym promieniom nazwę promieni α , β i γ .

Promienie α zachowują się, jak dodatnio elektrycznie naładowane cząsteczki wielkości atomów chemicznych, które ze znaczną szybkością przez rad są wyrzucane. Mają słabą tylko zdolność przenikliwości, przedzierać się nie mogą nawet przez papier, a w powietrzu zatrzymywane są przez warstwę o kilku zaledwie centymetrach grubości. Promienie β są to cząsteczki o wiele drobniejsze, naładowane ujemnie; pod każdym względem wyrównują promieniom katodowym, a w tych drobnych cząsteczkach odnajdujemy znane nam elektrony. Promienie γ wreszcie odpowiadają promieniom Röntgena, przedzierają się nader łatwo przez przegrody i poza płytą ołowianą grubości dziesięciu centymetrów wywierają jeszcze działania fotograficzne. Różne spostrzeżenia prowadzą do wniosku, że promienie γ w podobny sposób wytwarzane są przez promienie β , jak promienie Röntgena rodzą się z promieni katodowych; są to więc objawy wtórne, powstają przez uderzanie promieni β o zawady stałe, przedewszystkiem o cząstki samychże ciał promieniotwórczych.

Zdumieni stajemy wobec substancji tak osobliwej, ziejącej wciąż samodzielnie promieniami bez żadnej podniety zewnętrznej, ale zdumienie nasze wzmagą się jeszcze, gdy poznajemy, że kryształ chlorku radu jest także ustawicznym źródłem ciepła, posiada temperaturę wyższą aniżeli otoczenie jego. Dokładne doświadczenia wykazały, że jeden gram radu wywiązuje w ciągu godziny 104 ciepłostki, co znaczy, że wytwarzaniem w ciągu tego czasu ciepłem mógłby gram wody o jeden stopień ogrzać. Tak samo działają i inne ciała promieniotwórcze, chociaż w słabszej mierze; jeden gram tlenku uranu w ciągu całego roku wywiązuje zaledwie 0,032 ciepłostki. I ilość ciepła przez rad dostarczanego wydawać się może drobną, ale zważmy, że idzie tu o gram tylko; kilogram radu wystarczyłby do ogrzania izby w ciągu całej zimy, a wobec tego jakżeż słabą przedstawia się skuteczność zwykłych naszych materiałów opałowycych. Co większa, gdybyśmy w końcu zimy zasób nasz radu na wadze umieścili, nie dostrzegliśmyby żadnego zgoła ubytku, żadnej zmiany; byłby to znowu kilogram i takąż samą wysyłałby ilość ciepła.

Objaw ten uderza swą zagadkowością, wydaje się sprzeczny z całym fundamentem wiedzy przyrodniczej. Gdy płonie węgiel, zużywa się przytem; przeobrażenia chemiczne, jakim ulega, są źródłem ciepła, energii wywiązującej się przy jego paleniu, ale skądżeż rad czerpie niewyczerpany zasób swej energii. Widzieliśmy, że kryształ taki rozsyła nieprzerwanie trojaki promienie, wytwarza wciąż ciepło w ogromnych ilościach, a pomimo to naj-

czulsze nasze metody, najdokładniejsze przyrządy nasze nie wykazują w nim żadnego przeobrażenia, żadnego ubytku. Niespodziany ten objaw urąga przecież zasadzie zachowania energii, która nad przyrodą całą panuje. Od połowy minionego stulecia pojmujemy, że zasób energii w przyrodzie pozostaje stale jednaki, energia nie wytwarza się z nicości, ani się w nicość rozwiewa. Z przeobrażeniami jedynie spotykamy się energii; wszystkie sprawy przyrody i wszystkie czynności nasze na zmianach jej form polegają tylko, ogólny jej zasób we wszechświecie niezmienny zawsze pozostaje. A teraz zasadzie tej, która jest podstawą wszelkich naszych pojęć o przyrodzie, przeczy drobna bryłka radu, rodzi energię bez żadnej utraty równoważnej, bez nakładu widocznego.

Niezłomność tej zasady, tak naczelnie panującej w nauce, wydała się przez chwilę naruszona. Niepewność jednak nie trwała długo; zbiegły się szczęśliwie liczne i różne badania, by rozproszyc pomroki ścielące się w dziedzinie nowo-odkrytej. Niespodziane te zjawiska nie po to przybyły, by bankructwo nauki dotychczasowej sprrowadzić, nie zachwiały bynajmniej zasadą zachowania energii, ale raczej ujawniły nowe jej źródła, dotąd przed wzrokiem naszym utajone, nieprzewidywane zgoła, a miliony razy sowitsze, aniżeli wszystkie jej zasoby dotychczas poznane i zbadane, które zdołaliśmy do usług naszych zmaglić.

Gdy chemik w pracowni swej ciała przeinacza, gdy związki jedne w inne przetwarza, przekształca jedynie układ atomów, nadaje im nowe uporządkowanie w cząsteczkach, które się z nich składają. Poznaliśmy, jak cząsteczki budują się z atomów i jak się na atomy rozszczepiają, oznaczyliśmy ilości energii, które się przy przeobrażeniach tych oswobadzają lub wiążą. Pierwiastki jednak chemiczne i ich atomy pozostawały nietknięte, opierały się wszelkim zamachom. Świat przedstawia się nam zbudowany z pewnej, ograniczonej liczby ciał elementarnych, odrębnych między sobą; pierwiastki chemiczne są to substancje niedające się już dalej rozkładać; atomy usprawiedliwiają swą nazwę jako nie-działki, których już rozszczepiać niepodobna.

Mnożyły się jednak skazówki, że odrębność pierwiastków chemicznych nie jest tak bezwzględnie stanowcza, jak wydawało się twórcom chemii nowoczesnej; ujawniało się coraz silniej pomiędzy nimi pokrewieństwo, które upoważniało domysł, że dzisiejsze nasze pierwiastki chemiczne składać się mogą z niewielu jedynie pierwiastków rzędu wyższego, a może powstały i z jednej

tylko substancji pierwotnej,¹⁾ ale poglądy te nie miały poparcia doświadczalnego, żadnem dostrzeżeniem istotnem poprzeć się nie dawały; atomy w pojęciach naszych były to zawsze najdrobniejsze cząstki materji, dalej już niepodzielne.

Stan ten rzeczy zmienił się jednak. W elektronach poznaliśmy teraz utwory od atomów mniejsze, tysiąc przeszło razy drobniejsze aniżeli atom wodoru. Dały się uchwycić w promieniach katodowych, występują w mnóstwie innych objawów, wyrrywają się i z ciał promieniotwórczych. Zkądżeż się w nich biorą, jak tam powstają? Czyż nie można przyjąć, że atomy tych ciał promieniotwórczych są w pewnym stopniu rozkładu i rozpadają się na swe części składowe? Może więc w elektronach odkryliśmy substancję pierwotną, we wszystkich ciałach zawartą, z której świat cały jest zbudowany? Pomysł ten podjął szczególnież fizyk amerykański Rutherford i rozwinął nową teorię dezintegracji czyli rozpadu atomów, która w krótkim czasie zyskała potwierdzenie całym szeregiem odkryć nowych i faktów niespodzianych.

Przedewszystkiem w teorii tej rozpadu atomów znajduje rozwiązanie zagadka, która najcięższy nam szkopuł nastęrczała, pytanie, skąd ciała promieniotwórcze niewyczerpany zasób energii swej biorą. Pojmujemy teraz łatwo, że źródło jej tkwi w dokonywających się w łonie atomu procesach. Gdy rozpada się budowa tak ścisła, jaką niewątpliwie jest atom, który przecież opiera się wszelkim usiłowaniom naszym do jego rozbicia zmierzającym, oswohadzać się muszą niezmierne ilości energii, wielekroć potężniejsze, aniżeli przy zwykłych naszych działaniach chemicznych, gdy w grę wchodzą jedynie cząsteczki, molekuly, zbiorowiska atomów, słabszem daleko wiązaniem ze sobą spojone. Samo odrywanie się elektronów radu rodzi energię jego, wyzwala ją raczej.

Zapewne, zaprzeczyć nie można, że do pojmowania takiego wyobrażenia nasza z wysiłkiem zaledwie naginać się może. Każdemu elektronowi przypisać przecież winniśmy pewną w przestrzeni rozciągłość, która obliczyć się daje, jeżeli przyjmujemy jakąkolwiek postać oznaczoną, formę kulistą najłatwiej. Rachunek w tym razie uczy, że promień takiej bryłki kulistej wynosi zaledwie trylionową część milimetra, a w tak skupionym ładunku elektrycznym istnieć mają siły niezmierne, które zmierzają do zerwania części oddzielnych. Są tu trudności pewne, które dalsze dopiero badania rozjaśnić zdołają. Jak niegdyś umysł ludzki sto-

¹⁾ Ob. „Szkice przyrodnicze“ (1893 r.): „O naturze pierwiastków chemicznych.“

pniowo zaledwie oswajał się z niezmiersonemi wymiarami wszechświata, tak teraz z mozołem również wdzierać się musi do świat atomów, by wyczytać prawa rządzące ruchami tych drobiazgów niepojętych.

Ponieważ każdy pierwiastek chemiczny cechuje się właściwem sobie widnem linijnem, co znaczy, że w stanie świecącym oznaczone drgania świetlne wysyła, każdy przeto atom stanowić musi układ niezmienny. W sposób najprostszy możnaby atom pojmować, jako pewien system planetarny, do najdrobniejszej skali zredukowany, złożony z dodatnio naładowanej bryły centralnej i krążących dokoła niej elektronów ujemnych, jak ziemia i pobratymcze jej planety po drogach przepisanych wiecznie słońce obiegają. Układ jednak taki dla wysyłanej przez elektrony energii nie mógłby się utrzymywać statecznie i niezmiennie; należy przeto odwołać się do układu, w którym elektrony pozostają we względnym wzajemnie spoczynku, ale i z wyobrażeniem takim trudno się pogodzić. Podobne pomysły są jednak przedwczesne; zbyt mało jeszcze o elektronach wiemy, by wewnętrzną strukturę atomów odgadywać. Spodziewać się wszakże można, że jak dziś chemik rozmaitym układem atomów w cząsteczkach rozmaitość związków tłómaczy, tak z czasem z liczby i ugrupowania elektronów wyjaśnia się odrębne cechy różnych pierwiastków. Tymczasem wystarczać nam musi świadomość, że atom nie jest cząstką niepodzielną i zachodzą w nim działania wewnętrzne, wskutek których oddzielać się od niego mogą cząstki drobniejsze. Widzieliśmy, że rad wysyła promienie α , β i γ ; są wszakże substancye promieniotwórcze, które wysyłają same tylko promienie α lub β , albo też te ostatnie w towarzystwie promieni γ . Być wszakże może, iż promieniowanie takie jest pozorne tylko, powstawać bowiem mogą promienie α , obdarzone szybkością tak powolną, że nie są w stanie wywierać działań nam znanych. Z niektórych doświadczeń wnosić można, że ciała promieniotwórcze wysyłają zarazem promienie α i β w ten sposób, że na każdą cząsteczkę α przypada jedna cząsteczka β . Wyływa to w szczególności z doświadczenia J. J. Thomsona; gdy bryłka radu umieszczona została w osłonie ołowianej, dostatecznie grubej, by wszystkie promienie pochłanianiu ulegały, osłona ta nie przybrała zgola ładunku elektrycznego; przeciwne elektryczności cząstek składających promienie α i β zobojętniły się tu wzajemnie, cząstki te zatem w jednakich wybiegają ilościach.

Nie zagłębiając się zresztą w szczegóły niedostatecznie jeszcze rozjaśnione, zwróćmy się do najważniejszych wniosków teorii

rozpadu atomów. Gdy atom danego pierwiastku rozsyła elektrony, traci składowe swe części i nie może zachować poprzedniego swego ciężaru atomowego, nie może tedy pozostać atomem tego pierwiastku i przejść musi w atom pierwiastku innego. Teorya zatem rozpadu atomów prowadzi bezpośrednio do wniosku, że pierwiastki nie są to ciała niezmienne, ale przeobrażać się mogą w inne; ciała promieniotwórcze są to pierwiastki w stanie przeobrażenia pozostające. Domysł ten Rutherforda okazał się w samej rzeczy słuszny. Ramsay i Soddy wykazali, że emanacya radu przeobraża się w hel (helium).

Co powiedzieliśmy o wysyłaniu promieni przez ciała promieniotwórcze, nie wyczerpuje to jeszcze wszystkich ich osobliwych właściwości. Gdy bryłka radu umieszczona jest na dnie naczynia szklanego w izbie zaciemnionej, dostrzegamy wyrwywającą się z niej mgłę słabo świecąca, która zwolna naczynie całe wypełnia, a w naczyniu zamkniętem żywość jej blasku przez kilka dni wciąż się wzmacza. Jeżeli jaśniejącą tę mgłę zdmuchniemy, przebieg rozpoczyna się na nowo, aż naczynie znowu poprzednim blaskiem błyszczy. Z radu przeto wywiązuje się ustawicznie wypływ pewien, emanacyą nazwany.

Na emanacyę tę nie działają najsilniejsze odczynniki chemiczne, nie porywają jej kwasy ani alkalia, nie ulega temperaturze żaru, siły elektryczne i magnetyczne wpływu na nią nie wywierają. W temperaturze jednak bardzo niskiej, wynoszącej około -150° , gdy emanacya jest oziębiona powietrzem ciekłym, skrapla się i osiada na ścianach naczynia. Wnętrze naczynia traci wtedy swój blask, a jaśnieją jego ściany. Jest więc emanacya radu substancją lotną, która wysyła promienie α , pobudzające powietrze do świecenia i nadające jej własność przewodnictwa. Z tych tylko własności można było gaz ten wykryć, ilości bowiem, jakie dałyby się wydobyć z niewielkich zasobów radu, które posiadamy, są znikomo drobne. Ramsay i Soddy przytaczają, że z 60 miligramów radu w ciągu czterech dni otrzymali $\frac{1}{50}$ milimetra sześciennego emanacyi czystej, z powietrzem niez mieszaną, zatem objętość, niedosięgającą nawet dziesiątej części główki szpilkowej.

Zebrana w rurze zatopionej, z której inne gazy starannie usunięte zostały, świeci początkowo bardzo żywo. Po upływie dni kilku blask słabnie, a po kilku tygodniach gaśnie prawie zupełnie. Emanacya radowa niknie przeto stopniowo, a w jej miejsce znajdujemy ślady gazu innego, który tam poprzednio niewątpliwie nie istniał; świadczą o tem badania widmowe. Nowym tym gazem jest hel (helium) pierwiastek chemiczny ztąd pamiętny, że dawno

znany był w atmosferze słonecznej, gdy później dopiero, przed niewielu laty, odkryty został w powietrzu naszym i w kilku minerałach ziemskich. Jesteśmy tu więc świadkami przeobrażenia radu w helium, zamiany pierwiastku jednego w inny zupełnie; poznajemy objaw, którego nikt poprzednio nie obserwował, który niemożliwym się zgoła wydawał.

Cały proces rozpadania się radu został dokładniej zbadany i dalej wysłędzony. Emanacya, wywiązująca się z radu, rozszczepia się na helium i na część pozostałą, nazwaną rad *A* (radium *A*), z którego powstaje rad *B*, z tego ostatniego zaś rad *C*, i dalej kolejno rad *D*, rad *E*, aż cały ten ciąg przeobrażeń znajduje zakończenie swe w substancyi oznaczonej nazwą rad *F*. Wszystkie te ogniwa pośrednie, od radu *A* aż do radu *F*, znane są tylko z własności swych promieniotwórczych; nikt ich nie widział, nikt nie zważył. Możemy je jednak wyodrębnić jedne od drugich, a to według wysyłanych przez nie promieni oraz według czasu ich istnienia czyli trwania ich życia.

Emanację radu, jak widzieliśmy, poznajemy ze świecenia powietrza, w którem się rozpościera, wysyła słabo tylko przedzierające się przez przegrody promienie α , obdarzone ładunkiem elektryczności dodatniej. Jeżeli w emanacyi tej pozostawimy przez czas pewien, przez kilkanaście godzin, jakiegokolwiek ciała, staje się ono także promieniotwórczem, skąd możnaby sądzić, że na powierzchni jego osiadają ślady tej emanacyi. Substancya wszakże tak nagromadzona nie jest już tą samą emanacją, promienie jej bowiem zachowują się odmiennie, przenikają łatwo przez zawady i poza grubą nawet ścianą działają na płytę fotograficzną. Nastąpiło tu już zatem przeobrażenie, w miejsce emanacyi pierwotnej mamy przetwórcz dalszy. Różna trwałość życia świadczy również, że mamy tu z rozmaitemi do czynienia substancjami. Przez trwanie życia danej substancyi promieniotwórczej rozumiemy przeciąg czasu, w ciągu którego działalność jej obniża się do połowy, a doświadczenie nauczyło, że każda z tych substancyj zawsze z jednaką szybkością przeobrażenie swe odbywa. Tak rad sam zmniejsza się o połowę w ciągu jakiego tysiąca lat, gdy emanacya jego zmianie takiej ulega w ciągu czterech dni, a dalszy stopień tych przeobrażeń, substancya, o której mówiliśmy, zalecająca się silnie przenikliwymi promieniami, rad *C* mianowicie, ubywa do połowy w ciągu 28 minut tylko. Różnice, jak widzimy, są tu bardzo znaczne; dla radu *D* trwałość taka życia wynosi lat 40, dla radu *E* — rok jeden.

Gdy badacz ma przed sobą nową substancję promieniotwórczą, rozpatruje rodzaj wysyłanych przez nią promieni, oznacza stopień ich działalności, poczem, po upływie pewnego czasu powtórza swe doświadczenia; z dostrzeżonego ubytku wyprowadzić może określoną wyżej trwałość życia, a tem samem rozstrzygnąć, czy substancja badana rzeczywiście jest nowa, czy też znana już z poszukiwań poprzednich. Tą drogą zdołano ująć wszystkie metabole, czyli wszystkie stopnie przeobrażeń pośrednich od radu do radu F , wykryć cechujące ich promienie i ich trwałość życia oznaczyć.

Wspomniany wyżej rad D z tego względu zwraca na siebie uwagę, że prawdopodobnie identyczny jest z substancją poprzednio odkrytą, której dano nazwę radołowiu. Ostateczny wreszcie stopień tego rozpadu, rad F , posiada trwałość życia 143 dni i jest prawdopodobnie identyczny z odkrytym przez panią Skłodowską polonem, dla którego okres ten czyni 140 dni; podobnie nadto, jak rad F , nie posiada i polon promieniotwórczych produktów rozpadu. W każdym razie należy polon ten do najlepiej znanych pierwiastków promieniotwórczych, jakkolwiek dotąd nie oznaczono dokładnie jego ciężaru atomowego, ani nie wykryto jego widma. Posiadamy go dotąd w ilościach niesłychanie drobnych: z całych milionów kilogramów substancji pierwotnej zdołano kilka ledwie miligramów wydzielić. Jest on zapewne ogniwnem szeregów ciał silnie promieniotwórczych. Ponieważ substancja, która z rozpadu jego powstaje, własności promieniotwórczych już nie posiada, mogła się w ciągu długiego czasu nagromadzić w znacznych ilościach i jest zapewne pierwiastkiem znanym: jesteśmy pod tym względem skazani jeszcze na domysły, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa rozpada się polon na bizmut lub ołów. Przemawia za tem względ, że ołów bardzo często występuje w minerałach promieniotwórczych.

Gdy polon stanowi kres całego ciągu tych przeobrażeń, nie jest bynajmniej rad pierwszym ogniwnem szeregu, ale sam jest również produktem rozpadu. Pochodzi od uranu, który jest rodzicem (parent element) wszystkich pierwiastków promieniotwórczych. Całego przebiegu tych przeobrażeń od uranu do radu wysledzić dotąd nie zdołano; znamy zaledwie pierwszy stopień rozpadu uranu, tak zwany uran X , ale wiemy, że rad zawsze uranowi towarzyszy, a to już samo świadczy o takim jego pochodzeniu. Nadto we wszystkich minerałach zbadanych stosunek ilościowy radu i uranu jest jednaki, na jedną część radu zawsze milion części uranu przypada. Według teorii rozpadu atomów zdumiewająca ta łączność prosto się tłumaczy. Zachodzi tu jakby równowaga ruchoma:

Z uranu wytwarza się w danym przeciągu czasu tyleż radu, ile radu rozpada się w tymże czasie. Rad posiada działalność promieniotwórczą milion razy potężniejszą, aniżeli uran i w tymże samym stosunku prędzej się rozszczepia. Gdy jedna część radu przeobrażeniu ulega, dla jej zastąpienia potrzeba miliona części uranu, a stąd w minerałach dostatecznie starych, by się już do równowagi takiej ułożyć zdążyły, utrzymuje się stosunek stateczny radu do uranu, jeden do miliona.

Ciała promieniotwórcze nie utrzymują się niezmiennie, tworzą się i giną, bytowanie ich jest wiecznem powstawaniem i ciągłą zagładą. Ze smołowej rudy uranowej wydzielić możemy polon dziś i po latach całych; oba te przetwory niczem się między sobą różnić nie będą, ale polon po latach dobyty nie będzie to już dzisiejszy, ten bowiem rozpadł się już dawno, a natomiast odpowiednia jego ilość rozwinęła się z radu. Jak polon z radu, tak rad rodzi się z uranu, chociaż nie ujawniły się nam jeszcze wszystkie ogniwa tego przejścia stopniowego.

Uran tylko jeden już się nie odradza, ubytek jego pozostaje nienagrodzony. Jest prostoplastą całej genealogii pierwiastków, przodka jego nie znamy. Cóż więc nadaje mu ten charakter odrębny, skąd zdobywa naczelne stanowisko w całym tym osobliwym rodowodzie? Odpowiedź nasuwa się łatwo, uran bowiem jestto pierwiastek o najwyższym ciężarze atomowym, który wyraża się liczbą 238 (w porównaniu z atomem wodoru, przyjętym za jedność). Uran tedy przedstawia się nam, jako pierwiastek zbudowany z największej ilości elektronów, które jakby z przymusem tylko w łączności tej się utrzymują i najłatwiej ze związku wyrrywają, a z rozpadu tego powstający rad ma już ciężar atomowy mniejszy, wyrażający się liczbą 225.

Co się tyczy aktynu, który został współcześnie z radem i polonem odkryty, stanowisko jego w rządzie ciał promieniotwórczych nie jest jeszcze wyjaśnione, nie znamy bowiem jego ciężaru atomowego; p. Godlewski zestawił wprawdzie szereg substancyj pochodnych z aktynu, ale własnej jego łączności z uranem nie znamy. Do pierwiastków promieniotwórczych należy, jak pamiętamy, i dawniej już znany tor, którego ciężar atomowy czyni 232; przypada mu zatem miejsce pomiędzy uranem i radem, a według tego należałoby oczekiwać, że występuje w minerałach, zawierających uran i rad. Zdarza się to rzeczywiście, ale nie zawsze, a brak ten wymaga jeszcze wyjaśnienia. P. Godlewski wykazał również kilka stopni od toru pochodzących, ale odstęp toru od uranu nie jest zapelniony.

Ostatniem ogniwem przeobrażeń radu, jak widzieliśmy, jest polon. Ciężar jego atomowy nie został również dotąd oznaczony, zapewne jednak przypada około 210. Powstający prawdopodobnie z polonu ołów, którego ciężar atomowy jest 207, już do kategorii tej nie należy. Wypływa stąd, że ciężkie jedynie atomy, co najmniej o ciężarze około 210, posiadają jeszcze własności promieniotwórcze. Są to układy niestateczne, które łatwo w formy trwałe przechodzą. Ciała promieniotwórcze przetrwały jako zabytki dawno ubiegłego, młodzieńczego okresu dziejów ziemi, gdy tworzyły się dopiero składające ją materyały. Pierwiastki natomiast pozostałe, o atomach lżejszych, przedstawiają się nam jako substancje wykończone ostatecznie, które dobiegły już do kresu swych przeobrażeń i utrzymują się w stanie niezmiennym. Ale tu budzi się wątpliwość, czy podział taki pierwiastków chemicznych na dwie kategorie odrębne istotnie jest usprawiedliwiony; być może, iż atomy lżejsze są także promieniotwórcze lubo w stopniu daleko niższym, w mierze tak słabej, że działania ich wymykają się dostrzeżeniom naszym. Czyż przypuszczeniu temu wręcz zaprzeczać możemy dlatego tylko, że przyrządy nasze objawów tych nie wykazują? Wiemy przecież, że własności materji są powszechne, stopniem tylko natężenia wyróżniają się w rozmaitych ciałach. Dopóki w posiadaniu naszym był tylko zwykły, odwieczny magnes, ulegało mu żelazo jedynie i kilka jeszcze pokrewnych mu metali; odkąd jednak rozporządzamy potężnymi elektromagnesami, wiemy, że wszystkie w przyrodzie ciała posiadają własności magnetyczne, chociaż w stopniu miliony i setki milionów razy słabszym, aniżeli stal i żelazo.

Według tego nic nie stoi na przeszkodzie przypuszczeniu, że promieniotwórczość jest ogólną własnością materji, ilościowe tylko różnice są niezmiernie wielkie. Przemawiają za tem nawet pewne spostrzeżenia. Tak poznano, że elektroskop w naczyniu ołowianem osadzony szybciej traci ładunek swój elektryczny, aniżeli podobny przyrząd w naczyniu cynkowym, co by wskazywało, że ołów obficie wysyła promienie, które jonizują powietrze, czyli czynią je przewodnikiem elektryczności. Znani nadto badacze elektryczności atmosferycznej, Elster i Geitel, wykazali, że w powietrzu zawsze występuje pewna emanacja promieniotwórcza; wykryli ją zarówno na szczytach gór, jak i na dnie kopalń głębokich w ilości zmiennej, zależnej od warunków w atmosferze panujących, od wysokiego i niskiego jej ciśnienia, od stanu jej pogody, od rozproszonego w niej pyłu, od deszczu i śniegu. Wszystkie też źródła zawierają emanację radową, która obficie zwłaszcza występuje

w cieplicach znanych z leczniczych swych własności. Toż samo tyczy się torfowisk, a być może, że uzdrawiające zalety kąpieli torfowych zostają w związku z ich działalnością promieniotwórczą. Przemawia za tem i to spostrzeżenie dawne, chociaż nieraz zaprzeczane, że wody mineralne skuteczniejsze są u samych źródeł, aniżeli rozsyłane daleko w butelkach.

Skoro wszystkie źródła sprowadzają z głębi ziemi emanację promieniotwórczą, a ślady jej wykazać się dają i w wodach podskórnych, wnieść stąd należy, iż w łonie ziemi mieści się ognisko działalności promieniotwórczej; szeroko może rozpowszechniony jest w niej rad lub inne pierwiastki pokrewne, które z dostępnych nam minerałów tak skąpo zaledwie wydzielać możemy. Zagadka wnętrza ziemi nie jest dotąd rozstrzygnięta; czyż być nie może, iż do utrzymywania panującego tam żaru, przyczynia się i ciepło wciąż przez rad wywiązywane.

Ale też sama uwaga odnieść się daje i do słońca. Według powszechnie dziś przyjmowanej hipotezy źródło ciepła słonecznego wypływa z ciągłego kurczenia się potężnej tej bryły; ubytek ciepła, które słońce tak obficie na wszystkie strony rozsyła, wynagradza się ciepłem, wywiązującym się ustawicznie skutkiem zagęszczania składających je gazów. W odległej jednak przyszłości, gdy skutkiem procesu tego wzmoże się znacznie gęstość bryły słonecznej, nie będzie mogło dokonywać się tak prawidłowe skupianie, a wtedy ilość ciepła, wysyłanego przez słońce, zmniejszy się znacznie, przy zmniejszonej zwłaszcza powierzchni promieniującej. Na podstawie podobnych rozważań przypisuje W. Thomson słońcu nie więcej nad jakie dwadzieścia milionów lat działalności w czasach ubiegłych i pięć do sześciu milionów lat w przyszłości. Tego rodzaju obliczenia dają się odnieść i do ziemi, a z nich wypływa, że od czasu wytworzenia się skorupy ziemskiej, upłynęło nie więcej nad dziesięć milionów lat. Rachunki te Thomsona, charakteru zresztą bardzo hypotetycznego, nie przypadły do gustu geologom i biologom, którzy potrzebują okresów znacznie dłuższych, by w nie wtłoczyć uzasadnione swe pojęcia o powolnem kształtowaniu się powierzchni ziemi i stopniowem rozwoju istot żyjących. Odkrycie radu przychodzi w porę, by nieporozumienie to usunąć, jeżeli bowiem zasób jego w ziemi tak ogromne ilości ciepła wytwarza, nie potrzebujemy odwoływać się wyłącznie do procesu zagęszczania, by zeń wszystką ilość traconego ciepła wyprowadzać. Zasób energii świata przez odkrycie radu z bogacił się w pojęciach naszych, a stąd słońcu zarówno jak i ziemi przypisywać możemy w przeszłości i w przyszłości długotrwałość większą znacznie.

Długością okresów rozwoju ziemi geologowie rozporządzać mogą swobodnie.

Mimochodem nadmienimy tylko, że spostrzeżono znaczną analogię pomiędzy właściwościami promieni wysyłanych przez ciała promieniotwórcze a objawami komet i na tej podstawie próbowano już oprzeć nową teorię tych ogoniastych ciał niebieskich, niedawno tak zagadkowych, a i dziś jeszcze nie rozjaśnionych stanowczo we wszystkich swych szczegółach. Czy nowa teoria zdoła rozjaśnić pozostające jeszcze wątpliwości, nie wiemy dotąd. Z obszarów więc niebieskich zstąpny raczej do względów, które nas tu na ziemi bliżej dotyczą.

Jeżeli promieniotwórczość i wiążący się z nią rozpad atomów jako powszechną własność materii uznajemy, to odradzają się przed nami dawne rojenia alchemików o transmutacji metali. Skoro pierwiastki ulegać mogą przeobrażeniom, jeżeli z jednych inne się rodzą, dlaczegóżby mrzonką miało pozostać dobywanie złota z metali pospolitszych, dla czego nie możnaby srebra w złoto zamieniać? Zapewne zadanie to i dziś jeszcze przebłyska nam w dali niedostrzegalnej, ale już jaśniej ująć się daje. Pojmujemy teraz, że łatwiej przyszyłoby zamieniać złoto w srebro, aniżeli urzeczywistnić przeobrażenie przeciwne srebra w złoto, złoto bowiem posiada wyższy ciężar atomowy, atomy jego mają budowę bardziej zawilą, złożone są z większej ilości cząstek elementarnych. Widzieliśmy zaś, że rozszczepianie atomów łączy się z wywiązywaniem olbrzymiej energii, tak iż sam przeto nakład energii zużyć potrzeba, by przeobrażenie w odwrotnym kierunku sprowadzić, czyli z danego pierwiastku otrzymać inny o wyższym ciężarze atomowym, a to przy dzisiejszych naszych środkach zdobywania energii wymagałoby niewątpliwie wydatków, przechodzących znacznie wartość produktu zamierzonego. Natomiast nie wydaje się rzeczą niemożliwą zamiana w złoto ołowiu, gdyż jestto metal o wyższym ciężarze atomowym.

Nowe odkrycia sprowadziły nas na grunt rojeń fantastycznych, ale zdobywcze, jakie nauka w ostatnich latach osiągnęła, usprawiedliwiają nadzieje najśmielsze. Wiemy i to, że każde odkrycie naukowe otwiera też nowe drogi technice, wydziera się poza ścianę pracowni badacza i znajduje zastosowanie praktyczne. Nic nam nie przeszkadza łudzić się nadzieją, że powstaną z czasem fabryki wyrabiające złoto, ten utęskniony przedmiot najgorętszych pożądań naszych. Gdyby jednak kiedykolwiek stać się to mogło, nie cenny ten metal byłby głównym celem wytwórczości, ale oswobadzająca się przy tem energia.

Widzieliśmy, jak obfitem źródłem energii jest rad, a trwałość jego życia oceniać można na kilka tysięcy lat. W ciągu tego czasu jeden gram radu wywiązałby tysiąc milionów ciepłostek, które, w pracę zamienione, wystarczyłyby do dźwignięcia wielu milionów kilogramów na milę w górę, gdy gram wodoru, najskuteczniejszego naszego materiału opałowego, w tlenie spalony, dostarczyłby tylko trzydzieści cztery tysiące ciepłostek, trzydziestotysięczną zaledwie część ciepła, wytworzonego przez taką samą ilość radu. Potęga energii, rozbudzającej się przy rozszczepianiu atomów innych, tegoż samego zapewne byłaby rzędu wielkości.

Gdy kiedykolwiek zdoła człowiek procesy atomowe opanować, gdy potrafi rozbijać atomy, jak dziś wodę na składowe jej pierwiastki, na tlen i wodór rozkłada, władza jego nad siłami przyrody stanie się potężniejszą, zasoby energii, które mu do rozporządzania staną, powiększą się tysiąckrotnie, przestanie go gnębić widmo wyczerpania węgla, które mu się teraz w niedalekiej stosunkowo już przyszłości ukazuje. Czy cel ten wielki osiągnąć potrafi, czy zdoła pokonać trudności i przeszkody, którymi najeżona będzie droga do zwycięstwa, tego nie wiemy, ale to wiemy, że nie odstraszą badaczy od ciągłego pochodzenia, a znajomość ciał promieniotwórczych, wynurzająca się dotąd z zawiązku dopiero, szybko rozwijać się będzie.

STANISŁAW KRAMSZTYK.

Aktualność czy sztuka?

Z tem pytaniem teatry nasze rady sobie jakoś dać nie mogą. Postawił je scenie polskiej w Warszawie moment dziejowy i dla tego na odpowiedź długo zapewne trzeba będzie czekać. W innej chwili, w normalnych warunkach, publiczność, zwykle sceptyczna wobec kwestyj akademickich, przechyliłaby się bez ceremonii, z zupełnym spokojem, idąc tylko za własnym upodobaniem, na jedną lub na drugą stronę; dziś nie skłania się na żadną — poprostu niema jej w teatrze, a wszelkie dylematy rozstrzyga za nią... stan wojenny i związane z nim zachęty do interesowania się sztuką. Wytwarza się stąd charakterystyczna sytuacja, która byłaby nawet zabawną, gdyby tak dotkliwie nie dawała się uczuć wplątanym w nią fatalnie pracownikom naszych teatrów. Oto ten sam rząd, który odstrasza publiczność od rządowych teatrów, niema czem płacić artystów, grających tam przed pustymi ławkami. Tego rodzaju kłopoty biurokracyi nie zwykły nikogo rozczulać; z chwilą jednak, kiedy zaczynają wpływać na kierunek dramatu i komedyi, muszą zaniepokoić każdego, kto gruntowne, artystyczne przekształcenie naszego teatru uważa za jedno z ważnych ogniw w łańcuchu wyczekiwanych reform. Finanse teatrów doprowadzono do takiego stanu, że nikomu już nie chodzi o repertuar; wszyscy natomiast wielkim głosem wołają: „pieniędzy!“ a nieszczęśliwy kierownik ma być tym cudotwórcą, któremu każą z próżnego nalewać. Probuje więc ostrożnie; przykłada delikatnie rękę do pulsu publiczności i bada lekko neurasteniczną jej wrażliwość na rozmaite literackie i nieliterackie podniety. A gdyby tak dawka historycznej mikstury? Wszak zdarzało się po niej lekkie przyśpieszenie tętna i wykwit na obliczu obiecującego rumieńca? Złudzenie, niestety! Wszystko trwa krótko, a potem po-

wraca apatya. A możeby wstrząsnąć organizm palącą kwestyą społeczną? Daremny eksperyment — nerwy zupełnie nie reagują. Więc chyba poezya w homeopatycznym rozcieńczeniu, jakiś łagodny, nieszkodliwy surogat Szekspira? Gdzie tam! Spazmatyczne ziewanie — i na tem koniec. A w kasie ani grosza.

— Więc któż ty jesteś nareszcie — woła z załamanemi rękami zrozpaczony reżyser, zwracając się do publiczności — czego chcesz, fantastyczna, nieuchwytna istoto; czem cię przyciągnąć, czem zająć można; jak do ciebie trafić: czy aktualnością, czy sztuką?

A fantastyczna, nieuchwytna istota w odpowiedzi na te desperackie wykrzykniki idzie do teatru... Nowości.

Nic łatwiejszego, jak cisnąć na nią za to gromy potępienia; trudniej nierównie uzasadnić kondemnatę. Fantastyczną, nieuchwytną, płochą nawet istotą bywa wszelka, zwłaszcza warszawska publiczność; ale czy taką była w danym wypadku? czy to, czem ją usiłowano „przyciągnąć“, „zająć“, miało istotnie siłę atrakcyjną, moc zainteresowania? czy przemawiająca do niej ze sceny aktualność dała jej wrażenia przeżywane poza sceną, a sztuka, która pokusiła się unieść ją ponad tragiczną rzeczywistość, czy miała po temu poetyczne skrzydła?

Warto się nad tem zastanowić przed wydaniem wyroku na lekkomyślność widzów; może też po refleksyi inaczej, sprawiedliwiej wypadnie podział odpowiedzialności.

I.

Zacznijmy tedy od spraw społecznych — te najnatarczywiej domagają się dziś głosu; a wśród nich najdonośniej krzyczy... kwestya żydowska, która też wystąpiła na scenę w „Messyaszowych czasach“ Szaloma Asza. Czy wystąpiła istotnie, jako kwestya? W intencji autora — może nie; we wrażeniach publiczności — niezawodnie. Można nawet powiedzieć, że im mniej było intencji u autora, tem uporniej narzucała się widzowi; stąd nieporozumienie między sceną i widownią, decydujące w znacznym stopniu o losach sztuki p. Asza. Młody autor, Żyd, śledzi, z gorącą dla swych współbraci miłością, ewolucyę duszy żydowskiej w czasach, które nazywa „messyaszowemi“, bo się w nich iście mają jakieś zapowiedzi, od wieków z pokolenia na pokolenie przekazywane, jakieś nadzieje przyjścia wybawcy, zesłanego przez

Jehowę dla wyswobodzenia Żydów z wszechświatowej niewoli. Patrzymy na najrozmaitsze tej duszy wcielenia w trzech generacjach, złączonych węzłami jednej rodziny, którą zgromadził u siebie sędziwy patryarcha, aby synom, córkom i wnukom oznajmić, że ostatnie dni długiego już żywota pragnie spędzić w Palestynie i tam do wiecznego snu się ułożyć na ziemi i wśród mogił praojców swoich. Ze każdy osobnik z pośród licznego potomstwa Reb Chunena jest w pewnym, mechanicznym związku z jakąś określoną społecznością, o tem dowiadujemy się więcej z afisza niż od członków plennie rozrodzonej rodziny; a już nic absolutnie nie wiemy o stosunku danego indywiduum do środowiska, wśród którego żyje. Autor zdawał się rozmyślnie unikać postawienia swych bohaterów na gruncie społecznego antagonizmu, lub choćby poprostu współżycia. Do zamieszkiwanego przez Reb Chunena zakątka w Kazimierzu nad Wisłą nie zabłąkał się ani jeden chrześcijanin; p. Asz wprowadził nas pod dach żydowskiej rodziny, tej rodziny o specyficznym charakterze, która nic niema wspólnego ani z ustrojem społeczeństwa, ani z organizmem państwa i jest tylko wyrazem rasy, rozsądnikiem gatunku. Można w tej gromadce spotkać stołecznego, w wielkomijskim stylu aferzystę; i drobnego kupca małego miasteczka; i niemieckiego geszefciarza; można z niej wyróżnić sylwetki szwajcarskiego studenta i krakowskiej kursistki; można się nawet natknąć na socjalistę, wskazującego odrazu sposobem w jaki pije herbatę, skąd rodem jego socjalizm; ale te znamiona na psychologicznym naskórku w indywiduach, które nie są indywidualnościami, w temperamentach, które nie są charakterami, rozplywają się w atmosferze rodowej przynależności, odsłaniającej tylko w przebłyskach różne rysy jednej, zbiorowej, rasowej duszy. O to, jak ta dusza reaguje na otaczające ją warunki życiowe, nie chodziło widocznie autorowi wcale; wpatruje się natomiast rozmarzonymi oczami poety w stosunek jej do wspólnego całemu plemieniu żydowskiemu ideału. Wszystkie trzy akty sztuki niczem innem nie są wypełnione, tylko momentami tego stosunku w rozmaitem oświetleniu uczuć i myśli jej bohaterów; zdawałoby się więc, że ideał sam przedstawi nam się jasno w całej syntetycznej pełni. Tymczasem nie potrafi uprzytomnić go w jakiejś określonej, o życie zaczepionej formie, nawet najstarszy piastun tradycji—Rabi Chunen. Jest-że to zresztą tradycya w tem znaczeniu, jakie jej aryjskie ludy nadają? I czy niema więcej złudzenia niż treści w tych wycieczkach umysłów i serc żydowskich ku historii, która przez dziwną transpozycję czasu i przestrzeni, zamiast streszczać w sobie sumę tego,

co niegdyś było, staje się źródłem nowych marzeń o tem, co kiedyś będzie i dla semitów dzisiejszych oznacza nie przeszłość, lecz przyszłość.

Od tej wątpliwości trudno się obronić, słuchając ekstatycznych słów patriarchy przy pożegnaniu jego ze swoimi u rogatki, która w drodze do Syonu symbolicznie dzieli rodzinę na takich, co staną z tej i na innych, co znajdą się z tamtej strony ideału. Mniejsza o kupczących terażniejszością, w rodzaju Borucha vel Bernarda, albo Wuj-Kana, których targ dnia powszedniego odciąga od wędrówek w fantastyczne krainy; ale wszakże najszlachetniejszy z wnuków Reb Chunena, Andrzej, powtarza ustawicznie: „czem ja jestem, do kogo należę, dokąd mam dążyć? nic mi nie dał ojciec, nic mi nie dała matka; co ja mam kochać?“ I w tych powracających rytmicznie strofach dźwięczy taki dojmujący smutek, taka bolesna tęsknota, odzywają się nuty takiej rozedrganej pragnieniem miłości, że ta pieśń elegijna, śpiewana jakby na śmierć nienarodzonej jeszcze ojczyzny, zdaje się płynąć z głębi serca samego twórcy „Messyaszowych czasów.“

Pod takim zaś wrażeniem publiczność inną zgoła przybiera w obec utworu postawę, niż zapewne zamierzył poeta. „Kwestya“ na skrzydłach marzeń oderwana od życia, traci dla widza charakter „społeczny;“ urasta natomiast do rozmiarów zagadnienia wszechkulturalnego. „Czas działania: wczoraj, dziś, jutro“ objaśnia autor—i publiczność z konieczności rozciąga wyobraźnię tę wskazówkę poza granice czasu i przestrzeni. Staje przed nią problemat już nie rasy, nie narodu nawet, tem mniej jakiegoś usankcyonowanego prawnie wyznania, lecz pewnego umysłowego kierunku, odrębnego ustroju psychicznego, który w historycznym żydostwie najpotężniejsze znalazł urzeczywistnienie. I w miarę, jak poeta wymyśla się i wczuwa w swoją wizję, wsłuchany w dźwięki mistycznej muzyki, dolatującej ze szczytów Syonu do brudnej, żydowskiej rogatki; w miarę, jak grzmią w tej muzyce coraz donośniej proroctwa tajemniczych przewrotów, a wędrownicy sposobiący się w drogę ku „ziemi obiecanej“ słyszą naokoło siebie odgłosy boju i zwycięstwa — jednocześnie widz uprzytomnia sobie wizję innego Żyda, który w młodych latach odebrał sobie życie, może dlatego, że również nie wiedział „czem jest, do kogo należy, dokąd ma dążyć i co ma ukochać.“

„Żydostwo w naszych czasach wspięło się na szczyty, na jukich nie stało od czasów Heroda. Żydowskim jest duch współczesności wszędzie, gdzie nań tylko spojrzymy; żydowskim jest czas najłatwowiejszego anarchizmu, czas bez poczucia prawa,

bez zmysłu państwowego; czas etyki płciowej i najpłytszej ze wszystkich historyzozofij—materyalizmu dziejowego; czas kapitalizmu i Marksizmu; czas, w którym historia, życie, wiedza zredukowane zostały do ekonomii i techniki, a początek sztuki wyrowadzono z igraszek zwierząt; żydowskim jest czas, w którym geniusz uznano za formę obłądu, a który nie posiadał ani jednego wielkiego artysty, ani jednego wielkiego filozofa; czas najskąpszy w oryginalność, a najzawzięciej uganiający się za oryginalnością; czas, który zamiast ideału dziewictwa stworzył kult „pół-dziewic“ i tem się wsławił, że celebrowanie obrządków seksualnych uznał za obowiązek, nie dla tego, żeby jak Grecy, Rzymianie zapomnieć się w bachanalii, ale żeby się w niej odnaleźć i treścią jej pustkę własną wypełnić.“

Tak mówi Otto Weininger.

I żeby nic nie brakowało do nastęrczającej się uparcie paraleli, autor „Płci i charakteru“ kończy swoją charakterystykę wróżbą, wysnutą z ciemnego, głuchego a jednak rozpaczliwie pewnego w duszy semickiej poczucia, że coś się w łonie Żydostwa stać musi, co będzie tragedją Żydostwa. „Jak niegdyś, przed wiekami—prorokuje ten genialny Żyd—znajdzie się ludzkość powtórnie w konieczności wybierania między Żydostwem a chrześcijaństwem, między interesem i kulturą, między gatunkiem a osobnikiem, między bezwartością a wartością, między życiem przyziemnem a górnem, między nicością a bóstwem. Takie są dwa krańcowe bieguny — *trzeciego królestwa* niema.“ A moment historyczny nastanie wraz ze zjawieniem się oczekiwanego Messyasza, zbawiciela, „który z Żydostwa wyszedłszy Żydów od Żydostwa wyswobodzi.“

Która z dwóch wizyj i kiedy się ziści; czy i jak obie spotkać się mogły w marzeniach o „messyaszowych czasach,“ to oczywiście należy do tajemnic z jednej strony grobu, z drugiej — żywej duszy poety. Nie dla wdzierania się w te tajemnice zestawilem tu widzenia zmarłego i żyjącego; szło mi o określenie z samej możliwości tych zestawień, nastroju publiczności wobec sztuki p. Asza. Nastroj musiał być do pewnego stopnia oporny; wytwarzały go nietylko niedopowiedzenia w narzucającem się, może mimo woli poety, zagadnieniu ogólnej kultury, ale w pracy do twórczej, na którą autor skazał widza, wplątawszy w ten problem bądź co bądź polskich Żydów. Publiczność dostosowywała ich sama, na własną rękę, prawie przemocą wyobraźni do polskich stosunków; i oto, ilekroć zdawało jej się, że myślą dopełnia autora, rozpraszały jej złudzenie westchnienia szwajcarskiego studenta: „czem ja jestem, do kogo należę, dokąd mam dą-

żyć? Nic mi nie dał ojciec; nic mi nie dała matka; co ja mam kochać?”

To wrażenie stałoby się niewątpliwie rozstrzygającym, gdyby nie jedna w sztuce postać, dająca odpowiedź na najważniejsze pytania desperata. Młodziutka wnuczka Reb Chunena, Justyna, w Krakowie kształcona, wie czem jest — jest Polką; wie do kogo należy — należy do społeczeństwa polskiego; wie dokąd ma dążyć — do narodowych ideałów polskich. Nic jej nie dał ojciec, nic jej nie dała matka — ale jej wszystko dało powietrze, którem oddychała, ale jej wszystko powiedziały echa wielkiej przeszłości, wśród których błędziła na Wawelu, dumiała w Łobzowie, rozpamiętywała w Kaźmierzu. Więc też wie, co ma kochać — kocha Polskę. Zabłąkana w dwudziestym wieku Esterka łaknie królewskiej miłości nie koronowanego kochanka, ale umęczonego narodu i z tej miłości zwierza się przed starą Żydówką Ruchlą w scenie, która sama jedna wystarcza, żeby w autorze „Messyaszowych czasów“ odsłonić poetę.

Dla czego ta poezja szczerą, głęboko odczuta spłynęła na kobietę; dla czego kobieta jest nosicielką jedynej idei, przemawiającej do publiczności językiem życia i wszystkich jego cierpień, radości, pragnień i nadziei? Wygląda to znowu, jakby argument popierający wywody Weiningera o kobiecości żydowskiej psychyki, zwłaszcza, że jest coś miękkiego, niewieściego nie tylko w rozkwilonych wyrzekaniach studenta, ale i w hallucynacyjnych uniesieniach syońskich pielgrzymów, zwłaszcza nadto, że „messyaszowe czasy“ mają także w życiu swoją historię, której straszne konwulsje odczuwamy na sobie. Pan Asz oszczędził nam na scenie widoku histeryczki; czy jednak przez to ustalił własny stosunek do dwojga swoich bohaterów; czy dał nam możliwość wyrzeczenia dokąd się przechyla: ku szwajcarskiemu studentowi, czy też ku krakowskiej studentce?

Nie mamy prawa domagać się takiego wyznania wiary od autora, który może nie myśląc o „sensie moralnym“ chciał poprostu przedstawić dzisiejszą duszę żydowską w rozmaitych jej odmianach; ale w takim razie autor nie może mieć pretensyi do publiczności, jeżeli dla niej pytania wnuka Chunenowego wierniej tę duszę streszczają, aniżeli odpowiedzi jego wnuczki. Nie może tembardziej, że gdyby nawet w intencji p. Asza szlachetne uczucia kursistki miały ją wysunąć na pierwszy plan, przeszkodziła temu gra panny Pawłowskiej, która to sprawiła, że na czoło obrazu wystąpiły właśnie wszystkie dźwigające antytezę postacie, doskonale grane przez pp. Śliwickiego, Bednarczyka, Szymanowskie-

go, Rolanda, Szoberta, Wostrowskiego i Wilczyńskiego. Miały więc „Messyaszowe czasy“ z racyj społecznych mniej przedstawień, niż na to zasługiwały; ale zostawiły po sobie artystyczne wrażenie utworu, zapowiadającego niepośledni talent.

Nie można tego powiedzieć o trzyaktowym dramacie Filipa Langmanna p. t. „Bartel Turaser;“ niewiadomo bowiem co przed dziewięciu laty, kiedy go poraz pierwszy w Niemczech przedstawiono, mógł właściwie zapowiadać i trudno dziś zrozumieć jakiego gatunku wrażeniami zdołał podówczas wywołać i przez krótką chwilę podtrzymać pewien rozgłos.

Był dramatem proletaryatu — i ta jego metryka literacka posłużyła mu dawniej za jedyną zapewne kwalifikację na scenach niemieckich. U nas uznano go za aktualność — temu też zapewne zawdzięczał przemijającą gościnność w repertuarze teatru warszawskiego. Tam i tu długo ostać się nie mógł w zetknięciu z dwoma potężnymi współzawodnikami: w ojczyźnie — z Gerhardem Hauptmannem; w Warszawie — z życiem.

„Tkacze“ przez pewien czas nikomu spać nie dawali. Nie mówię oczywiście o „oburzonych,“ którzy, w imię „zagrożonego ustroju społecznego,“ zakazem policyjnym podnieśli, nawet w powściągliwych, entuzjazm dla tej genialnej kreacji; mam na myśli tych, którym ten nastrój pewnych odłamów publiczności weiskał pióro do ręki, mnożąc w niepokojący sposób zastęp naśladowców. Fala wszelakich imitacyj zalała wtedy rynki literacko-teatralne; sukcesy zaś różnych przedrzeźniaczy dowodziły przede wszystkim, jak mało, jak źle rozumiano samego Hauptmanna. Pisarze niewątpliwie utalentowani: Langmann, Adamus, Heyermanns, zdobywszy się zaledwie na blade, niezdolne do życia plagiaty, próbowali prześcignąć arcywzór, już to wprowadzając „bohatera,“ już znowu „ożywiający akcję“ lub też realizując na scenie jakiś „światopogląd.“ Bohatera zwłaszcza brakowało publiczności, a nawet krytyce. I mało komu mieściło się to w głowie, że w tragedji wdzierającego się na scenę dziejów „czwartego stanu“ bohaterem, który zaczyna w oczach naszych „robić historję,“ jest tłum; że wywyższył „Tkaczów“ nad wszelkie teatralne bohaterstwa właśnie brak herosa; że w prawdziwym dramacie pulsuje sercowem tętnem *fatum*, los nieunikniony, nieprzeparta siła, posługująca się, jak narzędziem, czynami ludzkimi — a w „Tkaczach“ głód jest tą siłą, w obec której, zapominając o innych poza nią potęgach życiowych: o inteligencji, o fantazyi, o mocy twórczej, o woli świadomej, nie widzi się przed sobą nic więcej prócz chaosu i żywiołowej, rozpaczą na oślepnę gnanej ciżby. I w tem tkwi prze-

dziwny zmysł dramatyczny Hauptmanna, który, odgrodziwszy się rozmyślnie od reszty świata, w zakątku, gdzie patrzył na narodziny socjalizmu, z artyzmem wielkiego realisty, obywa się bez „rozszerzonych widnokręgów“ i bez socjalistycznej tezy, zostawiając mdłym naśladowcom swoim pokusy „kwestyi robotniczej.“

Ze słabością kuszonych nie liczyło się snąc kierownictwo repertuaru w naszych teatrach; natomiast wydawała mu się widocznie siłą atrakcyjną sama „kwestya,“ bo innym motywem trudno byłoby objaśnić wystawienie dramatu Langmanna.

— Na porządku dziennym zatargi z dyrektorami i majstrami w fabrykach; naokoło strejki; wszędzie ostra walka pracy z kapitałem; trzeba coś w tym guście dać na scenie, teatr powinien iść za prądem; scena, która w kwestyach społecznych wszędzie wyprzedza życie, nie może dać się prześcignąć życiu.

Tak zapewne rozumowała reżyserya; takie prawdopodobnie było jej wyrachowanie. I rachuba omyliła, zwłaszcza gdy sprobowała oprzeć się na konkurencyi z życiem. „Bartel Turaser“ zaledwie zdążył przemknąć się przez scenę.

Przy ocenie tego faktu, bądź co bądź charakterystycznego, wypadnie z góry usunąć wszelkie motywy literackie. Większość publiczności tutejszej nie zna dwóch najpotężniejszych dzieł, z którymi porównałyby mogła bezkrwisty utwór Langmanna: nie widziała na scenie ani „Tkaczów“ Hauptmanna, ani „Ponad siły“ Björnsona. Nie akademicki zatem spór o wyższość bohatera nad tłumem, lub tłumem nad bohaterem wpłynął na jej postawę wobec „Turasera;“ ale otaczający ją żywy dramat, przy którym zblednąć musi wszystko, co jest tylko literaturą i co potęgą twórczą nie przekształca życia na wielkie dzieło sztuki.

Nie brak nic w tym dramacie. Jest nieosobistym — odpowiada więc w pewnej mierze i w pewnych formach Hauptmannowskim ideałom. Poza działającymi massami stoi, wytwarza rozpaczliwe sytuacje i prze do tragicznych katastrof niewidzialna a niemniej impulsywna siła — nędza, przybierająca w pewnych momentach postać głodowego widma; gra namiętności, dziecięcych w miarę rozwoju „akcyi,“ snuje się w krwawych scenach z pozorami odnětu, bezładu, w gruncie rzeczy z tajemniczą jakąś, straszną konsekwencyą. Ponad wszystkim zaś unosi się teza, którą życie ma dopiero skryształizować, a która streszcza się w tej chwili w parafrazie słynnego zagadnienia z doby wielkiej rewolucyi francuskiej: „czem jest dziś „stan czwarty?“ — niczem; czem chce być jutro? — wszystkim.“

I tu zatem, jak przy „kwestyi żydowskiej,“ rozszerzają się w stosunku do sceny widnokreśli społeczne; tylko tam odsuwał je w dal, może mimowolnie, poeta; „kwestye robotniczą“ rozpiera poza ramy teatru i na wyżyny wszechludzkiej kultury dźwiga — życie, za którem dopiero literatura będzie musiała podążać. Lubliński w swoim „Bilansie modernizmu“ zauważył, że błędem jest mniemanie, jakoby „Tkacze“ byli dramatem współczesnego ruchu socjalnego; dziś bowiem już nie sam głód jest tego ruchu sprężyną, jak go po mistrzowsku uobecnił Hauptmann w swoich obrazach niedoli robotniczej na Szląsku w czwartym dziesiątku zeszłego stulecia, zamykając poniekąd seryę poetów tej niedoli: Tomasa Hooda, Jerzego Sanda, Eugeniusza Suego, Wiktora Hugo, Heinego i Freiligratha. Fizyognomia antagonizmu społecznego, stanowiącego duszę dramatu proletaryatu, zmienia się istotnie w najnowszych czasach; przybywają jej wyrazistsze rysy, zacieśniające potrochu żywiołowe cechy tego zagadkowego oblicza; odzywają się różniczkowane już z zamętu instynktów uczucia. Bohaterów jeszcze niema; ale już od szarej, beziemiennej masy odrywają się uosobione w żywych postaciach bodźce psychologiczne socjalnych przeciwieństw. W drugiej części dramatu „Ponad siły“ Björnson wprowadza do domu pracodawcy wcielenie miłości, kobietę, wychowawczynię jego dzieci, gdy jednocześnie brat jej w fabryce, otumaniony podszeptami nienawiści klasowej, przygotowawszy zgubę zgromadzonych na naradę przeciw robotnikom fabrykantów, grzebie ich pod gruzami wysadzonej w powietrze willi. Zakończona zbrodnią tragiczna walka nienawiści z miłością, otwiera w epilogu, może bez intencji autora, zatrważające na przyszłość horyzonty. Pracodawca, ocalony cudem z katastrofy, nawrócił się ku humanitarnym uczuciom, niewiedomo jednak czy pod wpływem miłości, czy pod brzemieniem strasznych kalcetw, jakich przy wybuchu stał się ofiarą. Miłość złamana, miłość bezwładna — oto symbol nadchodzących czasów. Żyją wprawdzie dzieci kaleki, chowane zdrowo pod jej skrzydłami; ale nowe pokolenie jeszcze nie wyrosło, a tymczasem na scenie terażniejszości nienawiść szaleje.

Tego szaleństwa jesteśmy właśnie świadkami; to jest najnowsza postać dzisiejszej tragedyi proletaryatu. Twórcą jej — życie; widzem i przymusowym aktorem jednocześnie — społeczeństwo; bohaterem — bo występuje już w tej fazie bohater — figura nowa, wcielająca dojrzałą niby ideę socjalizmu — agitator. Ten bohater stoi, właściwiej mówiąc — kryje się poza tłumem; indywidualnego niema nic w jego obliczu, które lubi być bezosobowem

i przerażać ekspresją żywiowości. Ale od siły żywiowości odbiegliśmy już daleko; kierownika jej, działającego świadomie, celowo, wyczuwamy na każdym kroku, wtedy nawet, wtedy szczególnie, gdy przedrzeźniając kataklizmową potęgę, używa czynów ludzkich za narzędzie; gdy inscenizuje pod bezpieczną osłoną roznamiętnionych przez siebie mas sztuczne zbioroweheroizmy. W przebiegu tego dramatu sprawdza się niewątpliwie spostrzeżenie S. Lublińskiego, że chodzi tu już nie o „nagi głód,“ lecz o wyładowanie energii dźwigającego się z nizin „czwartego stanu;“ o ile jednak ta energia ma być według autora „Bilansu“ twórczą, jakie kryje w sobie „wizyonerskie nadzieje przyszłości“ — na to patrzmy wszyscy. I kiedy każdy dzień przynosi nam dantejskie obrazy spustoszeń materialnych i moralnych, zezwierzęcenia natury ludzkiej, orgii znieprawionych instynktów; gdy wrażliwość naszych nerwów zdaje się wyczerpywać do ostatka, wtedy mamy się zainteresować losami Bartela Turasera!

Któż w rezultacie jest ten Bartel Turaser i dla czego właściwie mamy się nim zajmować? Człowiek bardzo nieszczęśliwy i bardzo nudny, bo namiętnie lubi mówić o swoim nieszczęściu. Z gruntu uczciwy, stanął jednak, przyciśnięty nędzą, w kolizyi ze swoją uczciwością, jako jedyny świadek w sprawie sądowej, wytoczonej znieprawionemu majstrowi, od którego mógł uwolnić fabrykę zeznaniem prawdy, a którego z namowy żony ocalił kłamstwem za pieniądze, potrzebne na ratowanie chorego dziecka i na chleb dla całej rodziny. Wyrzuty sumienia, cofnięcie fałszywego zeznania z dobrowolną pokutą w więzieniu za krzywoprzysięstwo — oto wszystko. Słowem zamiast Hauptmanna — Anzengruber.

Gdzież tu więc poza psychologią bohatera w nieustającym rozsnuwaną monologu, owa aktualność, która miała usprawiedliwić reżyseryę? gdzie wyraz chwili bieżącej, „kwestya robotnicza?“

Jest tego wszystkiego po trochu w drugim akcie sztuki Langmanna; jest i wiec strejkujących robotników; i rozdawnictwo żebraczych zapomóg z kasy strejkowej wygłodzonym biedakom; i uchwała pokonanych nędzą o zaprzestaniu bezrobocia; — jest nawet coś więcej, bo sensacyjna, z za kulis dolatująca wrzawa pościgu robotników za oskarżonym o zdradę Turaserem. I może na publiczności, śledzącej te sceny w normalnych warunkach, wywarłyby one jakieś wrażenie; ale dziś nietylko fikcya wygląda bezbarwnie wobec rzeczywistości, lecz zostawia widzowi tyle zimnej krwi, że może postawić zapytanie: w jakim artystycznym związku znalazł się ten cały akt z resztą akcji i z dramatem psychologicznym, odgrywanym się w sumieniu bohatera; czy i w ja-

kiej zależności pozostawał strejk od sprawy majstra, zagrożonego kryminałem; dla czego się rozpoczął, dla czego ustał, o ile stosunek wezwanego przed sąd majstra do robotników był wyrazem stosunku do nich samego pracodawcy i o ile wytwarzał pewien typ „kwestyi robotniczej?” Wiemy już ze zwięzłego przytoczenia treści „Bartela Turasera,” że niema tam odpowiedzi na te pytania i że reżyserya, nie troszcząc się ani o jedno, ani o drugie, dała się poprostu zahypnotyzować luznemu w dramacie epizodowi strajkowemu. Hypnoza nie podziałała na publiczność, mimo zręczną charakterystykę gromady robotniczej i ruchliwą tego epizodu inscenizacyę, mimo bardzo dobrą grę zbiorową, na tle której wyróżniły się plastycznie pojedyncze role, interpretowane z życiem przez pp. Bednarczka, Siemaszkę, Brydzińskiego i Wojdłowicza oraz przez panie Barszczewską i Pichor.

II.

Wobec obojętności widzów dla kwestyj społecznych, zwrócono się znów do ich patryotyzmu z ryzykowną tym razem pretensją, żeby sankcyonował na scenie taki motyw „dziejowy,” jak romans Napoleona I z panią Walewską. Patryotyzm znalazł się w dość kłopotliwej sytuacji, której treścią zdawało się być takie mniej więcej rozumowanie:

— Widzieliście wielkie początki Polski za Kazimierza; widzieliście wspaniałą wysiłek narodu podźwignięcia w sejmie czteroletnim upadającej ojczyzny; patrzyliście na to, jak sztuka z równym zapałem pod hasłem odrodzenia pracowała; zajął was nawet rozpustnik Węgierski w chwilach, gdy mu przez głowę lekkoduchą przelatała myśl naprawy Rzeczypospolitej; mieliście przed oczami cnoty, umiejcież spojrzeć na grzechy.

— Dobrze, odpowiadał patryotyzm, ale mi pokażcie takie grzechy mojego narodu, w których wielkości tkwi tragizm, godny twórczego gniewu poety i artysty. Nie zadrzę przed Targowicą, wtrącającą Polskę w przepaść; z odrazą wejdę do alkowy, w której pani Walewska „ratuje Polskę.”

Tak mówił patryotyzm i... zaglądał dość często do tej alkowy. Nie obwiniajmy go. Szukał tam przecież nie pani Walewskiej; szukał bożyszczka, nieobalonego przez stuletnie nawałnice—szukał Napoleona. Wiek wkrótce upływa od zjawienia się w Warszawie zwycięzcy z pod Jeny. To prawie aktualność, a wobec

bliskości pamiętnej rocznicy, ktoby tam zważał na to, że wielki cesarz obchodził się z kobietą, jak „mały kapral?“ Widzieć go w aureoli tryumfów, wkraczającego na ziemię polską; patrzeć, jak na zamku królewskim przygotowuje epopeę legionów i glorię 1809 roku; śledzić błyski geniuszu, rozdzierające chmury, zawisłe nad przyszłością świata—czyż to nie wystarcza? Między karczmą w Jabłonnie a numerem w hotelu Angielskim w Warszawie, sporo jeszcze wody w Wiśle przepłynię; tymczasem ten budowniczy nowej Europy w naszych oczach gra o wielką stawkę z historią i, niby karty w rękę, tasuje lądy, morza, ludy, narody, państwa. Przez krótką chwilę my jesteśmy w grze jego atutem. I zapominając kto wygrał a kto przegrał, wołamy, jak Faust czarami odmłodzony, wyciągając ręce do tej chwili: „zatrzymaj się! jesteś tak piękna!“

Romans? Czemużby nie? Zdarzają się takie epizody w życiu geniuszów. Tem gorzej dla tych, którzy w epizodzie widzieli moment, choćby niedłuższy nad oka mgnienie, naszej porozbiorowej historii; którzy go do godności dziejowej dźwignęli. Takim go snąć ujrzał powieściopisarz Gąsiorowski, takim się widocznie wydawał inscenizatorowi powieści, panu Nikorowiczowi, skoro wykroił z niej aż pięć aktów, zaludnionych maryonatkami o głośnych nazwiskach i zdążających przez zajazdy, pałace, salony do owej słynnej poczekalni przed gabinetem Napoleona, gdzie zapracowany cesarz na wiadomość o przybyciu pani Walewskiej, odrzekł niecierpliwie: „niech czeka!“ a znalazłszy się z nią sam na sam zakomenderował krótko i dobitnie: „Rozbieraj się!“

Nadając temu sam na sam całą dobitność plastyki scenicznej, pan Nikorowicz może powołać się na pierwowzór powieściowy p. Gąsiorowskiego, a p. Gąsiorowski ma niewątpliwe prawo uważać za dostateczną osłonę dla tej sceny bez osłon — historię. Tak—ów żołdacki wstęp do amorów Napoleona jest podobno autentyczny, o ile może być o autentyczności mowa tam, gdzie z natury sytuacji brakować musiało świadków i gdzie zainteresowani nie mogli być wielomówni. Cóż stąd zresztą, choćby sama najprawdziwsza prawda narzuciła się nam w teatrze? Wszak do podobnego gatunku autentyczności mogłaby rościć pretensję, jeszcze jaskrawsza wersja, zapewniająca, że zapaly erotyczne potężnego mocarza, przerwał paroksyzm epilepsji, której jakoby Napoleon podlegał. Czy byłoby to dostatecznym powodem do pokazania na scenie wielkiej choroby?

Więc psycho-fizyologia, czy też fizyo-psychologia wielkiego człowieka? Zapewne — i to mogłoby nas zainteresować, gdyby

doświadczenie nie odbywało się na preparacie, którego widok musi być dla nas przykry, gdyby przedmiotem eksperymentu nie była Polka. Jednocześnie z „Panią Walewską“ grano w Filharmonii „Piękną Marsylianę,“ sztukę Bertona, osnutą na historyi spisku Cadoudala przeciwko Napoleonowi. I tam patrzyliśmy na żołnierskie zalecanki pierwszego konsula; ale korsykański jego temperament budził tylko uśmiech, dla tego, że przedstawił go Francuz ze zwykłą zręcznością w manipulowaniu wybuchowym erotyzmem, a przede wszystkim dla tego, że nic nas nie obchodził przedmiot obcesowego flirtu Napoleona.

Tu inaczej. Tu kochanka cesarza nazywa się pani Walewska, co zresztą mogłoby nam być także obojętnem, gdyby nie rola, jaką temu polskiemu nazwisku przeznaczono w stosunku z wszechpotężnym twórcą nowożytnych dziejów. Na tę rolę dwójako można spojrzeć: pod kątem etycznym i ze stanowiska polityki praktycznej. Etyka jest sprawą osobistą pani Walewskiej i jej męża; wtrącać się do niej nie mamy prawa i o tyle tylko liczyć się z nią wypadnie, o ile postawiono ją na gruncie walki z niemoralnie narzuconą powinnością względem szarpanej ze wszystkich stron ojczyzny. A na tym gruncie, im piękniej, szlachetniej przedstawi się kobieta, instynktem przeczuwająca całą brzydotę suggestyjonowanego w ten sposób obowiązku i pasująca się rozpaczliwie z rozbudzonem już uczuciem, tem szpetniej wydać się musi i owa polityka i ci, co pod jej hasłem występują w charakterze ruffianów. Pan Nikorowicz nie chciał zapewne wywoływać tego rodzaju wrażeń; ale logika i psychologia faktów silniejsze były od intencji inscenizatora, który zdobył dla pani Walewskiej sympatyę widzów kosztem takiej postaci, jak marszałek sejmu czteroletniego, *Arystydes polski*, Stanisław Małachowski, imieniem Polski wzywający uczciwą kobietę do cudzołóstwa. Może ukłęknięcie w ostatnim akcie cezara u nóg sponiewieranej przedtem metresy, zadowolni tych, którym podobny tryumf Polki wystarcza; widz szukający czegoś więcej prócz anegdoty, wolałby, żeby Napoleon nie miał prawa powiedzieć pani Walewskiej w odpowiedzi na jej orędownictwo za Polską:

— Mówisz to, co ci podyktował Małachowski!

Dla jednych więc, trzeci akt ze sceną stręczycielstwa, decyduje o całości wrażeń; inni chcieliby sztukę zamknąć aktem czwartym, gdzie Napoleon szepce, schylony nad zemdłoną po upokorzeniu Walewską: „jaka piękna!“ Jeszcze innym podoba się hołd ujarzmionego rzekomo kochanka w akcie piątym: dla teatru rozstrzyga — kasa, którą „Pani Walewska,“ jako tako zasilala, dzie-

ki dobrej grze panów: Nowickiego, w roli Napoleona, Rapackiego, przedstawiciela męża Walewskiej i Wostrowskiego, w roli Ormana, jak również pani Przybyłko, uplastyczniającej subtelnie tytułową postać.

„Pocałunek“ Ludwika Döczyego miał trzy przedstawienia. Najgorzej więc o tej *komedyo-bajce* zaświadczyła publiczność a z nią naturalnie kasa. Co ma na to powiedzieć krytyka, dla której dochód nie może być argumentem, a nawet postawa publiczności niekoniecznie stanowi o wartości utworu? Zwłaszcza, że z drugiej strony i fakt wynagrodzenia przed trzydziestu pięciu laty „Pocałunku“ przez węgierską Akademię nie wiele dowodzi. Akademia jest stosunkowo młoda; młodszą jeszcze jest w Węgrzech literatura dramatyczna; obie musiały być płocze, kiedy o „Pocałunek“ chodziło. Wschodnie pochodzenie Węgrów tłumaczy dostatecznie twórczą ich siłę w dziedzinie liryzmu, powieści, romansu i objaśnia też względną słabość w utworach scenicznych. Gdy poeci, romansopisarze oddawna już tworzyli trwałe dzieła, Muza dramatyczna odzywała się w Węgrzech zaledwie dziecięcym gwarzeniem przedrzeźniającem francuskich romantyków i Scribego. Dopiero z rozpoczęciem doby dualizmu teatr węgierski zaczyna być zajmującym: przechodzi zaś zwykle fazy ewolucyjne literatury narodu walczącego o wolność. Najprzód patryotyzm usiłuje wykazać, że w języku narodowym można wyrazić najszlachetniejsze idee; potem dramat historyczny wskrzesza najświetniejsze momenty z dziejów ojczystych; wreszcie „młodzi“ wprowadzają na scenę tezy społeczne. Przedstawienie „Proletaryuszów“ Csikego w r. 1880 staje się epoką w historii teatru węgierskiego, a rozszerzony w pojęciu typ „proletaryusza“ występuje na różnych szczeblach społecznych w utworach pisarzy zapatrzonych w arcj-wzór Csikego.

Sześćdziesięcioletni dzisiaj Ludwik Döczy znalazł się wówczas w gronie młodych ze swoją sztuką społeczną „Mięszane pary.“ Zdaje się jednak, że młodość jego nie długo trwała, a dojrzewanie wyraziło się w szybkim tempie kariery. Po ukonstytuowaniu się gabinetu Andrassego, widzimy Döczyego sekretarzem prezesa ministrów w biurze prasy, skąd ciska seryę gwałtownych artykułów przeciwko Tiszy, przywódcy opozycji i zyskuje w ten sposób zaufanie hrabiego Andrassego. W r. 1871 podąża za premierem do Wiednia i uprzyjemnia sobie *otia* międzypolityczne tworzeniem tragedji „Ostatni prorok“ i przekładem pierwszej części „Fausta.“ Z tej też doby datuje „Pocałunek“ i laur Akademii.

Laur ozdobił głowę młodzieńca. Dóczy miał wtedy lat 26; a jednak nie czuć w „Pocałunku“ tej twórczej młodości, która w każdym poetyckim wzlocie odradza się na nowo. Jest coś spokojnie, możnaby nawet powiedzieć solidnie zrównoważonego w tej komedyi-bajce, niby rozbujanej po fantastycznych krainach, gdzieś w dalekiem sąsiedztwie Szekspirowskiego królestwa, kędy w noc letnią pływają elfy i krasnoludki, przekomarzając się z rozkochanymi parami i wikłając je psotnie w rozkoszną komedię pomyłek. Ale to bujanie przypomina tu raczej prozaiczną huśtawkę z jej wzbijaniem się w górę i spadkami na dół, aniżeli sen poety z cudnymi nadzmysłowymi wizjami. Wygląda to, jak zabawka, nie jak natchnienie, coś w rodzaju *garden-party*, w której arystokratyczne towarzystwo goni się po ogrodzie, szuka, gubi, znów odnajduje, na nowo się kryje w pościgu za pocałunkiem, przeskakującym z jednych ust na drugie niby rakieta *lawn-tennisa*. Wszystko naturalnie odbywa się w dobrym tonie, z pewną wytwornością, nawet z tą odrobiną dystygowanej poezyi, na jaką mogą sobie pozwolić wysokie sfery, zwłaszcza, gdy reżyseruje młody, elegancki radca ministeryalny i w maskaradowej inscenizacji miejsca, czasu daje wszystkim idealną swobodę na szczęśliwem pograniczu między mityczną Arragonią, a legendową Nawarrą.

Więc Adolar, przyrodni brat Sewera, króla Nawarry, intrygą odsunięty od jego oblicza, postanawia przekonać go podstępem, że surowa moralność, skazująca na banicję dwoje kochanków za niewinną pieszczotę, zachwieje się przy pierwszym pozamażeńskim pocałunku. I krążąc z odmienioną maską na dworze brata, dokonywa swego. Marzenie o pocałunku, niby subtelna trucizna, rozprzega surowość obyczajów nawarskich i wspina się nawet po stopniach tronu aż do królewskiego stadła, odgrywającego bezwiednie scenę miłosną, w której, dzięki przebraniu, zmrokowi wieczornemu i podnieconej wyobraźni, mąż i żona, nie poznawszy się wzajem, jak para amantów, sięgają platoniczmem pragnieniem po owoc zakazany. Gdy wszystko wyszło na jaw, zawstydzony król ściska ze skrucłą małżonką, tuli do piersi pokrzywdzonego brata, przebacza pocałunek ułaskawionym kochankom. Cnota nie będzie już chępliwą, z czego cieszą się wszyscy, nie wyłączając Akademii węgierskiej, która pierwszą nagrodą premiuje ministeryalnego poetę.

Wyobraźmy sobie teraz publiczność warszawską wobec tej komedyo-bajki i pomyślmy, co ją tam właściwie zająć miało? czem spodziewano się trafić do jej myśli, serea, albo do jej artystycznego zmysłu? Czy wdziękiem w rysunku fantastycznych postaci?

Czy swobodną grą komediowych motywów, krzyżujących się kapryśnie w urojonych przestworach? Czy pierwiastkiem ludzkim, drgającym pod chimeryczną psychologią bohaterów tej baśni? Wszystkiego tego brakuje w „Pocałunku,” wszystko to zaś składa się na owo coś nieokreślonego, nieuchwytnego, co duszę rozkosznie muskać powinno technieniem poezji, a co w bajce Döcziego jest tylko sztucznym jej grymasem. Nie takiej poezji trzeba widzowi z ostatniej doby. Przemówcie doń albo tragizmem, któryby sięgnął głębiej niż fizyczne przerażenie aktualności i wstrząsnął grozą nie samo tylko ciało; albo porwijcie ukołysanego rozwiewnemi widzeniami tak wysoko, żeby tam stracił z oczów wszystko, czem go rzeczywistość hypnotyzuje aż do hallucynacji, żeby potworna zmora z nizin pierzchła przed tęczową wizją szczytów.

Jestto może w repertuarze „przełomowym“ kwadratura koła—ale rozwiązać ją trzeba, pod grozą rozpadnięcia się teatru polskiego, od którego nie ocala go chyba takie utwory, jak „Odsiecz Wiednia“ Wincentego Rapackiego.

Nie chcąc tu pominąć nowości, wystawionej w chwili, kiedy trzeba było zakończyć niniejsze uwagi, zmuszeni jesteśmy poprzestać na pobieżnej tylko wzmiance o premiowanym utworze autora „Wita Stwosza.“ Czynimy to zresztą z tem czystsze sumieniem, że „Odsiecz“ należy do kategorii widowisk, na których scharakteryzowanie utarła się, zupełnie słusznie, definicya „malowniczych obrazów.“ Malowniczość jest rozumiana w tem określeniu przedewszystkiem jako efekt dekoracyi, kostiumu, oświetlenia, zręcznego układu grup, migotliwej ruchliwości tłumów: słowem, jako muzyka barw z odpowiedniem urozmaiceniem tempa i rytmów, do której literat dorabia libretto. Takim librettem jest przedstawiona niedawno nowość p. Rapackiego. Powtarza się w niej typ literacki „Obrony Częstochowy;“ te same psychologiczne motywy: religia i miłość ojczyzny, tylko rozszerza się arena bohaterstwa i ze zmianą miejsca akcji i odpartego wroga, można by zmienić tytuł na „Obronę Chrześcijaństwa.“ Czy ten rozrost tematu wpłynął na podwyższenie w autorze poetyckich wzlotów? Zewnętrznie tak. Dość spojrzeć na afisz, na wydłużony w nim spis figur historycznych i niehistorycznych, ażeby się przekonać, jakie p. Rapacki zamierzył ogarnąć horyzonty. Ale jak zwykle w takich razach, sama właśnie rozległość widnokręgów utrudnia ich ogarnięcie, które w praktycznem urzeczywistnieniu wygląda niby rami, obejmujące żywe obrazy. Czego tam niema w tych ramach! Więc Wilanów, gdzie Jan III sadi drzewka, a panowie

niemieccy błagają go, aby ratował Wiedeń; więc namiot wielkiego wezyra z baszami, janczarami, haremem i narada wojenna nad sposobami pokonania Sobieskiego; więc obozowe sceny na Kahlenbergu z obrządkiem pasowania na rycerza królewicza Jakóba i z nieuniknionym kawiarzem wiedeńskim, Kulczyckim, a potem pogrom Turków i śmierć branki Kamienieckiej; wreszcie spotkanie pod murami Wiednia króla Jana III-go z cesarzem Leopoldem i na zakończenie powrót z wyprawy osiwiątego w bojach miecznika kowelskiego z synem Stanisławem, na którego we łzach oczekuje Hanna Konarska, ku ucieście stęsknionych za miłością widzów. Jest tedy na co patrzeć w tych sześciu obrazach; ze słuchaniem tylko rzecz się ma trochę inaczej. Mówią tam wprawdzie wszyscy; ale właśnie dla tego, że mówiących jest taka mnogość, mogą rzucać tylko ogólniki obojętne, lub informacje, potrzebne autorowi, bądź jako wiązadła luźnej akcji, bądź też, jako rysy powierzchownej charakterystyki. Do tej rozproszonej z natury rzeczy gadatliwości sylwetek, tłoczących się w obrazach, przybywa wielomówność naczelnych bohaterów, rozprawdzająca w długich, bardzo długich tyradach dwa przewodnie motywy, o których już wspomniałem. Liryzm patryotyczny i religijny jest tu oczywiście nieunikniony i o rozlewność jego, mimo średni gatunek, sprzeczać się trudno; gorzej z konsyderacyami politycznymi, budującymi *ex post* psychologię naczelnych figur, sztucznie dźwigającymi, na przykład, posągową postać wojownika-bohatera na piedestał statysty. Te właśnie rozmyślenia możnaby z korzyścią dla całego widowiska znacznie skrócić; a wtedy — kto wie? może przy „malowniczej“ (wyrażenie uniwersalne i tu przydać się może) grze pp. Leszczyńskiego, Rapackiego, Ładnowskiego, Frenkla, Wojdałowicza i pani Barszczewskiej; przy barwnej wystawie i zręcznej reżyserii p. Śliwickiego „Odsiecz Wiednia“ przypomni kasie szczęśliwe czasy „Obrony Częstochowy.“ Bo doszło dziś do tego, że i krytyka do kasy kierować musi swoje aspiracje, widząc chwiejącą się w podstawach materialnych samą egzystencję teatrów warszawskich, patrząc na upokarzające istotnie współzawodnictwo pierwszej sceny polskiej z estradą w Filharmonii, około której gromadzą się liczne stosunkowo zastępy zaciekawionej publiczności.

III.

Nie trzeba się łudzić; konkurencya, głucha, na obie strony nierówna, a po obu stronach zacięta, istnieje ciągle, mimo, że jej zewnętrznie nie widać, mimo, że się może do niej współzawodnicy nie przyznają. Na niebezpieczeństwo tej rywalizacji zwracałem już na tem miejscu uwagę w roku zeszłym, kiedy może nie zdawano sobie z niego sprawy w naszym dramacie; dziś jest ono o tyle groźniejszym, że losy teatrów warszawskich, o których umiastowieniu różne krążą wieści, stają się coraz bardziej zagadkowe; że dezercya artystów, w tej chwili wzmożona niewypłacalnością administracyi, wycieńcza personel dramatyczny; że zresztą niepewność jutra działa rozkładowo na chory oddawna organizm artystyczny, a instytucyę całą popycha poprostu do upadku. Tymczasem Filharmonia krząta się — po swojemu prawda — ale się krząta.

Pod względem ruchliwości, inicjatywy — złej, czy dobrej — ale zawsze inicjatywy, nic się tam od przeszłego roku nie zmieniło; na sezonie dramatycznym odbijają się tylko fazy, przez jakie przechodziła dyrektwa produkcji muzycznych. Rozpoczęła Filharmonia rok temu od prowadzenia sceny trybem symfonii, usiłując urozmaicony repertuar ożywić zgranym dobrze zespołem, bez pomocy solistów. Gdy ubytek kilkorga zdolnych artystów nadweryzył ten zespół, zwrócono się do wypróbowanego w koncertach sposobu: do popisów wirtuozów aktorstwa — i przesunęli się przez scenę pp. Kamiński, Zelwerowicz, Feldman, pani Siemaszkowa, a ostatnio ukazała się tam panna Mrozowska. Wspominam o tem oczywiście nie jako o usprawiedliwionej artystycznie metodzie kierowania teatrem; chodzi mi poprostu o charakterystykę zapobiegliwości Filharmonii w zestawieniu z kancelaryjną, ciężką, powolną działalnością kierownictwa warszawskiej sceny. Koncerty solowe nie zawsze udawały się Filharmonii: p. Kamiński naprzykład zawiódł zupełnie, jako Rabagas, wykazawszy w tej roli brak inwencji i niedostateczne pogłębienie typu; panna Mrozowska nie zrozumiała poprostu Hildy w „Budowniczym Solnesie;“ ale niemniej publiczność poznała „Rabagasa“ Wiktoryna Sardon, zobaczyła pierwszy raz fragment autoanalizy Ibsena i zaznajomiła się z jednym z dzielniejszych utworów literatury rosyjskiej, z „Intratną posadą“ Ostrowskiego, w której p. Kamiński stworzył interesujący, samodzielnie pomysły typ łapownika.

Wogóle, wprowadzenie na deski Filharmonii, dzięki aktorowi-wirtuozowi, repertuaru rosyjskiego, miało jedną dobrą stronę: zbliżyło w oczach widzów niezbyt jeszcze dawną przeszłość społeczności rosyjskiej ku chwili bieżącej i niewtajemniczonym rozjaśniło w wielu punktach dzisiejszą, tragiczną aktualność. Mam tu na myśli nietyłe satyryczną charakterystykę tych złowrogich dusz, które doprowadziły Rosyę do obecnej, rozpaczliwej sytuacji, jak raczej ukazanie się i koleje dodatnich postaci idealistów, którzy mieli o przyszłości jej stanowić. Nie widać ich jeszcze w „Rewizorze“ Gogola, w atmosferze łapownictwa, gdzie okrada się ojczyznę wesoło, z pogodnem przeświadczeniem o spełnianej powinności; zjawiają się już w „Intratnej posadzie“ Ostrowskiego, w „Mieszczanach“ Gorkiego i... piją wódkę, która im daje odwagę spoglądania w głąb przepaści, dzielącej rzeczywistość od nieokreślonych filozoficzno-społecznych aspiracji; w „Zmartwychwstaniu“ występuje oderwany od wszelkiej rzeczywistości przedstawiciel ewangelicznego, wszechludzkiego ideału miłosierdzia i przebaczenia; a Student i Nauczycielka Gorkiego przemawiają językiem ostatniej chwili, w którym już pojęcie Rosyi, jako ojczyzny, jest czemś beztreściwym, niezrozumiałem dla najmłodszego pokolenia. Istna geneza i ewolucyjne przygotowanie przewrotu, odbywającego się w naszych oczach. Studium p. t. „Społeczeństwo rosyjskie i bohaterowie w jego literaturze“ byłoby teraz na dobie; zanim jednak ktoś podejmie to wdzięczne i nauczające zadanie, interesującą była niewątpliwie sceniczna jego ilustracja, choćby w średniej, czasem nawet w bardzo słabej grze, zdekompletowanej trupy łódzkiej.

Nieudane próby zanotować zresztą trzeba nietylko w interpretacji; zdarzały się i w samym repertuarze: dość przypomnieć okaleczony przez cenzurę fragment „Wesela“ Wyspiańskiego; niefortunną przeróbkę „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza; chybiłą pod względem dramatycznym inscenizację „Chłopów“ Reymonta; wszystko to jednakże, nawet te niepomyślne eksperymenty, obok których godzi się zresztą wspomnieć przedstawienie komedii Korzeniowskiego „Wąsy i peruka;“ odegranie francuskich sztuk „Pojedynek“ Lavedana, „Instynkt“ Kistenmaekera, włoskiej komedii „Cierpki owoc“ Roberta Bracco, japońskiego dramatu „Terakoya“ Takeda Izumo — wszystko, powtarzam, bez względu na to, czy i w jakim stopniu się powiodło, dowodziło przynajmniej jednego: że Filharmonia usiłuje pociągnąć czemś publiczność.

I udawało jej się to często, a udawało się w dwojakim kierunku: materyalnie, co powinno było zmartwić administrację tu-

tejszych teatrów, gdy wręczona jej obowiązkowa szósta część dochodu z przedstawienia w Filharmonii przewyższała całkowity dochód wieczorowy z teatru Wielkiego; i moralnie, co znów musiało boleśnie dotknąć kierownictwo naszej sceny, kiedy sztuki rosyjskiej w Filharmonii słuchało więcej osób, aniżeli sztuki polskiej w teatrze dramatycznym. Nad tą przestrogą trzeba pomyśleć głębiej i zastanowić się poważniej. Możliwy ją zbywać łatwemi, taniemi oskarżeniami publiczności w takim tylko razie, gdyby konkurentowi dało się zarzucić płochą, bezwartościową literaturę; ale widzieliśmy, że tak nie było; widzieliśmy, że ta publiczność, której nieobecność w teatrach letnim i Wielkim próbowano motywować wyłącznie grozą stanu wojennego, śmieje się chętnie w Nowościach i nie cofa się przed rozmyślaniami w Filharmonii. Gdzieindziej zatem poszukać wypadnie przyczyny pustek w naszych teatrach; a gdzie?—o tem zbyt szeroko i zbyt często wypowiadaliśmy się na stronicach „Biblioteki,” żeby podejmować na nowo trud powtarzania zawsze tych samych wywodów, tych samych argumentów. Czas, ażeby je rozważyli nareszcie ci, którzy, jeżeli nie z innych, wyższych pobudek, to przynajmniej z własnego, dobrze zrozumianego interesu, powinni się zorientować, że chwila jest decydująca, że się wobec nich, z nimi razem waży losy sceny polskiej.

W. BOGUSŁAWSKI.

SOKOLNICKI i KRUKOWIECKI.

Epizod historyczny z lat 1813 — 1816.

(ZE ŹRÓDEŁ ARCHIWALNYCH).

2. *General brygady Krukowiecki, będąc 18 października 1813 r. pod rozkazami generała dywizyi Sokolnickiego, przebył bez rozkazu wały Loessnigu i ulokował się w pobliżu Probstheyda przy boku gwardyi Napoleona.*

Dowody:

a) Zeznanie, które składa osobiście generał Krukowiecki w odpowiedzi na pytanie 5 w śledztwie, i w której uprzedzając pytanie 6, mówi:

„Będąc pod rozkazami generała dywizyi Sokolnickiego, nie miałem sobie powierzonego żadnego posterunku.“

Tu opowiada, że manewrował korpusem, rozwijając eszelonami wojska w odległości 150 kroków od siebie.

Oto jego własne słowa:

„Przybywszy na wyżynę tamy, której nazwa jest mi nieznaną, zatrzymałem się stosownie do otrzymanego rozkazu za pośrednictwem jednego z adiutantów sztabu generała dywizyi i przez którego oświadczyłem generałowi, że według jego rozkazu brygada zatrzymała się, lecz że była w położeniu bardzo niekorzystnem, mając od frontu wzgórze widok zasłaniające, a które, w razie potrzeby, uczyniłyby atak utrudnionym, nakoniec, że w razie cofania się nagłego, miałbym poza sobą moczary przecięte tamą wążką i mało wyniesioną. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi na przed-

stawienia moje, sam ruszyłem naprzód, skąd mogłem obserwować szarżę wykonaną przez generała brygady Kwaśniewskiego etc.“

Tu następuje opowieść bitwy, którą ów generał miał wytrzymać przeciw przemożnym siłom nieprzyjacielskim i przeciw baterii nań skierowanej. Dalej tak się wyraża:

„Straciwszy w krótkim przeciągu czasu oficera i 40 żołnierzy i nie mając żadnego środka do odparcia nieprzyjaciela, byłem zmuszony opuścić to stanowisko *bez rozkazu*, przebyć tamę z moją brygadą gęsiego przez moczary, zająć posterunek na wywyższeniu i odeprzeć nieprzyjaciela, gdyby ten chciał na tę tamę się przedostać.“

b) Zeznanie pułkownika Jabłkowskiego w odpowiedzi na pytanie 6:

„Nie wiem, czyli generał Krukowiecki cofnął się poza tamę (*digue*), lecz widziałem wszystkie regimenty jazdy kolejno zaangażowane, z wyłączeniem brygady generała Krukowieckiego, którego spostrzegłem około godziny 2 po południu po raz pierwszy, ulokowanego obok gwardyi Napoleona.“

c) Zeznanie kapitana Valentina w odpowiedzi na pytanie 2:

„Szarża wykonana przez generała Sokolnickiego mocno była zdziwiona, że 18 brygada nie przybywa. Nic nie wiem o treści rozkazów danych w dniu owym, wiem tylko, że dowódca szwadronu Różycki był wysłany do 18 brygady.“

d) Zeznanie kapitana Lewickiego w odpowiedzi na pytanie 3:

„Nie widziałem 18 brygady podczas akeyi 18-go rano i spostrzegłem ją dopiero w chwili, gdyśmy wykonali odwrót po południu dla zajęcia posterunku.“

e) Zeznanie szefa szwadronu Różyckiego w odpowiedzi na pytania 12 i 13:

Odpowiedź na 12 pytanie:

„Wydałem głośno, imieniem generała dywizji Sokolnickiego, generałowi Krukowieckiemu rozkaz zajęcia posterunku na skrzydle prawem. Zastałem brygadę w pobliżu tamy, nieznannej mi nazwy, w pewnem oddaleniu od nieprzyjaciela, gdyż nie dotarła jeszcze do tamy i na kwadrans drogi od korpusu.“

Odpowiedź na pytanie 13:

„Nie spełnił rozkazu, tłumacząc się, że miał przed sobą wzgórze, a tamę poza sobą. Nie mógł więc ani natrzeć na nieprzyjaciela, ani też cofnąć się bez niebezpieczeństwa.“

3. *General brygady Krukowiecki opuścił w nocy 19-go a rano 20-go nad ranem bez rozkazu posterunck przy Schkeitbar i wyruszył na Lützen.*

Dowody:

a) Zeznanie generała Krukowieckiego w odpowiedzi na pytanie 9:

„Nie ruszyłem 19 października 1813 r. do Lützen, lecz otrzymawszy od generała Sokolnickiego dowództwo regimentu Krakusów, manewrowałem, stosownie do rozkazów tegoż generała, na lewym jego skrzydle i przybyłem do Knautnauendorf, stąd wyprawiłem dwóch dezertersów austriackich, pojmanyh przez Krakusów, o których generał dywizyi wzmiankuje. Otrzymawszy następnie rozkaz ruszenia do Schkeitbar, udałem się tam, stosownie do polecenia, i umieściłem brygadę obok 3 regimentu Houlanda. O 1-ej po północy kazałem wojskom stanąć do broni, według rozkazów generała Sokolnickiego i oczekiwałem jego przybycia na czele brygady. Widząc, że nie przybywa, udałem się do księcia Sułkowskiego, by uznać powody opóźnienia pochodu. Przybyłem 20 dopiero o 8 rano do Lützen, jak się to szczegółowo wyjaśnia w relacyi, podającej powody, które mnie do tego znagliły.

„20 października ruszyłem w pochód z innemi brygadami w porządku przepisanyh w wigilię dnia poprzedniego wieczorem i wskazanym mi w Schkeitbar przez gen. Sokolnickiego.

„Według tego rozkazu, pochód miał się rozpocząć o 1 nad ranem. Wojsko było na koniach. Uprzedziłem o tem generała Sokolnickiego, który spał jeszcze lub odpoczywał, jak sam twierdzi. Otrzymałszy od niego rozkaz drugi, by korpus wyruszył dopiero o 5-tej godzinie. Udałem się wówczas z pułkownikami: Siemiątkowskim, Kosseckim, Oborskim, Dwernickim i z majorem Rzuchowskim do generała dywizyi, księcia Sułkowskiego, prosząc go, by przedstawił generałowi Sokolnickiemu, iż zachowując dłużej posterunek wspomniany, narazimy się na spotkanie z nieprzyjacielem, które, z uwagi na wyczerpanie ludzi i koni i brak piechoty, będzie nie tylko niekorzystnym dla nas, lecz narazi naszą sławę, której przydałszy blask nowy pod murami Lipska, i pozbawi ją znaczenia, niezbędnego narodowi nawet w rozbitkach armii polskiej.

„Wysłałem jednocześnie oficera do odszukania generała dywizyi Dąbrowskiego w Markranstädt lub w Lützen. Przybył wreszcie generał Sokolnicki o godz. 3-ej i po długich debatach, wydał pewne zarządzenia i nakazał pochód.

„Podczas drogi otrzymałem od oficera, wysłanego do gen. Dąbrowskiego, wiadomość, że tenże generał ruszył do obozu Napoleona, który już opuścił Lützen, wskutek czego posłałem swego adjutanta Cichockiego, by uprzedził generała Sokolnickiego o tem, że się z dywizją swoją połączę. Jakoż ruszyłem na Lützen, wyprzedziwszy brygadę, by wiedzieć, gdzie ma się ulokować. Odstęp czasu między mojem przybyciem do Lützen, a przybyciem całego korpusu nie wynosił nawet kwadransa. Po upłynieniu tego czasu korpus przybył na tenże teren, gdzie umieścił swoją brygadę, szukając generała Dąbrowskiego.“

b) Zeznanie pułkownika Morawskiego w odpowiedzi na pytanie 5:

„Nie przypominam sobie wyrażenia się generała Sokolnickiego. Wszystko, cokolwiek pamiętam, odnosi się do tego, że generał był zdziwiony nieobecnością brygady gen. Krukowieckiego.“

c) Zeznanie kapitana Valentina w odpowiedzi na pytanie 13:

„Wiem tylko, że w chwili, gdy prowadziłem Austryaków do króla Neapolitańskiego, spotkałem nad ranem brygadę 18 maszerującą ku Lützen; zdaje mi się, że z tą brygadą byli i Krakusy.“

d) Zeznanie kapitana Lewińskiego w odpowiedzi na pytanie 12:

„Nic nie wiem o rozporządzeniach, wydanych w tej mierze. Przypominam sobie tylko, że przybywszy z generałem Sokolnickim na stanowisko, gdzie winna była być 18 brygada, nie zastałem tam ani owej brygady, ani Krakusów.“

e) Zeznanie kapitana Wężyka w odpowiedzi na pytanie 18:

„Generał Sokolnicki miał zamiar zaskoczenia batalionów. W tym celu opuścił swój obóz nadedniem, lecz nie zastał już ani brygady generała Krukowieckiego w miejscu, gdzie znajdować się miała, ani batalionów austriackich, lecz tylko rozniecone ognie biwakowe.“

Odpowiedź na pytanie 22:

„Przybywszy rychlej do Lützen, musiał rychlej tam pomaszerować; sądzę, że zrobił ów ruch bez otrzymanego rozkazu, na co się generał Sokolnicki użalał.“

Zeznanie pułkownika Dwernickiego w odpowiedzi na pytanie 13:

„Wsiadliśmy na koń 20 października po północy. Zaraportowano to generałowi Sokolnickiemu. Przysłał rozkaz, by wojska ruszyły w pochód o 5 rano. Generał Krukowiecki udał się z kilkoma pułkownikami i innymi wyższymi oficerami z przedstawieniem generałowi księciu Sułkowskiemu niebezpieczeństw, na które się naraża korpus, jeśli pozostanie dłużej na tem stanowisku. Wy-

słał równocześnie oficera na trakt główny Lützen, dla powzięcia wiadomości o tem, gdzie się generał Dąbrowski mógł znajdować. Z powrotem od generała Sułkowskiego generał Sokolnicki przybył między 3 a 4 rano i pomaszerował z korpusem. W tejże chwili przybył również oficer wysłany w celu dowiedzenia się o pobycie gen. Dąbrowskiego z wiadomością, że tenże generał znajduje się w głównej kwaterze Napoleona w Lützen, którą miał opuścić najajutrz. Otrzymaawszy ów raport, generał Krukowiecki uprzedził gen. Sokolnickiego, że się złączy ze swą dywizją, a myślny pomaszerowali do Lützen. Przybywszy do tej miejscowości o 7 rano, brygada ustawioną została w polu, a w pół godziny później cały korpus przyłączył się do nas i stanął obok nas.“

Komisya rozpoznawcza uważa, *jako niedostatecznie udowodnione* oskarżenia następujące:

1. *Że generał bryg. Krukowiecki usiłował namówić żołnierzy, by nie walczyli, starając się obudzić w nich wątpliwości, co do celu, dla którego dotąd krew przelewali.“*

Zdaje się, że to oskarżenie stwierdzają zeznania:

Pułkownika Morawskiego w odpowiedzi na pytanie pierwsze: „Szemrano w obozie, począwszy od Lipska, aż do chwili, gdy Napoleon do nas przemówił.

„Szemrania owe spowodowane były niepewnością co do dalszego postępowania, zbiegiem okoliczności i nierozważnemi mowami niektórych wojskowych wszystkich stopni, a ponieważ należy przywieść to, co najbardziej na to wpłynęło, oświadczam, że było niem zachowanie się generała Krukowieckiego, który się udał rankiem 20 października 1813 r. ze swą brygadą do Lützen.

„Podwładni, nie znając pobudek tego marszu, oceniali go rozmaicie, lecz co najbardziej niekorzystnie wpłynęło — to kłótnia między generałami Sokolnickim a Kwaśniewskim, z powodu, że miała miejsce wśród białego dnia, przed frontem wojsk.“

Zeznanie kapitana Wężyka w odpowiedzi na pytanie 25:

„Od 19 do 20 były szemrania między oficerami. Sądzone, że generał Krukowiecki miał w tem udział, lecz w tej mierze z nim nie rozmawiałem.“

Zeznanie pułkownika Oborskiego w odpowiedzi na pytanie 7:

„Słyszałem szemrania między wojskiem, wywołane częścią przez burzliwe zachowanie się generała Krukowieckiego.“

Odpowiedź tegoż na pytanie 8:

„Zdaje mi się, że postępowanie i szemranie generała Krukowieckiego do tego zmierzały celu.“

Zeznanie majora Starzeńskiego w odpowiedzi na pytanie 11:

„Większość wojskowych była zdania generała Krukowieckiego, by nie iść za Ren.“

Zeznanie kapitana Starzyńskiego w odpowiedzi na pytanie 11:

„Wiem, że generał Krukowiecki dał się słyszeć z tem, że nigdy nie był w legionach i że nigdyby w nich być nie chciał. Wielu wojskowych tegoż samego było zdania.“

Zeznanie pułkownika Kosseckiego w odpowiedzi na pytanie 15:

„Nie mam żadnej wiadomości o tem, by generał Krukowiecki wywołał szemranie między wojskiem, przeciwnie, oświadczam, że ów generał czynił wszystko możliwe dla podtrzymania ducha wojska. Jako dowód przytaczam, że regimenty 2 i 4 kawaleryi, tworzące 18 brygadę, były najsilniejszymi po przebyciu Renu.“

Zeznanie pułkownika Dwernickiego w odpowiedzi na pytanie 14:

„Wiem, że było szemranie w korpusie, spowodował je zgon księcia Poniatowskiego i postanowienie króla Saskiego, by pozostać w Lipsku. Generał Krukowiecki najsilniej działał na uspokojenie rozdwojonych umysłów.“

Zeznanie tegoż w odpowiedzi na pytanie 17:

„Tryb myślenia generała Krukowieckiego podczas odwrotu z Lipska aż nad Ren w położeniu bardzo krytycznem, w którem się znajdowaliśmy, sprawił dobre wrażenie na umysłach wojskowych, stanowiących 18 brygadę. Dowodem tego jest, że brygada ta nie rozpadła się i porządek w niej podczas pochodu na Ren.“

Odpowiedź tegoż pułkownika na pytanie 18:

„Odbywszy całą kampanię z r. 1813 pod rozkazami generała Krukowieckiego miałem sposobność stwierdzić, że dowodził z honorem i brawurą swymi podkomendnymi, że ich podtrzymywał własnym przykładem i zachętą do spełniania rozkazów starszyny wojskowej.“

*

*

*

Komisya śledcza uznaje nadto, że wszyscy inni świadkowie badani w tym przedmiocie, nic o tem nie donieśli i dla tego uważa, że zeznania przywiedzione w stwierdzeniu tak ważnego oskarżenia zupełnemi nie są, wobec czego oskarżenie przytoczone pod № 4 uważać należy za *niedostatecznie udowodnione*.

Komisya śledcza uznaje niemniej, jako niedostatecznie udowodnione oskarżenia:

Że generał Krukowiecki, zbliżywszy się do drzwiczek karety Napoleona, prosił go, by naczelne dowództwo po zgonie księcia Poniatowskiego powierzonom było księciu Sułkowskiemu.

Wszyscy świadkowie, głównie zaś generał dywizyi książę Sułkowski, pułkownicy: Morawski, Siemiątkowski, Oborski, major Starzeński, kapitanowie: Valentin, Wężyk i Starzyński, którzy zeznali, że generał Krukowiecki prosił Napoleona o powierzenie dowództwa naczelnego księciu Sułkowskiemu, nie byli obecni przy rozmowie Napoleona z gen. Krukowieckim i że ten ostatni nic im o tem nie wspominał, lecz że oparli swoje zeznania na opowieści od innych słyszanej.

Prawdą jest, że pułkownik Jabłkowski w odpowiedzi na pytanie 10 zeznał:

„Przybywszy do Lützen, zastałem tam brygadę gen. Krukowieckiego, która tam wcześniej pomaszerowała. Wkrótce potem, generał Krukowiecki, stanąwszy na froncie oddziału, zgromadził oficerów wyższych i rzekł do nich, że na jego przedstawienie Napoleon oddał dowództwo ks. Sułkowskiemu.“

Ponieważ generał Krukowiecki twierdzi, iż będąc pytany przez Napoleona, rozpoczął od wymienienia generałów Dąbrowskiego i Sokolnickiego i zaprzecza, aby uczynił w tej mierze jakieś przedstawienie, Komisya rozpoznawcza uznaje zeznanie pułkownika Jabłkowskiego, jako niedostateczne.

Obelgi wydrukowane w broszurze są wyszczególnione pod № 3.

Pierwsza, pod lit. *a*, która uważa generała Krukowieckiego za dezertera austriackiego, niczem nie jest popartą.

Generał Krukowiecki odpiera tę obelgę listem, który gotów przedstawić, pochodzącym od wielkiego szambelana cesarza austriackiego i wzywającym go na audyencyę u tego Monarchy, jak również kopią swego uwolnienia, którą ma wkrótce pozyskać od feldmarszałka Colloredo, do którego się w tej mierze zwracał.

Obelga lit. *b* wyrażona jest przez gen. Sokolnickiego w słowach:

„Należało się spodziewać kroków jeszcze gwałtowniejszych po człowieku, którego zły duch wyprowadzał zawsze ze szranek (*qu'un mauvais esprit a conduit de tout temps hors de sa sphere*)“

Generał Sokolnicki zobowiązuje się w piśmie, adresowanem do Komisji d. 31 maja, dowieść tego zarzutu, gdyby na to nastawał generał Krukowiecki.

Obelga lit. c, w której gen. Sokolnicki, mówiąc o krzyżu komandorskim, którym generał Krukowiecki ozdobionym został, pisze:

„Generał Krukowiecki intrygował w celu pozyskania krzyża komandora, otrzymawszy niedawno krzyż oficerski. Pozyskał go. Czyny wymienione powyżej świadczą o tem, jak nań zasłużył.“

Nie jest to uzasadnione z uwagi, że wiadomo Komisji, iż generał Krukowiecki otrzymał krzyż oficerski pod Smoleńskiem i że niewiadomo jej za co generał pozyskał krzyż komandorski.“

*

*

*

Odpowiednio do wyżej wyłuszczonego faktów, Komisja śledcza uznaje, że generał Krukowiecki winien być oddany pod Sąd wojenny.

1. Za samowolne opuszczenie dywizji generała Dąbrowskiego.

2. Za uchybienie karności w tem, że będąc pod rozkazami generała Sokolnickiego podczas dnia 18 października, przebył tamy Loessnigu, zamiast maszerować po prawem skrzydle korpusu, stosownie do otrzymanego rozkazu i podczas dnia 19 t. m., gdy opuścił bez rozkazu posterunek przy Schkeithar.

Komisja śledcza uważa nie mniej za swój obowiązek zwrócić uwagę Waszej Księżęcej Mości na okoliczności, towarzyszące pomienionym uchybieniom generała Krukowieckiego, stosownie do grawaminów wyłuszczonego pod lit. B i C i że Komisja nie uważa za dostatecznie udowodnione:

1. Że generał Krukowiecki pociągnął za sobą przykładem własnym i namową część brygady 18-ej.

2. Że ten generał, czyniąc ów ruch pozostawił generała dywizji z samą eskortą i Krakusami na froncie, gdyż 17 brygada tam się znajdowała.

3. Że niebezpieczeństwo było groźnem i że było koniecznością użyć brygady 18, gdyż szarża brygady 17 okazała się wystarczającą dla odparcia nieprzyjaciela i zabrania mu armat.

4. Nakoniec, że ruch uczyniony przez gen. Krukowieckiego przy opuszczeniu posterunku pod Schkeitbar, zniweczył plan pojmania w niewolę trzech batalionów austryackich. (Zeznanie kapitana Węzyka w odpowiedzi na pytanie 18.)

Zdaje się z uwagi na zeznanie majora Celińskiego, że owe bataliony nie znajdowały się z tej strony rzeczki.

Co zaś dotyczy generała Sokolnickiego, Komisya rozpoznawcza uznaje również, iż winien być on oddany pod Sąd wojenny za to:

1. Że nie ukarał na miejscu opornego oficera i nie oddał go pod sąd wojenny przy pierwszej sposobności.

2. Że użył wyrażen obelżywych i uwłaczających honorowi oficera, mówiąc o uchybieniach spełnionych przez generała Krukowieckiego.

Komisya śledcza uważa wreszcie za swój obowiązek zwrócić uwagę Waszej Książ. Mości na samą broszurę, a raczej na jej wydanie.

Broszura ta nosi tytuł: *Dziennika historycznego* czynności wojskowych, a zawierając w sobie materyał gotowy dla historii epoki, przekaże przyszłym pokoleniom i uchybienia wojskowe lub też przykład niekarnośći jednego z oficerów, któraby w każdej innej okoliczności przeminęła bez śladu.

Wprawdzie gen. bryg. w usprawiedliwieniu swoim z d. 15 kwietnia, zaadresowanem do Komisyi, przytacza, że wydawnictwo owej broszury było mu nieznanem i że nikogo doń nie upoważniał. Powołuje się w tej mierze na zeznanie urzędowe drukarza, złożone w Paryżu na żądanie pułkownika Alphonsa.

Gen. Sokolnicki zeznaje, że zredagował ów Dziennik na rozkaz gen. Dąbrowskiego, że Dziennik ów mógł być tylko napisany w języku francuskim z uwagi, że to było zalecone przez rząd francuski, że kopię Dziennika wręczył ministrowi wojny francuskiemu, drugą zaś—Napoleonowi, na skutek rozkazu tegoż ustnie wydanego, trzeci zaś egzemplarz wręczył pewnej osobie prywatnej, w celu „by mógł się w danym razie usprawiedliwić przed marszałkami i generałami francuskimi, z którymi byłem w stosunkach zażyłszych, podczas przebywania przy Napoleonie, którzy, widząc mnie wyróżnionym przez swego Monarchę bardzo byli zdziwieni wypadkiem tak niezwykłym, iż naczelne dowództwo nad armią polską odjętem zostało temu, pod którym zjednało sobie nieśmiertelną sławę. Czyż taka okoliczność nie jest odbiciem ukrytej zbrodni? podczas gdy byłem tylko ofiarą śmiałka, co wyzbyć się usiłował z pęt karnośći“ etc.

Gdy jednak deklaracya drukarza paryskiego świadczy jedynie o tem, że pułkownik Alfons nie miał żadnego udziału w wydawnictwie rękopisu i że nic o generale Sokolnickim nie wzmiankuje, powołanie się owego generała na zeznanie drukarza jest najzupełniej bezzasadnem.

Jeżeli więc generał Krukowiecki zdoła udowodnić, że generał Sokolnicki kazał bądź sam wydrukować ów dziennik lub też, że porучzył komu innemu to zadanie, lub wreszcie, że wiedział o publikacyi—w takim wypadku generał dywizyi Sokolnicki musi ponieść za to odpowiedzialność.

W taki sposób, spełniwszy rozkaz Waszej Ks. Mości, Komisya śledcza będzie szczęśliwą, jeśli zdołała wyjaśnić prawdę faktów, tak jak tego pragnęła i że tym sposobem zadanie swoje, do którego była powołaną, spełniła.

Dan w Warszawie na posiedzeniu Komisji rozpoznawczej, 7 sierpnia 1815 r.

(Podp.) Kurnatowski, gen. brygady, Hauke, gen. dywizyi, Krasieński Izidor, gen. dywizyi, Zajączek, gen. dywizyi, prezydujący.

Audytor generalny Krysiński.

Do wyroku dołączył generał Julian Sierawski swoje *votum separatum* tej osnowy:

„Jestem zdania Komisji, której miałem zaszczyt być członkiem, iż sprawa gen. Krukowieckiego, winna być oddana pod rozpoznanie Sądu wojennego, z uwagi, że każdy wojskowy musi podlegać karom przez prawo ustanowionym, nawet za cień nieposłuszeństwa.

„Z tem wszystkiem zauważywszy, że wiele z zarzutów, uczynionych generałowi Krukowieckiemu, nie zostało dostatecznie udowodnionych i że wyrażenia obelżywe użyte przez gen. Sokolnickiego przeciw całej armii polskiej nie zostały należycie przez Komisję uwzględnione, nie dzielę opinii tejże Komisji w tym punkcie, tem więc, że obelgi pomienione były wynikiem złośliwości i niesprawiedliwości, aktem zemsty i nienawiści przeciw jednemu człowiekowi skierowane, z powodu nieotrzymania naczelnego dowództwa.“

V.

Protest Krukowieckiego przeciw procedurze Komisji śledczej. — Prośba jego do Cesarza. — Opinia W. Księcia Konstantego.

Wiadomość o uchwalonej przez Komisję śledczą opinii w sprawie zwołania Sądu wojennego, przyjął generał Krukowiecki, pozornie z zadowoleniem, lecz pragnąc zabezpieczyć swe prawa w obec możliwości zastosowania do owego sądu przepisów nowo wprowadzonej do armii procedury, uznał za konieczne zwrócić się raz jeszcze do W. Księcia Konstantego z prośbą o wyłączenie w tej sprawie przepisów procedury dawnej wojennej, jako, zdanem jego, bardziej pilnującej praw podsądnego.

Prośba ta zrehabilitowana w dniu 2 września 1815 r. opartą była na następujących motywach:

1. Że fakta, będące podstawą oskarżenia, wydarzyły się za procedury dawnej.

2. Że broszura generała Sokolnickiego wydrukowaną została w czasie, gdy obowiązywały poprzednie prawa wojskowe.

3. Że pierwsza skarga gen. Krukowieckiego, cesarzowi Aleksandrowi podana, również zaszła pod rządem dawnej procedury. Wreszcie:

4. Że żadne prawo nowo ogłoszone mocy wstecznej mieć nie może.

Poparł generał Krukowiecki swoją prośbę innemi jeszcze pobudkami, mianowicie:

a) Że według zasad procedury dawnej Sąd wojenny jest publicznym i że się odbywa pod kontrolą publiczności.

b) Że przy takim Sądzie funkcyonuje komisarz cesarski pilnujący, by żadna samowola do rozpraw sądowych stosowaną nie była.

c) Że według procedury dawnej sąd odbywa się szybciej i rychlej się kończy.

„Sądu wojennego—objaśnił proszący—nie domagał się Rząd, lecz sam pokrzywdzony, ma przeto prawo żądać, by Sąd ów odbył się w warunkach przez prawo dawniejsze określonych.

„Zwracam się przeto z niniejszą prośbą do Waszej Cesarzewiczowskiej Mości—tak zakończył proszący—w tem przekonaniu, że uczucie wrodzone sprawiedliwości nakaze mu zapomnieć o następstwach porywczosci mojej, już okupionej pięciomiesięcznem więzieniem.“

W odpowiedzi na tą prośbę W. Książę Konstanty, tegoż dnia 2 września zawiadomił gen. Krukowieckiego o zwołaniu Sądu wojennego w sprawie zarzutów, podniesionych przeciw niemu w broszurze gen. Sokolnickiego, przyczem zakończył swoją odpowiedź nieoczekiwanem oświadczeniem, „iż z chwilą, gdyś się, Panie generale, poważył ubliżyć mi (apostrofa do zajścia w Łazienkach), nie mógłbym już być ani sędzią, ani arbitrem w sprawie Twojej, dla tego zaleciłem generałowi dywizyi, Sierakowskiemu, by rezultaty obrad Sądu wojennego przedstawił bezpośrednio pod uznanie Jego Cesarskiej Mości.“

Jakkolwiek jednocześnie W. Książę Konstanty polecił wypuścić z więzienia generała Krukowieckiego, gdy jednak tenże dowiedział się od szefa sztabu generalnego, Tolińskiego, że W. Książę nie zaniechał żalu do niego z powodu zajścia w Łazienkach, generał Krukowiecki w prośbie z dnia 3 września 1815 r. starał się o przejednanie naczelnego wodza, używszy do tego, jako protektorów generałów: Ożarowskiego i ks. Sułkowskiego.

„Błagam Waszą Ks. Mość o tą łaskę z wynurzeniem najgłębszych uczuć inego poważania i skruchy, gdyż nie podobna mi oswoić się z myślą zasługiwaną nadal na niełaskę Wodza, któremu radbym okazać w każdej chwili gotowość do poświęcenia się Jego usługom.“

Podanie to pozostało bez uwzględnienia. Natomiast generałowie: Zajączek, Dąbrowski i Wielhorski w raporcie z d. 5 września 1815 r., otrzymawszy od W. Księcia tekst podania gen. Krukowieckiego z wyłuszczeniem powodów, dla których tenże domagał się zastosowania do Sądu wojennego przepisów procedury dawnej, szczegółowo za i przeciw powody te rozegrali i przyszli do przekonania, że sprawa Krukowieckiego, jakkolwiek podlega osądzeniu według przepisów dawniejszych, lecz Sąd sam winien być złożony według form ustanowionych w dniu 31 marca 1815 r. przez Komisję wojskową.

Opinię taką zatwierdził W. Książę, o czem w dniu 6 września 1815 r. baron Mohrenheim zawiadomił generała Krukowieckiego.

Nie zadowolili się taką decyzją generał Krukowiecki i w dniu 7 września wystosował do W. Księcia jeszcze jedno podanie, w którym upraszał o przedstawienie swego zażalenia cesarzowi, motywując między innymi konieczność zastosowania do sprawy zasad dawnej procedury i dawnego sądu następującymi konsyderacyami: Ze w sprawach, w których wojskowy stopnia niższego wnosi skargę na swego zwierzchnika, wszyscy zwierzchnicy stanowią

jego przeciwników naturalnych i dlatego nie mogą być uważani za sędziów bezstronnych.

Że trzej generałowie dywizyjni, będąc za czasów legionów polskich towarzyszami i zażyłymi przyjaciółmi generała Sokolnickiego, mogą być stronniymi w sprawie, w której skarżący obwinionym jest o to, iż nie chciał być legionistą i nie chciał iść za Ren.

Że niechęć trzech generałów przeciw podsądnemu jest oczywistą.

Że generał Zajączek był już prezydującym w Komisji rozpoznawczej, generał Dąbrowski stawał jako świadek przez generała Sokolnickiego powołany, z Wielhorskim zaś miał podsądny zatargi za rządów poprzednich.

Że przytaczane przez generałów motywa o korzystniejszych jakoby warunkach procedury nowej dla podsądnego, są nie do przyjęcia, ze względu, iż ów podsądny nie pragnie żadnych faworów, lecz wymiaru sprawiedliwości bezwzględnej, którą Monarcha rozkazał na prośbę podsądnego w sprawie tej zastosować.

Niezależnie od powyższego podania generał Krukowiecki w d. 17 września 1815 r. wręczył baronowi Meller-Zakomelskiemu, zamianowanemu czasowym wodzem naczelnym armii polskiej przez Ks. Konstantego i w tym charakterze mającym nadzór nad czynnością Sądu wojennego, memoryał z żądaniem wyłączenia z grona kompletu sądującego generałów: Sierakowskiego i Wielhorskiego, pierwszego za groźby wyrzeczone z powodu zajścia w Łazienkach, drugiego z powodu zatargów, jakie miał z podsądnym za Rządu poprzedniego. Te powody, oraz niezachowanie formalności dostarczenia podsądnemu kopij wszelkich dokumentów piśmiennych Komisji rozpoznawczej przedłożonych, zmuszają podsądnego do żądania, by Sąd na dzień 18 września 1815 r. wyznaczony, odroczeniu uległ, do czasu pozyskania decyzji monarszej, o którą podsądny w podaniu swem uprasza.

Żądanie takie w dniu 19 września 1815 roku zakomunikował generał Meller-Zakomelski W. Księciu Konstantemu z nadmienieniem, że z powodu nie stawienia się w dniu ubiegłym do Sądu generała Krukowieckiego, Sąd ten posiedzenia swe czasowo odroczył. Wyjaśnił również generał Meller-Zakomelski, że wyłączenie generałów Sierakowskiego i Wielhorskiego ze strony podsądnego jest oparte na przepisie prawa, gdyby zaś zastąpienie wyłączonych członków Sądu przez innych, jak np.: przez generała ks. Giedroycia, Chłopickiego i Krasińskiego, uległo również zarzutom ze strony podsądnego, w takim razie należałoby skompletować Sąd przez

generałów rosyjskich, a to z uwagi, że służąc jednemu monarsze, choćby w armiach oddzielnych, mogliby ci ostatni być poczytywani za służących jednej armii (*que servant le même Souverain les deux armées, quoique ayant chacune un état distinct, peuvent être regardées comme m'en servant qu'une*).

Poparł owo przedstawienie generał Krukowiecki usilną prośbą o przedłożenie całej sprawy w obecnej jej fazie cesarzowi i o puszczenie w niepamięć niechęci, wywołanej zajściem w Łazienkach, już dostatecznie odcierpianą karą odpokutowanem.

Oto prośba generała Krukowieckiego Tronowi złożona:

„Najjaśniejszy Panie!

„Ofiara kilku nieprzyjaciół, którzy, korzystając ze swoich rang i urzędów, mają łatwy dostęp do Jego Cesarz. Mości W. Ks. Konstantego, a nadto, korzystając z niechęci Jego, którą chwilo-wa moja porywczosć na mnie ściagnęła, starają się zgubić mnie nastawianiem, by wyrok w sprawie mojej zapadł według form nowych, odwołuję się Najjaśniejszy Panie do Twej sprawiedliwości, w przeświadczeniu, że powstrzymać raczysz wybuchy namiętności moich nieprzyjaciół i żądzy ich zemsty z chwilą, gdy o istotnym stanie rzeczy będziesz objaśniony.

„Pozwól Najjaśniejszy Panie, bym u stóp Tronu Twego złożył wyjaśnienie treściwej mojej sprawy, od jej początku aż do dnia dzisiejszego, wraz z pobudkami, zniewalającemi mnie do żądania dawnej procedury.“

Tutaj wyłuszcza gen. Krukowiecki znany nam już stan sprawy, aż do chwili, gdy pod zagrożeniem Sądu wojennego za nieposłuszeństwo proszący zmuszonym był poddać się śledztwu Komisji rozpoznawczej, przeciw której zwraca się z oskarżeniem o stronność w postępowaniu.

„Pozwoliła Komisya—pisał Krukowiecki—mieć oskarżycielowi adwokata w czasie śledztwa, wbrew prawu, które tylko pod-sądnemu obrońcę mieć pozwala.

„Nakazała mi oczyścić się z zarzutów, zadając mi szereg py-tań, podczas gdy prawo mieć chce, by oskarżyciel jedynie dowo-dził swoich zarzutów.

„Komunikowała wszystkie swoje głosy oskarżycielowi, a obroń-ca tegoż, obecny przy zeznaniach świadków, wyciągając korzyści z moich zeznań, zadawał im podchwytliwe pytania, podczas gdy noty i objaśnienia generała Sokolnickiego mnie komunikowanemi nie były, a wiadomość o nich dochodziła moich obrońców jedynie ubocznie.

„Prezydujący zadawał świadkom pytania jawnie zmierzające do uznania mnie za winnego.

„Nie uwzględnił wyłączenia generała Izzydora Krasińskiego przezemnie żadanego, pomimo że ów generał, zastąpiony przez generała Kamienieckiego, mając ze mną poufną o sprawie rozmowę, wrócił wbrew prawu do Komisji w zamiarze szkodenia pod sądnemu.

„Gdy po czterech miesiącach Komisja zakończyła wreszcie swoje prace okazało się najdowodniej, że miałem powód obawiać się następstw zastosowania do mojej sprawy procedury nowej, albowiem:

1. Komisja ta zamiast zaproponowania oskarżycielowi, by zarzuty swoje jeden po drugim udowodnił, ponieszała je w taki sposób, że wyjaśnienie ich mogłoby się dla mnie okazać zgubnem.

2. Nie uwzględniła nadto Komisja wszystkich obelg, skierowanych przez gen. Sokolnickiego przeciw mnie w obelgach do armii polskiej zwróconych.

3. Wbrew protestowi jednego ze swych członków, usunęła z pod uwagi Jego Cesarzewiczowskiej Mości zeznania świadków na moją korzyść złożone.

W tem miejscu generał Krukowiecki obszernie uzasadnia różnice między dawną a nową procedurą wojskową i powtarza wielokrotnie już przedtem wyłuszczoną prośbę o nakazanie Sądowi, by uszanował prawa podsądnego przez powołanie do Warszawy wszystkich świadków i oczne między nimi stawiennictwo, co wymiar sprawiedliwości przyspieszy i oprze na podstawie niewzruszonej wyjaśnienia istotnej prawdy.

„Składając honor swój—kończy gen. Krukowiecki—u podnóża Tronu Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości mam nadzieję, że go zachowam nietykalnym, by móżdż jeszcze krew przelać za najlepszego i najwspaniałomyślniejszego z Monarchów.“

Dopiero w dniu 9 listopada 1815 roku przedstawił W. Książę Konstanty uwagi nad zarzutami gen. Krukowieckiego w memoryale obszernym cesarzowi przesłanym, w którym po wyłuszczeniu źródła sprawy, zapoczątkowanego skargą Krukowieckiego przeciw generałowi Sokolnickiemu w Wiedniu cesarzowi podaną, Wielki Książę był zdania, że o ile generał Krukowiecki jako oskarżyciel dowiódłby gen. Sokolnickiemu dopuszczenia się w broszurze *Journal historique* potwarzy, w tym wypadku oskarżony musiałby ponieść karę prawem ustanowioną; wzajemnie zaś, gdyby gen. Sokolnicki dowiódł słuszności swoich zarzutów, generał Krukowiecki

musiałby być ukarany za wprowadzenie w błąd cesarza fałszywym przedstawieniem stanu rzeczy.

„Taką jest—pisał W. Książę—zdaniem mojem sytuacja w danej sprawie pod orzeczenie Sądu poddanej. Lecz zanim Trybunał zastosuje prawo do występku, należy rozstrzygnąć o ile ów występki należycie jest uzasadniony, a w tej mierze niedostateczna jest oprzeć się wyłącznie na reklamacy oskarżyciela, gdyż przed orzeczeniem winy podsądnego słuszność i sprawiedliwość nakazują przedewszystkiem określić stopień winy i okoliczności zwiększające lub zmniejszające tę winę.

„Ta myśl przewodnia kierowała uchwałą Wielkiego Księcia i komitetu wojskowego w ustanowieniu Komisji rozpoznawczej, w celu określenia przedewszystkiem *potwudek*, które wywołały zarzuty generała Sokolnickiego, wyłuszczone w broszurze.“

Następuje opis biegu czynności Komisji rozpoznawczej i protestów generała Krukowieckiego przeciw niektórym sędziom i punktów inkryminowanych, wyszczególnionych w znanym już nam raporcie Komisji, poczem Wielki Książę pisze:

„Proces wszczęty przez generała Krukowieckiego redukuje się w ten sposób do *skargi o potwarz*. Prace Komisji rozpoznawczej wyjaśniły pobudki, któremi się generał Sokolnicki w wydaniu broszury kierował. Rozbiór zasad skargi *o potwarz* i zastosowanie praw odnośnych do wypadku udowodnienia owej skargi, należeć mogą jedynie do Trybunałów zwykłych.

„Jeżeli zamiarem Cesarza i Króla jest oddanie orzeczeniu Sądu wojennego przestępstwa generała Krukowieckiego, jakkolwiek owo przestępstwo spełnionem zostało w czasie, gdy nie mógł ubliżyć on powadze praw Jego Cesarsko-Królewskiej Mości i gdy generał Krukowiecki należał z racji swoich obowiązków służbowych do Monarchii obcego, wroga Monarchii (naszej), nie może być wątpliwem, że musi uleść karze surowej, bez względu na to, czy Sąd, przed który będzie powołany, ustanowionym zostanie według zasad dawnej lub nowej procedury wojskowej, już z racji tej, że Sąd wojenny z natury rzeczy musi stosować prawo do występku.

„Wyroki jego nie są nigdy motywowane, gdyż po przeprowadzeniu śledztwa, skazanie zawisłem jest jedynie od wewnętrznego przeświadczenia i sumienia sędziów.“

Po wyliczeniu obiekcyj generała Krukowieckiego przeciw procedurze Komisji rozpoznawczej, pisze dalej Wielki Książę:

„W trakcie instrukcji sprawy w Warszawie, lub przedtem, zwrócił się generał Krukowiecki do Sądu I instancyi w Paryżu

ze skargą przeciw generałowi Sokolnickiemu o potwarz, lecz ten ostatni, mimo swego niestawienia i nie przedstawienia dowodów, *uwolniony został od odpowiedzialności, natomiast generał Krukowiecki skazany został na koszt procesu.*

„Wyrok ten, jakkolwiek szczegółowo nie wymotywowany, jest w zgodności z rezultatem dochodzeń Komisji rozpoznawczej.

„Naprawdę przeto zasłania się generał Krukowiecki formalnościami procedury francuskiej, gdyż o ile, jak to wykazano wyżej, wołą Najjaśniejszego Pana było zastosowanie prawa do występku, nie można żadną miarą racjonalnie przypuścić, by jakkolwiek bądź procedura mogła uwolnić wojskowego, przekonanego o niekarność i nieposłuszeństwo w chwili wojny z nieprzyjacielem.

„Kodeks francuski, opierając się na prawie z 21 Brumaira roku V stanowi w takim wypadku *karę śmierci.*

„Dopuszczając nawet dziś, że dowody nagromadzone przeciw gen. Krukowieckiemu, mniej są przekonywające, aniżeli są niemi w rzeczywistości, dostatecznym byłoby przypomnieć sobie postępek jego w Łazienkach, gdy ubliżając generałowi Sokolnickiemu, ubliżył wszystkim generałom obecnym wyższym, marszałkowi Barclay de Tolly i nakoniec Wielkiemu Księciu.

„Z drugiej strony, jeżeli generał Sokolnicki oczyścił się z zarzutu potwarzy, zasługuje niemniej na naganę za ubliżenie przyzwoitości formą, jaką nadał swoim oskarżeniom, którą gniew i niepodobieństwo zwołania Sądu wojennego wobec rozprężenia się korpusu polskiego, mogły mu być podyktować.

Opinia Wielkiego Księcia:

„Po dokładnem ocenieniu okoliczności, wyłuszczonych w zdaniu sprawy z procesu, wytoczonego przez generała Krukowieckiego generałowi Sokolnickiemu, mając na uwadze:

Skargę bezzasadną podaną Jego Cesarsko-Królewskiej Mości przez generała Krukowieckiego, przestępstwo niesubordynacji i nieposłuszeństwa, udowodnione mu w zeznaniach świadków złożonych przed Komisją rozpoznawczą, naganny jego postępek w czasie obiadu w Łazienkach.

Mając z drugiej strony na uwadze: formę nieprzyzwoitą nadaną przez generała Sokolnickiego słusznym zarzutom, uczynionym generałowi Krukowieckiemu, ośmielam się zaproponować Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości, aby generał Krukowiecki wydany został ze służby, jako niezdolny do pełnienia obowiązków z tą służbą skojarzonych, z zasad powyżej przytoczonych.

Aby nadto generał Sokolnicki surową otrzymał naganaę za ubliżenie broszurą swoją obowiązkom towarzyskim i służbowym.

Wynurzając tę opinię u stóp Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości, pozwalam sobie odwołać się do łaskawości Twojej względem generała Sokolnickiego, który posiwiał zaszczytnie w karyerze wojskowej czynami niezrównanego męstwa i talentów, mogących być jeszcze korzystnie zużytkowanemi w usługach Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości.

Konstanty.

VI.

Głos generała Sokolnickiego. — Suplika jego do cesarza Aleksandra.

Jak dotąd słyszeliśmy jedynie głos generała Krukowieckiego, głos z natury rzeczy stronny, bo podnoszony w sprawie osobistej, z namiętnością i temperamentowi podsądnego, i pobudkom zemsty nad przeciwnikiem właściwą. Ważną zatem jest obrona i wzajemna skarga ze strony generała Sokolnickiego podniesiona w chwili, gdy już wszystkie formalności proceduralne były na ukończeniu i pozostawało na ich podstawie ferować wyrok nieodwoalny w obliczu historyi przeciw człowiekowi i wojownikowi, który, zdaniem autora broszury inkryminowanej, naruszył obowiązki żołnierza i Polaka, w najkrytyczniejszym momencie walki narodów pod Lipskiem.

Głos ten odezwał się w dniu 9 listopada 1815 r., w chwili uroczystego wjazdu cesarza Aleksandra I do Warszawy, odbytego po raz pierwszy od wskrzeszenia Królestwa i nadania mu konstytucyi.

Pamiętniki z owych czasów malują nam tę chwilę barwami entuzjazmu narodowego. Wszędzie wznoszono bramy tryumfalne na przyjęcie wysokiego Gościa, lecz Aleksander nie życzył sobie grać roli tryumfatora-zwycięzcy i bramy te pomiął. Widniały na owych bramach napisy zapożyczone z Virgilego i Horacyusza: *Expectate veni, Sacra suosque tibi commendant Troja*, lub też:

*Hic ames dici
Pater atque princeps,*

lecz nie zwracał na nie uwagi Król, pragnąc jedynie przedstawić się w roli konstytucyjnego monarchy, oddanego szczerze losom

narodu, dźwigniętego z upadku i powołanego do życia udzielnego w granicach uświęconych traktatem wiedeńskim.

Wśród festynów, wyprawionych na cześć Gościa przez arystokratyczne rody Zamoyskich, Potockich, Lubomirskich i Mostowskich, Aleksander I, zwracając się do otaczającego go grona dam, wygłaszał słowa pełne łaskawości i nadziei:

— Kocham i szanuję Wasz naród. Gdy się między Wami znajduję, czuję się w moim żywiole. Co zamierzyłem, dokonam. Ufności tylko i cierpliwości, a *będziecie mieli Polskę całą*, z całą waszą narodowością, jakiej sobie życzyście. Chociaż jestem potężny, nie wszystko mogę, mam trudności do pokonania; lecz przy Boskiej i waszej pomocy, spełnię wasze i moje nadzieje!“ (Kozmian, III, 71)

Z takiej to chwili powszechnego uniesienia i zgaśnięcia gwiazdy Napoleona przed wzrokiem byłych wodzów i żołnierzy wielkiej armii, skorzystał generał Sokolnicki, by przypomnieć naczelnemu wodzowi Konstantenu zasługi swoje bojowe w kampaniach odbytych przed kilkoma laty przedtem pod chorągwią księcia Józefa, a zakończonych przy jego czynnym udziale pogromem armii austriackiej i zdobyciem połowy niemal Księstwa Warszawskiego i przypomnieniem owych czynów niezrównanego męstwa przeciwstawić swoje stanowisko dwuznacznej roli generała Krukowieckiego, rozegranej podczas napoleońskich bojów pod Lipskiem.

„Mości Książę! — pisał Sokolnicki do Konstantego. — Wjazd uroczysty Jego Cesarsko-Królewskiej Mości do Stolicy Jego Królestwa jest wypadkiem zbyt wielkiej wagi, by nie obudzić w sercach jego nowych poddanych uczuć niezrównanego zapału. Każdy uważa za swój obowiązek spłacić Mu dań miłości, wdzięczności i wierności. Ileż świętszem winno być to uczucie dla tego, którego Monarcha przeznaczył dla spełnienia zadań szczególnych. Lecz jakże mogę liczyć na zjednanie sobie Jego łaskawości, jeśli nie mam przekonania wewnętrznego, że zdołałem zatrzeć w Jego ojcowskiem sercu wrażenia nieprzychylne, które upór i okrutna złośliwość starały się w Nim przeciwko mnie zaszczerpić?

„Nie, niepodobna mi się o tem przekonać, dopóki słowo prawdy z ust Jego Dostojnego Brata niebędzie w tej mierze wypowiedzianem. Wasza Cesarzewiczowska Mość dała nam dostateczną świadomość o prawości Jej uczuć szlachetnych, by nie wątpić, że udzieli swej opieki żołnierzowi, który posiwiaty w bojach, nigdy obowiązkom swoim nie ubliżył, nigdy nie zdradził swoich zasad i który może się pochłubić tem, że zdobył własnym rozmachem połowę niemal niniejszego Królestwa Polskiego.

„Czyż więc może ścierpieć, by go bezkarnie pociągał przed Trybunały zagraniczne, obrażał w gazetach i wyzywał w miejscach publicznych człowiek, który się zbezczeszczył w obliczu całej armii, który ukuł broń ze swej pychy i samochwalstwa, a którego cała karyera wojskowa zaznaczyła się czynami niekarność i zuchwastwa, zarówno godnemi pogardy, jak i zasłużonej kary.

„Na tej to podstawie, Mości Książę, pozwalam sobie przedstawić łaskawej uwadze Waszej skargę, którą racz złożyć w mojem imieniu Najjaśniejszemu Panu, mojemu Monarsze.

„Nie trudząc Waszej Książęcej Mości zbytecznem powtarzaniem znanych Mu już okoliczności sprawy, mam zaszczyt prosić o pozwolenie dodania do nich niektórych jeszcze uwag, wynikających z istoty rzeczy, wywołanych nagłością, a zasługujących, zdaniem mojem, na to, by o nich miał Najjaśniejszy Monarcha należytą wiadomość:

1. Jakkolwiek nie leżałoby to w zamiarze Najjaśniejszego Pana zastosować skutek wsteczny do przestępstw służbowych uprzednich, chociaż generał Krukowiecki sam się poddał karalności za nie, niemniej jednak skandal wywołany przezeń wytoczeniem, bez mej wiedzy, przeciwko mnie procesu w Sądzie poprawczym paryskim lub też we Wiedniu przez wprowadzenie w błąd Najjaśniejszego Pana, bądź wreszcie w Warszawie prowokowaniem mnie podczas festynu publicznego z pogwałceniem uszanowania winnego krwi Cesarskiej, szarpaniem mojej czci po gazetach i wyłączeniem pod błahemi pozorami najszanowniejszych sędziów — czyż, powtarzam, nie należy mi spodziewać się, że te ostatnie fakta będą przedmiotem najczujniejszej rozwagi?

2. Zwrot, jaki nastąpił w sprawie generała Krukowieckiego, nabrał tak gromkiego rozgłosu, że zwraca na siebie uwagę powszechną. Mniej tutaj chodzi o los jednostki, aniżeli o poszanowanie należne prawom wojskowym. Jestże to prawda, czy kłamstwo? Jestże to lojalność, czy intryga? Jestże to niewzruszoność zasad, czy też ich zanik zupełny? Jestże to skromność czy też zarozumiałość? Sąż to wreszcie usługi istotne, czy też uroszczenia zuchwałe, które odniosą tryumf? Oto pytanie, które zadaje sobie każdy członek armii i Narodu. Pytanie to właśnie nastrocza się nieodzownie i domaga odpowiedzi.

Ośmieliłem się napomknąć o *zdobyciu*. Jestto prawda faktyczna, a intryga zmusza mnie do jego przypomnienia wbrew mojemu nawyknienu.

Odwoluję się w tej mierze do wszystkich moich kolegów, którzy przyjmowali udział w kampanii galicyjskiej 1809 roku.

Niech powiedzą, czy bez mężnego oporu przednich placówek Raszyna, bez zwycięstwa wywalzonego pod Grochowem, bez wzięcia na bagnety przyczółka mostu pod Górą, bez zdobycia i obrony zaciętej Sandomierza — zmusilibyśmy Austryaków do opuszczenia Księstwa Warszawskiego, przez nich zajętego? Czy zdobylibyśmy Galicyę i ocalili armię bez rozmachu tego przedsięwzięcia, któremu jedynie moja energia i moja odwaga osobista zapewniły powodzenie?

Nie przenikając losów przyszłych, bardzo to jest prawdopodobnem, że utraciwszy armię Księstwa Warszawskiego, pomimo zwycięstwa pod Wagram, nie byłoby być może mowy o Polsce.

Jakoż, z przekonaniem powiedzieć to mogę, że publiczność jest zainteresowana w rozwiązaniu tej sprawy i podczas gdy intryganci obiecują sobie wkrótce widzieć we mnie nowego Belizaryusza, ja spokojny i ufający w sprawiedliwość Monarchy, w Jego dobroć i w dobroć mojej sprawy, mam nadzieję, że prawda odniesie zwycięstwo.

Cesarz Aleksander i Jego państwo są w apogeum swojej chwały i potęgi, podczas gdy Justynian był na schyłku lat swoich, a państwo jego ku ruinie się chyliło.

3. Jedyne wyrażenie, co prawda, co do którego Komisya rozpoznawcza nie znalazła dowodów dostatecznych i na którym intryga opiera swą baterię najgłośniejszą, jestto wyrażenie o *dezercyi*. Lecz już miałem zaszczyt oświadczyć Waszej Ks. Mości, że (nie korzystając bynajmniej z orzeczenia Trybunału paryskiego, który to oskarżenie nie uznał za potwarcze), sposób w jakim tego wyrażenia użyłem, dowodzi jasno, iż niemiałem bynajmniej zamiaru zarzucenia tego przestępstwa generałowi Krukowieckiemu, lecz przypomniałem jedynie termin, którym on sam się bronił dla usprawiedliwienia swej niezaradności wobec Austryaków. Otóż ta ostatnia udowodnioną została w zupełności, a generał Krukowiecki, pomimo swych przyrzeczeń i zabiegów, nie dostarczył dotychczas dowodu, że opuścił służbę austryacką, jako człowiek honoru.

Oto są uwagi, które śmiem przedłożyć łaskawej rozwadze Waszej Ks. Mości, w przekonaniu, że raczy ocenić ich istotną wartość, a byłbym się uważał za najszczęśliwszego z poddanych mojego Monarchy, jeśliby one zyskały Jego ojcowskie względy, a zalecenie mnie w tej mierze Waszej Księżęcej Mości starczyłoby mi za tytuł honoru.

Racz przyjąć Mości Księżę wynurzenia najgłębszego mego uszanowania.

Warszawa, 9 listopada (28 października) 1815 r.

Generał dywizyi *Sokolnicki*.

A oto suplika generała Sokolnickiego do cesarza Aleksandra:

„Wśród powszechnej radości, obudzonej we wszystkich sercach przybyciem Waszej Cesarskiej Mości do Stolicy Jej nowego Królestwa, moje serce tylko w żalobie, nie wiedząc, czy zdołało przytłumić w ojcowskiem sercu Monarchy uczucia niechęci obudzone przeciw mnie przez intrygantów.

Od chwili, gdym usłyszał od Jego Cesarzewiczowskiej Mości Wielkiego Księcia Konstantego, że Wasza Cesarska Mość w błąd co do mej osoby wprowadzony zostałeś, już nawet potem, gdy mnie raczyłeś przeznaczyć wyróżniające stanowisko, cofnąłem się od świata, aby ukazać się w nim dopiero po zwycięztwie zupełnem prawdy. Jej to jedynie zaufałem, pozostawiając intrygantom otwarte pole do działań podstępnych. Wpośród marzeń moich o szczęśliwości Ojczyzny, którą dobrodziejstwami swemi Najjaśniejszy Panie obdarzyć raczyłeś, a której od lat trzydziestu już służę z oddaniem, powodzeniem, rezygnacją i bezinteresownością, często myślę o losie Belizaryusza.

Odwołuję się do Dostojnego Brata Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości, który może poświadczyć, jakim było moje zachowanie się w trakcie procedury niesprawiedliwej, gdy zbrodnia na wszystko się ważyła, by zatuszować i przeinaczyć fakty sprawdzone i obalić zasady porządku i sprawiedliwości. Pod osłoną tego to Książęcia, który dał dowód najwyższej Swej bezstronności, korzę się u stóp Tronu Waszej Cesarskiej Mości, błagając o uwzględnienie tych właśnie zasad i prawdy.

Inni Monarchowie, nie Wasza Cesarska Mość, widzieliby być może w kroku moim objaw dumy, lecz śmiem mieć nadzieję, że Ty, Najjaśniejszy Panie, uznasz w nim tylko odbicie tego uczucia, które daje sumienie czyste, a które jest wynikiem bezgranicznej ufności w zalety najpotężniejszego i najwspaniałomyślniejszego Monarchy, jakim Opatrzność obdarzyła ludzkość.

Racz, Najjaśniejszy Monarcho, przyjąć wyraz najgłębszego uszanowania i czci od najwierniejszego poddanego.

Generał dywizyi

Sokolnicki.

Warszawa, 28 października (19 listopada) 1815 r.

VII.

Monita Krukowieckiego. — Ponowna jego prośba do tronu. — Cesarz porucza Nowosilcowowi rozpatrzenie sprawy.—Udział ks. Adama Czartoryskiego w tej czynności. — Trzy projekty wyroku. — Potępienie Krukowieckiego. — Nagana udzielona Sokolnickiemu. — Zgcn generała Sokolnickiego.

Przeciągała się sprawa Krukowieckiego do końca grudnia 1815 r. bez rezultatu stanowczego. Widocznie członkowie Komisji rozpoznawczej nie ze wszystkim uznawali zarzuty podnoszone ustawicznie ze strony podsądnego za niesłuszne, jeżeli wbrew przepisom proceduralnym, zdobyli się na krok niepraktykowany i przed oddaniem sprawy pod rozpoznanie Sądu wojennego ze znaną już nam opinią własną, cały aparat, wraz z dowodami w śledztwie zebranymi, oddali pod decyzję cesarza Aleksandra.

Skorzystał z tego kroku Krukowiecki i w dniu 28 grudnia 1815 r. podał do tronu prośbę, przy załączeniu obszernego memoriału analitycznego, zbijającego punkt za punktem wszystkie zeznania niekorzystne świadków i wywody członków Komisji.

Prośba Krukowieckiego brzmiała:

„Najjaśniejszy Panie! Dowiedziawszy się, że papiery, odnoszące się do mojej sprawy, mają być przedłożone Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości, pozwalam sobie załączyć memoriał z błagalną prośbą o jego odczytanie, zanim Wasza Cesarska Mość postanowić raczy w kwestyi Sądu wojennego, który winien zawyrokować w tej nieszczęsnej sprawie.

„Memoriał pomieniony zawiera wierny obraz sprawy i tego wszystkiego, cokolwiek w niej zaszło od chwili, gdy się Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości podobało przychylić się do prośby mojej o ustanowienie Sądu wojennego dla ocenienia mojej niewinności i zdemaskowania potwarzy.

„Staratem się być ile można treściwym i dlatego pominąłem przytoczenie zeznań świadków i dowodów usprawiedliwiających. Błagam jedynie Waszą Cesarsko-Królewską Mość o uwzględnienie przedewszystkiem tekstu polskiego, gdyż przekonałem się naocznie, że przekład jest niewierny i na moją niekorzyść.

„Błagam Waszą Cesarsko-Królewską Mość, by, czytając ów memoriał, raczył zapomnieć o wykroczeniu, jakiego się dopuściłem względem Jego Cesarzewiczowskiej Mości i mieć na względzie, że służyłem w armii, która pomimo surowości regulaminu swego, nie podlegała takiej, jak inne armie, karności, albowiem

podczas całego przeciągu czasu jej bytowania, Rząd nigdy owego regulaminu nie stosował.

„Byłbym szczęśliwy, gdyby kara, jaka mnie spotkała, i skrucha, którą za pośrednictwem moich przyjaciół i w liście do Jego Cesarzewiczowskiej Mości ujawniłem, posłużyły do zatarcia w pamięci Waszej Cesarskiej Mości rankoru, postępkiem mym wywołanego.

Racz przyjąć Najjaśniejszy Panie etc.

Hrabia Krukowiecki,
gen. brygady.

Warszawa, 28 grudnia 1815 r.

Memoryał Krukowieckiego w rzeczy samej jest obszerny i drobiazgowy. Nie przytaczamy go tutaj ze względu, że zawiera fakty z poprzedniej opowieści wypadków dokładnie nam już znane i że obraca się przeważnie około tezy, że jedynie Sąd wojenny na podstawie i według form dawnej procedury winien przystąpić do wyrokowania w tej sprawie.

Dowiadujemy się przy tej sposobności, że memoriał ów i wszelkie poprzednie przez Krukowieckiego przedstawione były pióra Ludwika Osińskiego, który, jak się to z treści owych relacyj okazuje, dobrze językiem francuskim władał i pięknie w tym języku wypisać się umiał.

Zbyteczna prócz tego podawać osnowę memoriału Krukowieckiego, ze względu, że odparcie przytoczonych w niej grawaminów mieści się w raporcie senatora Nowosilcowa w dniu 11 stycznia 1816 r. cesarzowi złożonym, z którego dowiadujemy się, że cesarz porучzył Nowosilcowowi zadanie krytycznego rozbioru zarzutów Krukowieckiego i że Nowosilcow do udziału w tej pracy zaprosił księcia Adama Jerzego Czartoryskiego.

Oto w jaki sposób zadanie powyższe spełnione zostało:

„Najjaśniejszy Panie!—pisał Nowosilcow do cesarza.—Stosownie do rozkazów Waszej Cesarskiej Mości rozpatrzyłem z drobiazgową uwagą powierzone mi papiery, dotyczące sprawy między generałem dywizji Sokolnickim a generałem brygady Krukowieckim. Wasza Cesarska Mość była świadkiem rozgłosu i pogłosek sprawą tą wywołanych. Sądziłem się w obowiązku usunięcia ich ogniw, wykazaniem tym, którzy się skarżyli, że skargi ich pozbawione są wszelkiej podstawy i że droga postępowania w sprawie tej obrona najzupełniej była prawidłową.

Dla dojścia do tego celu zaproponowałem księciu Adamowi Czartoryskiemu, jednemu z tych, co mniemali, że generał Kruko-

wiecki był skrzywdzony przez Komisję rozpoznawczą, by rozważnie a spokojnie ocenił osnowę zarzutów, które ów generał sądził się być w prawie do podnoszenia, a które wielu popierało, nie znając gruntownie ich źródła.

W następstwie czego przeszliśmy wszystkie po kolei, jeden za drugim. Uczynię wzmiankę o tych jedynie, które wydają się być najznamienniejszemi.

1-szy zarzut: Że Wasza Cesarska Mość na prośbę generała Krukowieckiego przyzwoliłeś na Sąd wojenny, nie zaś na Komisję rozpoznawczą, że owa Komisya przyswoiła sobie prawo stanowienia o ważności zarzutów przeciw niemu skierowanych. Otóż dowiodłem księciu i on się ze mną na to zgodził, że zarzut ów był wręcz dzieciinnym. Każdy Sąd wojenny rozpoczyna się z konieczności od śledztwa. Czy to ostatnie prowadzi się przez radę, zamiast przez pojedynczego osobnika, którym w danym wypadku byłby audytor generalny, to w żadnym razie za uchylenie poczytanem być nie może, ani też dać powód do zażaleń. Przeciwnie, jest to cecha oczywista różnicy i faworu z pobudek czysto wyjątkowych. Działo się to podobnie we Francyi, gdy uważano, że sprawa zbyt jest ważną, by ją audytorowi generalnemu jedynie powierzyć można. Co się tycze opinii Komisji śledczej o zasadności oskarżeń, dziwi tylko, że sprawa tak prosta, jak sformułowanie konkluzyi przy końcu raportu lub opinii, mogła dać powód do niezadowolenia. Audytor generalny nawet bez asystencyi Komisji nie mógłby uczynić inaczej, kończąc swój raport, jak tylko wyłuszczeniem swego poglądu na zasadność oskarżeń.

2-gi zarzut: Generał Krukowiecki utrzymuje, że Komisya śledcza była stromnicza i w zupełności po stronie generała Sokolnickiego, że nie trzymała się form, przeinaczała wyrażenia zarzutów, przytoczonych w broszurze, że niegodnie postąpiła, usuwając z przed oczu W. Księcia zeznania świadków korzystne dla pod sądnego, a których treść obalała jakoby te, które Komisya śledcza uznała za dostateczne dla jego potępienia, wreszcie, że raport Komisji, złożony w języku francuskim, nie odpowiadał zupełnie oryginałowi polskiemu. Wszystkie te twierdzenia należało sprawdzić w aktach oryginalnych. Poleciłem je przedstawić sobie przez audytora generalnego. Sprawdziliśmy wszystko w komplecie trzech i wtedy książę Czartoryski zagnalony był przyznać, że nie znalazł nic opuszczonego, nie nieprawidłowego i że przekład francuski był w doskonałej zgodności z oryginałem polskim.

3-ci zarzut: Że się go chce zmusić wbrew wszelkiej słuszności do poddania się Sądowi wojennemu, złożonemu i urządzonemu

stosownie do nowych prawideł, podczas, gdy czyny zarzucone mu w broszurze Sokolnickiego, sama broszura, rozkaz, który przedstawił w sprawie ustanowienia Sądu wojennego, pochodzący od Waszej Cesarskiej Mości — wszystkie one miały miejsce w epoce, gdy obowiązywały dawna procedura i dawne prawa. Książę Czartoryski był również zdania, że znaczyłoby to zostawić mu wolne pole do skarg, nieprzyzwoleniem, by Sąd wojenny ustanowiony był według dawnych zasad procedury.

W rzeczy samej, kwestya, czy Sąd wojenny winien być ustanowiony według nowych lub starych reguł przedstawia się z dwójakiego punktu widzenia. Jeśli ją uważać za łaskę przyznaną wskutek prośby generała Krukowieckiego i jeśli dopuścić, że owa Komisya nigdyby bez jego prośby nie była powstała, nie podobna zaprzeczyć, że ma on prawo nastawać na to, by otrzymał to, czego żądał, mianowicie — Sąd wojenny, którego skład znany mu był z praw w tej mierze obowiązujących.

Lecz jeśli z drugiej strony zważyć na pobudki jego prośby, która zmierzała do rozpatrzenia jego postępowania i ukarania go, ile zawinił według całej surowości praw, władza wojskowa, widząc z raportu Komisji śledczej, że postępowanie jego nie chroni go od zarzutów, pociąga go z własnej inicjatywy i niejako z urzędu przed Sąd wojenny.

W tym wypadku, akcja jego dobrowolna i prawo reklamowania, by Komisya uformowaną była według form dawnych — znoszą się.

W następstwie obu powyższych motywów pozwalam sobie przedłożyć Waszej Cesarskiej Mości *dwa projekty wyroków odmiennych*.

Pierwszy ustanawia procedura Sądu wojennego, według form nowych. Jestto ów, który Jego Cesarz. Mość Wielki Książę czytał i, jak się zdaje, nie zganił.

Drugi w artykule 4 opiewa, że będzie złożony według zasad dawnego prawa. Niewątpliwie, to ostatnie rozporządzenie ma tę dodatnią stronę, że położy koniec wszelkim szemraniom, jakkolwiek los wypadnie dla generała Krukowieckiego, pomimo, że taki Sąd zapowiada mniejsze szanse uwolnienia, aniżeli by to miało miejsce przy zastosowaniu form nowszych. W pierwszym wypadku można być uniewinionym absolutną większością głosów; w drugim — dosyć jest, by dwaj najmłodsi członkowie uniewinnili pod sądowego, gdyż w razie równości głosów Prezydujący obowiązany jest przechylić się na korzyść oskarżonego. Ołóż z uwagi, że w tej sprawie dwoma najmłodszymi członkami byłiby generałowie

brygady, oczywista jest, że generał Krukowiecki miałby szansę być sądzonym przez sobie równych rangą. Lecz jest to już następstwo uporów, że się nie radzi rozumu, ani interesu osobistego i że generał Krukowiecki, pomimo korzyści namacalnych, nastaje na to, by Sąd wojenny według zasad dawnych był ustanowiony.

Gdy jednakże nie trudno przewidzieć, że ani jeden z owych projektów nie zadowoli w zupełności zasad sprawiedliwości i nie pogodzi roszczeń stron obu, gdyż przyjmując pierwszy, nie uchyla się skarg Krukowieckiego, a przyjmując drugi, nadaje mu się szerokie pole do przeciągania sprawy szykanowaniem procedury, którą będzie chciał koniecznie nawrócić do form dawniejszych, ilekroć to znajdzie odpowiedniemi dla siebie, dla tego byłoby do życzenia, w sprawie, która powstała przed epoką, w której Wasza Cesarska Mość pozyskał panowanie nad krajem tutejszym i ze względu na zarzuty, które nie mogły ubliżyć interesom Waszej Cesarskiej Mości, aby, mówię, sprawiedliwość Waszej Cesarskiej Mości nie ściagała przewinień zaszytych poprzednio, lecz by zachowała charakter najzupełniej bierny, a jedynie działała wtedy, gdy do tego będzie zagnalona formalnie.

Z tych to zasad ułożyłem trzeci projekt dekretu, który tu rozważę Waszej Cesarskiej Mości przedłożyć sobie pozwalam. Zdaje mi się, że ten ostatni mógłby uchylić niedogodności obu pierwszych, gdyż jeśliby generał Sokolnicki uznał za właściwe powtórzyć urzędownie swoje zarzuty przeciw generałowi Krukowieckiemu, nie będąc do tego zagnalony, jak w projektach pierwszych to jest przepisaniem, byłaby to nowo rozpoczęta akcja, co do czego nie byłoby już mowy o formalnościach, według których Sąd postąpić winien.

W przypadku zaś, gdyby ani jeden, ani drugi nie chcieli akcyi rozpocząć, sprawa się zakończy i nie oprze na tych samych motywach oskarżenia (*chefs d'accusation*). Używam tego wyrażenia, dla odróżnienia tej sprawy od dwóch innych, nie mających nic wspólnego z niniejszą, a która będzie mogła być następnie podniesioną, raz—z powodu ubliżenia Wielkiemu Księciu, drugi raz—z powodu obrazy przyczynionej generałowi Sokolnickiemu, jakkolwiek generał Krukowiecki twierdzi, że już za nią pięciomiesięcznem odpokutował więzieniem. Lecz nie jest to prawem winowajcy stanowić o karze, na jaką zasłużył.

Zarówno zachowaniem jest wyłącznie Waszej Cesarskiej Mości ocenić w Swej wysokiej rozwadze, o ile człowiek, który się do tego stopnia zapomniał wobec swych przełożonych, może zasługiwać na dalsze utrzymanie go w służbie wojskowej.

Załączając przy niniejszem memoryał generała Krukowieckiego, złożony mi dla przedstawienia go Waszej Cesarskiej Mości wraz z listem, a których nie przyjąłem, jako nie uprawniony do ich przyjęcia w imieniu własnem, mam zaszczyt pozostawać z najgłębszem uszanowaniem i czcią

Waszej Cesarskiej Mości
 najwierniejszym sługą
M. Nowosilcow.

Warszawa, 31 grudnia (11 stycznia) 1815 16 r.

Oto osnowa projektów wyroku:

Projekt Nr. 1. Wskutek raportu złożonego Nam w sprawie generała dywizyi Sokolnickiego z generałem brygady Krukowieckim, zważywszy:

Że generał Krukowiecki domagał się od Nas Sądu wojennego dla rozpatrzenia jego postępowania z powodu zarzutów, uczynionych mu w broszurze, do której autorstwa generał Sokolnicki się przyznał.

Że śledztwo wyprowadzone przez ustanowioną przez Nas Komisję specjalną ustaliło zasadność oskarżeń przeciw generałowi Krukowieckiemu podniesionych co do tego:

- a) Że własnowolnie opuścił dywizyę generała Dąbrowskiego.
- b) Że ułżył obowiązkom karności, będąc pod rozkazami generała dywizyi Sokolnickiego, przejściem pozycyi Loessnigu w d. 18 października 1813 r., zamiast maszerować po prawej stronie, stosownie do otrzymanego w tej mierze rozkazu, i opuszczeniem bez rozkazu 19 t. m. posterunku przy Schkeitbar.

Zważywszy co dotyczy generała Sokolnickiego, że Komisya śledcza ustaliła jego uchybienie w tem, że nie ukarał na miejscu nieposłusznego oficera inie oddał go pod Sąd wojenny przy pierwszej sposobności, — że użył wyrażeń obelżywych i obrażających honor oficera przytoczeniem uchybień, popełnionych przez generała brygady Krukowieckiego, w broszurze pod tytułem: *Journal historique*, drukowanej w Paryżu w r. 1814 pod inicjałami Al. A., szefa batalionu inżynierów.

Zważywszy nakoniec, że broszura obrażająca nie powinna kursować między publicznością i być przez Rząd tolerowaną.

Rozkazaliśmy i rozkazujemy:

Art. 1.

Procedurę przeprowadzoną przez Komisję śledczą dołączyć do procesu, jako dowód i odwód (*comme pièce tout à charge, qu'à decharge*).

Art. 2.

Wzbronić przez policję sprzedaży broszury pomienionej i wycofać ją z obiegu wśród osób prywatnych.

Art. 3.

Zobowiązać generała Sokolnickiego, autora oskarżeń przeciw generałowi Krukowieckiemu podniesionych, do sformułowania tych oskarżeń urzędownie i stosownie do obowiązków służbowych, przedstawić je władzy odnośnej.

Art. 4.

Bezwłocznie po złożeniu owego aktu, ustanowić za pośrednictwem Brata Naszego W. Księcia Konstantego Sąd wojenny, który postąpi według form, jakie istniały w epoce zdania raportu Komisji śledczej. Równocześnie wręczoną będzie generałowi Krukowieckiemu kopia zeznań generała Sokolnickiego z pozostawieniem odpowiedniego czasu na przygotowanie obrony.

Art. 5.

Na wypadek orzeczenia kary, Sąd wojenny zastosuje prawa uprzednie.

Art. 6.

Co się tycze wynagrodzenia cywilnego, któregooby generał Krukowiecki mógł domagać się od generała Sokolnickiego, będzie miał generał Krukowiecki prawo odwołać się do sądów zwyczajnych.

Projekt Nr. 2. Powtarza wszystkie motywa poprzednie, w artykule 4 wszakże czyni zmianę w tem, że „Sąd wojenny w zastosowaniu się do dawnych praw № 29 art. 8 będzie złożony z generała dywizyi lub dowódcy naczelnego, z dwóch dowódców batalionów, kapitana inżynieryi i kapitana artyleryi.“

Projekt Nr. 3. Również powtarza znane zasady i motywa, lecz w art. 3 rozporządza, że „w Sądzie wojennym procedura i śledztwo wyprowadzone przez Komisję śledczą będą dołączone, jako dokumenty na dowód, jako i na odwód.“

*

*

*

Na tem kończą się dokumenty w sprawie generała Krukowieckiego, zachowane w aktach Nowosilcowa. Jaki był rezultat Sądu wojennego i czy w ogóle Sąd wojenny się odbył? nie wiadomo.

Wiadomo jedynie, że dnia 23 września 1816 r. podczas rewii wojsk na placu Saskim ułan, stojący na rogu dziedzińca, puściwszy się z otrzymanym rozkazem w cwał, wpadł z rozhukanym rumakiem na generała Sokolnickiego, zwałił go z konia i trupem na miejscu w obecności W. Księcia Konstantego położył.

Zgon walecznego generała niewątpliwie wpłynął na zatamowanie biegu sprawy przed Sądem wojennym.

Pozostał jedynie w aktach stanu służby generała Krukowieckiego ślad, że dnia 1 stycznia 1817 r. usunięty został ze sztabu dywizyi, lecz „liczył się w armii.“

W takim też charakterze, jako pozostający w służbie czynnej, pełnił gen. Krukowiecki obowiązki wojskowe przez cały okres istnienia Królestwa Kongresowego. Działalność jego jako gubernatora wojennego po wypadkach listopadowych i jako uczestnika rokowań przy kapitulacji Warszawy, nie wchodzi w ramy niniejszego opowiadania.

ALEKSANDER KRAUSHAR.

Felicyan Rops.

Dziwną jest dola niektórych artystów. Niezrozumieni, nieodczuci wloką za sobą concept czyjś, zdanie gapia, sąd głupca, które im za charakterystykę i za życia i po zgonie starczyć musi. Przyłgnie to, jak oset, i na całym dziele twórcy piętnem niezatartem się kładzie.

Z nazwiskiem Rops'a w niepodzielnym związku, dla wielu bardzo, pozostaje rozwiążłość, skowyt miłośnych rozkoszy, erotyzm upajający, rozlukany, a przewrotny. Nie znając lub poznawszy go niedostatecznie, radzi widziny w artyście tym indywidualność, jaką był markiz de Sade w literaturze, Gille de Rays w życiu. Naokół Ropsowskiej twórczości wężymy *odor di femina*, otumaniający i mocny.

Wielbiciele Rops'a, nawet ci *de la première heure*, podporządkowując wielką osobistość mistrza swoim koncepcyom artystycznym, werbując go ku ołtarzom ich własnym bogom wystawionym—zumnieszają dzieło jego. Ropsowi wprost „zbiega się“ dusza od tych przyjacielskich dociekań i kurczy wartość i rozległość jego sztuki.

Huysmans, Barbey d'Aurevilly widzą w nim katolika, walczącego z dajmonem wszeteczeństwa; Demolder, Rebell — spadkobiercą flamandzkiego geniusza zmysłowości przyziemnej Jordaens'a, jowialności Uilenspiegel'a, gruboskórnego mistycyzmu Breughel'a.

Rzecz ciekawa—iż wszyscy potrosze rację mają.

Tylko że pierwsi o początkowych kreacyach Rops'a, jędrnych, może mniej głębokich, ale równie jarych, równie wibrujących siłą żywotności i prawdy, zapominają—drudzy zaś o tym ostrym tonie demonizmu, który późniejsze dzieła jego cechuje.

Twórczość Rops'a rozłamuje się na dwie fazy: z początku rysuje, co widzi—później oddaje, co czuje. Rozszerza mu się wtedy myśl twórcza, pogłębia; i późniejszy Rops upodobnia się dawniejszemu tylko tą niesłychaną czułością na najłżejsze meandry formy, na najdrobniejsze odcienia, tą skrupulatnością w podpatrywaniu najniklejszych wyrazów uczucia, lub nastroju. Zawsze jest i pozostaje wielkim zmysłowcem, jak wszyscy niemal z rasy jego, jak cała plejada mistrzów niderlandzkich. Zmysłowość aż bucha kłębami u Rops'a, i nią a przez nią synem ich jest i spadkobiercą, ale kropla krwi madziarskiej¹⁾ dała mu ten pęd wściekły, zaostrzyła, rozpałała plemienną dobroduszość i flegmę.

W pierwszym okresie Rops jest panteistą, zasłuchanym i zapatrzonym we wszystko, co żyje, rusza się, łśni, barwi, wabi, mani, śmieszki, zastrasza. Wówczas — zaiste — jak majstrzy rodzimi, szukał oczami wokoło siebie, a nie w siebie patrzył; przedstawiał powab zadomowiony wewnątrz flamandzkich, ziemi swej typy, które czarowały go pięknem swojskiem, bawiły groteskowością lub budziły litość ciepłą, uczucie czułości, jakie dla smutku, biedy, starości ma serce każde. Szła myśl Rops'a po ziemi rodzinnej i na niej i z niej zrodziły się dzieła magistralne, jak *l'Enterrement au Pays Wallon*, *l'Experte en dentelles*, *l'Oncle Claes et la tante Johanna*, *la Laitière enversoise*, *Oude Kate* (Obieraczka kartofli) i tyle, tyle innych.

W akwafortach tych i litografiach czuć lekki wpływ Courbet'a; chłopci przypominają nieco suche, twarde, chropowate, jakby z grudy czarnoziemu ulepione, smutne typy Millet'a. Nie ujmuje to ani wartości, ani nawet oryginalności kreacyom Rops'a. Umiał on zawsze pozostać sobą. Reminiscencye te zresztą—może bardziej literackie, niżeli plastyczne: w modzie wówczas był typ „przywiązanego do gleby,“ niewolnika czarnej macoszej ziemi. I Rops też poezją biedy i znoju obłókł zdrowe parobczaki flamandzkie.

W tym charakterze stworzony jest *Semeur*. W pustkowiu—piachy, głazy, bodziaki, gdzieniegdzie garbi się nizki jałowiec, jeżą badyle suche; smagłe, supłowate, smętne chłopisko sieje różnym, miarowym ruchem ziarno, które nie wszędzie.

Kocha Rops pustkowie te i nieużytki, kocha wzgórze piaszczyste Flandryi, osiadłe ciężko wzdłuż wybrzeży morskich. O zachodzie słońca przyciąga go ich sypkie złoto; podczas pluty mami go szary welon obłoków, kiedy otulone nim wybrzeża cicho drzeć się zdają, kołysanką fal usypiane.

¹⁾ Dziad Rops'a z Węgier był rodem.

Kocha Rops morze, kocha namiętnie, płomiennie, atawistycznie, po barbarzyńsku—powiem—jak kobietę umiłowaną, pożądaną, niezbędną. Tylko Swinburn tak zmysłowo, cielesnie morze wielbił.

Dla nich obu prawdą się staje myt Wenery, z kłębów i piany morskiej wyszłej. Rops wszakże jeszcze szaleniiej, *plciowo* je poprostu miłuje; widzi w niem te wszystkie uroki, jakimi kochanka upaja i pęta¹⁾.

Oto jedna strona umysłowości, sentymentu i *eo ipso* siły twórczej Rops'a, jedna postać jego talentu.

A oto druga.

Ma lat z górą trzydzieści. Osiedla się w Paryżu, i Paryż uderza mu do głowy. Upija się jego atmosferą, ową atmosferą nagrzaną do białego użyciem, myśleniem, tworzeniem, gdzie idee i sensacye, niby pyłki złociste mienia się i wibrują. Subtelne jego nerwy wyczuwają wszystkie dreszcze wielkiego miasta. W kuźni tej wykuwa się i jego myśl. Tu, w tem ognisku nowymi elementami duch jego się użyżnia. Upija się paryżanką, chciałby ją pojąć, zrozumieć, przeniknąć. Wydaje mu się ona po zdrowych, silnych dziewczkach Flandryi lalką, którą nazywa: „*un composé de carton, de taffetas, de nerfs et de poudre de riz*“²⁾. Wejrzawszy gruntowniej, znajduje w niej takie składniki, jakich indziej nie widział, ni spostrzegł. W paryżance stopniowo odkrywa „*une vraie femelle, une concubine rêvée*“³⁾. Daje mu ona miłość-szał, jak wkrótce da miłość-grzech i ból.

Jest Rops w tym okresie życia, w tym wieku, kiedy mężczyzna traci na żywiołowej sile, a zyskuje na wyrafinowaniu, imaginyacji, kiedy uściski komplikują się, miłość zaprawia papryką szalonych a płonnych pożądań nowego, niezazanego.

Po miesiącach miodowych następuje przesyty, czczość, rozczarowanie i żal do kobiety; i tu—na przywianek—daje jej w utworach swych demonicznych Koronę z Siedmiu Grzechów uwita, Aureolę czarną szatańskiej wybranki.

Widzi już ją Rops i przedstawia, jako żywioł destrukcyjny, wysłankę piekiel, zwierze jadowite, nagie i sprośne, służebnicę i zausznicę czaricią, jako czarę szaleju śmiertelnego pełną, jak

¹⁾ Patrz list do Demolder'a, wydany w broszurce o Rops'ie: „*Rops*“ Demolder. Paris, 1894. 8-o.

²⁾ Ibidem.

³⁾ Ibidem.

wieczystą pokusę, przez szatana na zgubę i pohybel świata zesłaną.

Otóż tu Huysmans, Barbey d'Aureville mają prawo Rops'a uważać za swego, bo w nim panteista, obserwator realnych objawów wszechbytu błędnie, niknie coraz bardziej, a natomiast zjawia się mistyk, głęboki, katolicki mistyk, który, zachowując wszystkie swe dawne zalety, tworzy szereg arcydzieł, gdzie wyuzdana lubieżność fosforem satanicznym się powleka i lśni próchnem, jak te ogniki, mamiące nad moczarami.

W Ropsie, niedawno jeszcze święcącym po pogańsku świat, życie, radość—ocknął się katolik, a z nim zmartwychpowstały dawne wierzenia, zapomniane, wyblakłe, ale jak jeszcze mocne! o jak silnej woni kadzideł, o jak donośnej nucie dzwonów i śpiewów liturgicznych, szeptanych modłów i egzorcyzmów! Zapomniane strachy i marzenia z kolegium jezuickiego *Notre Dame de la Paix*¹⁾, widna stare i pokuszenia odżyły, wypełzły z zakątków duszy, migły, drzące, występne a słodkie i rzuciły się chmurą na plansze Ropsowskie.

*

*

*

Według tradycji, a bodajże z racji osobistego sentymentu demonicznego — Rops zespala w śpięciach wszetecznych piękno kształtów kobiecych z ohydą fantastycznych tworów. Ale ze wszystkich demonografów, ze wszystkich wizjonerów wyodrębnia go niezwykle poczucie miary, równowagi, logiki form ludzkich, ogromne zrozumienie żywotności i harmonii. Dziwotwory Rops'a są pełne prawdopodobieństwa i możności istnienia, żywe, powiedziećby się chciało—prawdziwe, a jakkolwiek piękne (a może dla tego) urodą „sui generis,” zabobonną trwogą mrowiące.

Potworem wszakże najokropniejszym w galerii Ropsowskiej jest ostatnia kochanka i wierna—jasnokoścista Śmierć. Śmierć czai się chytra we wszystkich utworach Rops'a, śmierć dziwna: podła i zmysłowa. Nie wyziera ona z wieczności progów, nie nicość ma ona za sobą, ale katusze ciągłych, wiecznych i nigdy niezaspoko-

¹⁾ Około Namur. Tam się Rops wychowywał.

jonych wszeteczeństw, gryzących pożądań, wciąż odradzających się pragnień.

Mors erotica! Śmierć, która jeszcze ściska, kąsa całusami, wpija się w ciało, ssie, zabija rozkoszą i wielkiem cierpieniem w rozpaczliwym spaźmie namiętności.

Potężne to i płomienne dzieła — te plansze Rops'a; palą się w nich ciała na żuzle, drgają przeklęte i sprośne w ciągłym bekwowisku, bez wytechnienia, ulgi, ni zadowolenia. Jątrzy się tam ciągly głód miłosny, wysiaka z nich żądza, jak ropa, z nigdy niezagojonej rany. W okowach lubieżnych wiją się pod chłostą zmysłów, w pożarze chuci, wyteżone—jak cięciwy—nerwy, skurczone i wykrzywione mięśnie. Erotyzm rży, ryczy, wyje, staje się dopustem, klątwą, plagą, rozpaczą.

Od kobiet Rops'a gibkich, mających siłę stalową, zwinność i urodę panter, a jak one groźnych, idzie już wprost lęk, jak przed czymś nieskończeniem niebezpiecznym, nieczułem, a ponętym, wabnym i nieprzewycięzonym. Tu kobieta ukazuje się już nie jako zwykła wszetecznicza, uciechy nierządu niosąca, ale jako Sukkub, jako wampir, jako duch zła i ciemności. Jest ona siłą nieomal kosmiczną: pali—niby ogień, zastrasza—niby grom, mami—jak otchłań bezdenna. A na ziemię zesłał ją szatan, by zwiększyć państwo swe mroczne, aby ziemię pod swe panowanie zagarnąć.

Myśl tę dał Rops w przejrzystej alegoryi — *Satan semant l'ivraie*:

W pomroce i ciszy nocnej, ponad Paryżem, krótkim i pozorowanym letargiem snu i spokoju zaskoczonym — olbrzymi siewca. Wsparł rozkraczone w łęk nogi na dachach i wieżach, panuje nad miastem niemem i bezbronem, zamyka je—jak klamrą—okrakiem swym wielkoluda i w posiadanie bierze. Gestem szerokim siewcy lub kosiarza rzuca w dół, w mrowisko ludzkie, zła nasienie występne i zgubne, zarodki cierpienia, zbrodni, nienawiści w postaci larw kobiecych i masek. Ma ich masę całą w zanadru opończy. Rozpyła je, rozwiewa i wie, jaki to plon przyniesie siew jego piekielny. Uśmiecha się sardonicznie, ślepie mu się skrzą z radości i palą w twarzy kościstej.

Plansza ta jest wspaniała, patetyczna, okrutna, wymowna nielitościwie; może ona służyć za introdukcję i niejako komentarz do części demonograficznej dzieł Rops'a.

Według niego dyabeł nietylko lubieżną zmorą męczy ludzkość i nęka. Inne także gzy-trucicielki brzęczą natrętą pokusą koło uszu ludzkich. Nietylko czuje Rops przyłgnięcia płowe rozkoszy seksualnych, nietylko błyski piekła namiętności; oblegają

fantazję jego wszystkie nałogi bezecne, wszystkie chuci, które w palenisku wielkiego miasta gorzeją.

W akwafortcie tak tragicznie intensywnej, że, ujrawszy ją raz, zawsze ją masz w pamięci — inny grzech śmiertelny artysta zobrazował.

Oczami omglonemi pijaństwem, pełnemi rozmarzenia i halucynacyi, patrzy na cię maska blada bladością siną, rtęciową.

To *la Buveuse d'Absinthe*. A w niej — skondensowane pijaństwo, skryształizowany pijaczy szal. To absynt sam ujęty w symbol i syntezę, absynt zielony, trawiący, trucizna na ludzi, pokrzyk obłądu, jad zabijający, jak cykuta. Karta ta, to „Delirium Tremens“ wcielone w postać kobiety.

*

*

*

Kiedy artysta dochodzi do takiej mocy dramatycznej, do takiej poezyi i wyrazistości — niemasz już miejsca na nierząd lub nieobyczajność.

U Rops'a napięcie zmysłowe jest tak silne, iż część erotyczna zanika i traci łączność z instynktem rozrodczym.

Dzieła pod wpływem mózgowego podniecenia zrodzone, nie mogą być i nie są prostymi afrodyzyakami, jak niektórzy mniemają. Myśl tak chucią przesiąknięta z racyi właśnie swego bajecznego nateżenia, nie jest wynikiem zwykłej histeryi umysłowej, ale zdaje się być raczej istnym poszeptem szatańskim, wielkim biblijnym grzechem.

Patrząc na te karty, skłonni jesteśmy wierzyć, że spłodził je nie powszedni fizjologiczny popęd płciowy, choćby nawet rozpaczliwie wyegzaltowany, ale duch zła, który kłębi się w mózgu, kusi, kazi intelekt i — jak wielkim zakonnikom — każe widzieć, czuć i pożądać aż do boleści, cierpieć męki piekielne w bezsilnej walce z marą lubieżną.

Oczywista, iż tak Rops czuł i myślał, bo w planszach jego kobieta ukazuje się — zgodnie z wizjami świętych kościoła, kuszeniami nawiedzanych, według pojęcia katolickiego, według idei manicheistycznej — jako element zły, srogi, gubiący na wieki wieków duszę, niszczący myśl świętą i wielkie zadanie ludzkości.

Zadziwiającem jest u Rops'a to poczucie świętości *à rebours*. Jego dziewczki szalone są równie mistyczne, jak niebiańskie dziewice Fra-Angelico, Memling'a, Roger'a van der Weyden'a.

Te saturnalie, luperkalia Ropsowskie są istnemi „mszami czar-nemi,“ gdzie dyabeł ogłasza się Bogiem i gdzie na cześć jego wielkie się misterya czynią. Tam wtedy niewiasta hostyą się staje, bujne jej włosy za korporał służą; a ten, co do komunii owej idzie, niebaczny — ten wiekuiście zgubiony i w doczesnem życiu i w przysłem.

Tak przedstawia Rops kobietę i chuć. To nie jowialne, tłuste żarty rozwydrzonego klechy, nie uperfumowane kreacye bu-duarowe Boucher'a, Fragonard'a, ani tokowiska japońskie, ni lu-bieżna a zdrowa zmysłowość świata antycznego, uosobiona w We-nerach i Priapach, to wizya straszliwa, bolesna—aż do rozkoszy, rozkoszna—aż do bólu samotników w Tebaidach, to jakby krwią opite tańce Herodyady, kurcze ostatecznego cierpienia i upojenia najwyższego.

To też ów rys mistyczny, niezaprzeczenie istniejący, namacalny u Rops'a, nie pozwala go przyrównać do innego genialnego zmysłowca—Rodin'a (jak to niektórzy czynią)¹⁾, lub mniej jeszcze do pogańskiego czysto talentu Clodion'a.

U Rodin'a kobieta jest nagą — u Rops'a tylko *obnażoną*. Z umysłu pozbawia on ją godności i czystości wstydlivej, jakie ma ciało nagie. Ta Ropsowska półnagość lubieżniejszą jest nieskończenie, potężniejszą demonicznym przywdziękiem, niżeli kształty człowiecze bez obsłonek, w całej swej powadze i surowej krasie.

*

*

*

Indywidualność Rops'a tak wielka, szczególnie w późniejszych fazach twórczości, talent jego tak odrębny i mocny sprzeciwia się wszelkim filiacjom ścisłym. Dla podkreślenia wszelako jego osobowości, dla uwypuklenia wizerunku jego, przytoczyć należy analogij kilka, zaznaczyć pobratymczość z innymi twórcami.

¹⁾ Patrz: Hugues Rebelles — „*Trois Artistes étrangers*.“ Paris 1901, w 16-ce.

Owoż jest parę umysłów, które wpływ może niejaki na niego miały, ale w literaturze szukać ich należy, nie w plastyce.

Zresztą, jak na dnie retorty rozmaite czynniki i odczynniki, łącząc się i zlewając, dają ciało nowe o innych właściwościach, różne kolorem, smakiem i siłą — tak i w myśli twórczej Rops'a wszystkie elementy, poza jego istotą i w niejże czerpane, stopiły się w całość oryginalną i własną. U nikogo Rops długu nie zaciągnął. Zapatrzył się na niejedno, zasłuchał, zanyslił i dał późnij dzieło piętnem swego geniuszu naznaczone.

Prawdą jest, że w owym czasie, kiedy był poetą rzeczy realnych, zbliżka ujrzanych, czerpanych z otoczenia — czarem intymnym zbliża się do mistrzów północy: i Cranach'a starego, i Breughel'a cząstka w nim była drobna — ale mistrze nawet musnęli mu po wierzchu tylko duszę.

W drugiej fazie, zaskoczony nowemi sensacyami, opętany szaleem czaru niewieściego i zlekły jego potęgą, gdy tworzyć poczyna cykl *Les Sataniques* lub ilustruje Barbey'a d'Aureville, Péladan'a, kiedy daje dzieła siarczyste i groźne, albo jak w *Théâtre Gaillard*, *Point de Lendemain* odtwarza pożogę ciał w skurczach pożądań i chuci rozpalonych podnieceniem, w smutnej delectacji uścisków, zaś spopielonych później, złamanych, rozbitych, napół trupich, a nienasyconych i łaknących jeszcze, łaknących ciągle, łaknących po zgonie, w grobie, piekle, wszędzie i zawsze, kiedy z gwałtownością heroiczną daje orgie zmysłów i kształtuje kobiety, które zdają się być inkarnacją ognia piekielnych, a wydobywszy je z serca, duszy, uczucia, rzuca istoty te w objęcia ludzi — wtedy Rops wysługuje się temu sentymentowi, religijnemu prawie, jaki właściwym jest całemu szeregowi czcicieli a wrogów mistycznych kobiecego czaru.

Usiłują oni, a Rops wraz z nimi, pogardzać kobietą — nieczystem naczyniem grzechu, złorzeczą jej, a kołowacieją za jej uściskiem, wielbią ją, jak opętańcy.

Oni to Rops'owi są bratniemi duszami. A więc: Swinburn, a więc Baudelaire, Barbey d'Aureville, a więc wszyscy ci, co widzą w kobiecie przynętę, którą Szatan-Zło na ziemię zesłał gwoli walce z Bogiem-Dobrem; przyczynę pierwotną grzechu, mozołu, unęczenia i niedoli rodu Adamitów wyklętych; wieczny zawód i gorzkie rozczarowanie i żałość.

Ale jak Rops im daleki, jak zawsze wiernym sobie pozostaje — widać, kiedy ilustruje dzieła jednego z nich, jednego z tych pokrewnych mu poetów, jak np. d'Aureville'ego. Raczej transkrypcjami, a nie ilustracyami rysunki te nazwałoby należało. I tak —

w planszy do znanego opowiadania *le Bonheur dans le crime* ¹⁾, nie poszczególny wypadek oddaje, ale pojęcie szczęścia w zbrodni, pełnego szczęścia, bez wyrzutów natur silnych, do radości iście stworzonych.

Na piedestale—głowa Gorgony, której pukle gadzinowe oplątuja parę, zacałowaną na śmierć i życie. Odwróceniem tyłem, zlepieniem uściskiem, on w nią ustami się wpija, ślepy, nieczuły, głuchy na wszystko, co nie jest kochaną kobietą, ona niebaczna na świat cały, nie pomna na wszystko, co nie jest pocałunkiem, pieszczotą. Blask od nich bije radośny, promienieją szczęściem zuchwale. U stóp postumentu czołga się postać kobiety, zawodząca krzykiem śmiertelnej rozpacz. Kona ona tam, na dole, nieszczęsna, kiedy Oni, na wzniesieniu błogości, nieprzystępni, Przeznaczeniu nawet urągać się zdają; ręce jej, w szpony skurczone, napróżno zahaczyć się pragną, tarza się w bólu zazdrośna, w męce bezsilnej, tem wścieklejsza, tem marniejsza, że katuszy jej nikt nie widzi.

Oto jak szeroko pojął Rops anegdotę Barbey'a d'Aurevilley.

Ta właśnie niezależność dumna od myśli przez innego zrodzonej, to rozumienie tematu na swoją modłę—pozwalalo artyście zdobyć pracami swemi dzieła mniej nieraz, niż średniej miary. Bo Rops nie jest ilustratorem — powtarzam — ale twórcą „par excellence,” a ilustracje jego są raczej genialnymi „waryacyami na temat,” aniżeli ścisłymi interpretacyami.

Stąd pochodzi, iż taki *Dictionnaire érotique* Delvau'a szczyści się naczelną kartą Rops'a; stąd jeden z najpoważniej, najgłębiej pomyślanych rysunków jego—na czele Péladan'a *Le Vice Suprême*.

W planszy tej (*Finis latinorum*)—z trumny pół-otwartej mogilna Salome, kościotrup kobiecy, w falbany, fatałaszkę i błyskotki ustrojona, wygląda, łasi się, wachluje i mizdrzy; z pod ugiętej kokieteryjnie spódnicy widne są piszczele w jedwabne pończochy obciągnięte, z po pod stanika zaś — wegetacya kręgow i żeber, ostrych, jak ościec rybi.

Z kobiety nic już nie zostało okrom chęci wiecznej, nieśmiertelnej skusić i zwabić. Obok niej obezglowiony, a wyfraczony lubieżnik własną głowę, niby Ś-ty Dyonizy, pod pachą trzyma, i, sprośny, straszny, złowrogi, wdzięczy się jeszcze i koperczaki stroi.

Jak w „Tańcach Śmierci“ średniowiecza, jak u Holbein'a, jak u wszystkich mistyków, którzy Żądze, Grzech i Karę z nich

¹⁾ *Les Diaboliques* — Barbey d'Aurevilley. Paris, 1883, w 16-ce.

płynącą malowali — u Rops'a po całym dziele jego satanicznym, szkielety-symbolo zgonu się przewijają; stroi on je odziewkiem, z ladacznic zdartym, muska, krasi.

A że ostateczności zawsze się za dłonie dzierzą, że Śmierć z Życiem w jeden węzeł się splata — w planszach Ropsowskich tuż przy rozkoszy wykwita cierpienia kwiat piołunowy, pocałunek jest bliskim kąsania, spazm ekstazy miłośnej — konwulsyom ciężkich agonij, zaś łożnica małżeńska upodobnia się śmiertelnym łożom.

Rozkosz u Ropsa nie śmieje się, łaskotliwa, ale płacze, szloch, łka, skomle; torturą jest ona u niego; przekleństwem jest bezsilna miłość; okowami są czarta uściski i pieśczęty bałamutnych ramion kobiecych.

Miał prawo Rops wyrzec, pokazując jedną ze swych akwafort o takiej wściekłej już sile erotyzmu, że opisać jej niepodobna: „*n'est ce pas que le côté érotique disparaît?*”⁴ W tej karcie bowiem (a i w innych zarówno) duch wszeteczeństwa rozkiełznany, bezecny a wyniosły, jest prawie że obezcieleśniony.

Nie zwierzę, zadawalające potrzeby swe, wije się w nich, ale *Dusza*, która cierpi, łaknie ideału, a tonie w gnojówce, gore w jałowych i niecnych płomieniach lubieżności, ginie oplwana, zbrukana i nędzna.

Każnią jest miłość ziemską według mniszego światopoglądu Rops'a, plagą — kobieta, co w wieczystej uległości szatanowi, mocy jego służy, dla niego, pana swego, świat zaprzepaszcza i *ad majorem Satani gloriam* gubi kochanie czyste, boskie, nieskalane w nawałnicach zmysłowych dreszczów.

Rops nienawidzi kobietę nienawiścią, która jest jeszcze namiętne wielbieniem. O niej tylko śni i myśli. A dziwne niewieście postaci, poznaczone — niby plamami grynszpanu — sińcami piekielnych pocałunków, po których ślad pozostaje, jak po razach chłosty biczownika; istoty o twarzach mroźnych a namiętnych, pustych, bezmyślnych, gdzie wyuzdana rozpusta łączy się z delikatną, subtelną pięknnością; samki te, faunie, ponętne, magnetyczne a okrutne, dające bez uczucia uściski szalone, ostateczne, śmiertelne — jak jad, niezapomniane — jak utracone na zawsze szczęście, uściski, co rajem są i męką; afrodytyczne motyle-kobiety tarantelą plugawej Miłości i Śmierci wciąż mu po głowie krążą.

Prowadzi je w tan ta *Dame au cochon* [Πορνυχάρης], a ją znów wiedzie ośleplą, bezwonną świnia spaśna, sprośna i głupia.

Rops credo swe wypowiedział właśnie w tej planszy (Pornokrates), która tak oto wygląda:

Wzdłuż po krawędzi gżemsu marmurowego idzie ruda, wspa-
niała kreatura, giętka, mocna a wytworna: idzie goła, a nie naga,
bo bezczelnie zachowała pończochy swe długie, zdobne pantofelki
i kapelusz. Idzie. A przed nią na różowej tasiemce—jak pies na
sznurku — *wieprz*. Ślepa jest ta gamratka, bo bielmem na oczach
jej się kładzie opaska. Nic nie widzi, nic czuć nie musi, daje się
wieść przez bydlę nieczyste, niekzemne, plugawe. Stapa cicho, skra-
dać się zdaje, jak zła myśl, mamiąca, łakoma, ciekawa, a amorki,
symbolizujące miłość prawdziwą, pierzchają zasromione i trwożne.

Kreacye te Rops'a jedyne są w sztuce. Siostrani im nie są
ani pijane namiętnością i winem bachantki klasyczne, ani boginie
i dziewice Gustawa Mareau z kwiatem lilii, lotusu, lub głową
ściętą w rękę, ni limfatyczne szurgoty Toulouze-Lautrec'a. Nie
z tego gatunku, nie z tej rasy są lubki Ropsowskie. Nie lilia im
za berło, ale phallus służy; nie perły, dyamenty i rubiny je zdo-
bia. Łzy im ludzkie za brylanty stają, krople krwi—za purpuro-
wy klejnot rubinu. Z otchłani dyabelskich one rodem; zrodziły
je opary, które nad kostnicą, lupanarami, turmą lub śmietniskiem
bujają, a które wicher cuchnący miłośnie zapłodnił. Pieszczoty
ich płonne, spięcia ich jałowe, gorzkie i zgubne — tylko szaleń-
stwo z nich się poczyna, tylko boleść, srom i żałość z nich się kluje.

Szaleństwo i Nierząd — to bliźniąt dwoje, mówi nam Rops
w swej akwaforcie *La Prostitution et la Folie dominant le Monde*:

Po pod łękiem niebios, nasadzonych gwiazdami, depcą kulę
ziemską plecami wsparte, spojone: Szaleństwo, w postaci koźlono-
giego trefnisia i Nierząd, zobrazowany przez ladacznicę o obliczu
bestyjalnem, o grzywie, skudlonej na oczy, o nozdrzach, węszą-
cych szał, występki, bezecne karesy, o ustach szerokich, rozziaja-
nych krzykiem łajdackim. Wyje, jak pies na księżyc, ły, uraga
gwiazdom, a może i Temu, co gwiazdy te rozsiał. Brzydka ona,
a urocza, pospolita, a rasowa, nieledwie wykwinna. Stare, po-
błażliwe, dobrotliwie uśmiechnięte, ojcowskie Szaleństwo obnaża
ją po uda, ukazuje jej powaby, rajfuruje, stręczy, zachęca.

Nie braknie w dziele Rops'a i tych koncepcyj, już ściśle z de-
monologii katolickiej czerpanych, jak np. ta *Czarownica*, ulatująca
po przez mroki nocne hen! daleko na Łysą Górę, na gody weselne
z kochankiem — Belzebubem. Wywróconą, omdlałą na myśl przy-
sztych rozkoszy Sabbatu, podtrzymuje bies rogaty, druh jej i družba.

W Rops'ie, zda się, pokutuje duch zaklęty egzorcystów z epo-
ki „Epidemii Czarownic,“ duch mnichów wylekłych, mamrocących
wybladłemi usty: „vade retro Satanas!“ — kiedy ich nawiedzało
marzenie, bijących w dzwon na trwogę w chwilach, gdy dusza

słabła, a ciało praw swych się domagało. Dla nich za całą filozofią życiową „memento mori“ starczyło. Żyli — by umrzeć! Ich myśl to i wiarę parafrazuje wiele plansz Ropsowskich. Ta np. karta grobowa:

W trumnie, całunem zasłanej, leży ona: kobieta, młodość, piękno, życie. Nad nią schylona do dzikiej pieszczoty — Śmierć. Zaszyla się Kostusia pazurami w łono białe, kościotrupie usta swe, jak ssaki pijawcze, w brzuch po jelita wraziła lubieżnie. Pod pocałunkiem tym Oblubienica, hoża, kraszy pełna, w konwulsjach szczęścia i zgrozy oddaje się Kochankowi swemu cmentarnemu. Plansza nosi tytuł: *Mors et Vita*.

Życie i Śmierć! Te dwa krańce streszczają całe dzieło Rops'a. Szuka on wszędzie kontrastów Początku i Końca, alternatyw błogości i mąk, kojarzeń radości i pokuty, aliażu nierządu i szaleństwa, logicznego następstwa chuci i nieuleczalnej tęsknoty. W tragizmie wiecznych głodów niezaspokojonych — karę widzi wszeteczeństwa. A w złem, które nad światem króluje — dzieło Szatana, Pana czarnych zastępów, Monarchy czeluści piekielnych.

Bo Rops, jak Barbey d'Aureville, wierzy w dyabła. Są oni współwyznawcami: jedną i tę samą religię mają, jeden i ten sam strach. A wstęp do *Diaboliques* Barbey'a mógłby być zarówno przedmową do demoniczno-zmysłowych dzieł Rops'a.

W przedmowie owej mówi ten „moralista chrześcijański“ (jak siebie nazywa d'Aureville), że „wierzy w Szatana i jego wpływ na świat cały, nie szydzi z mocy jego, ale opowiada o chytrych jego podszeptach, żeby dusze czyste zastraszyć i ostrzedz.“

Taka też jest wiara, taka idea i taki gest twórczy Rops'a.

*

*

*

Pyszny to, dumny artysta, pewny siebie, świadomy swego niezwykłego talentu. Wie, iż jest jednym z paru mistrzów XIX stulecia, którzy rozumieli i oddać umieli formy ciała ludzkiego, w całej jego prawdzie i bogactwie, a potrafili plastycznie odtworzyć lęk, mózół, frasunek myśli ludzkiej na bezdrożu.

Znający wartość swą — Rops pogardza tymi, co dzieła jego na siedm spustów radzi zawrzeć, jako niemoralne, „nieprzyzwoite,“ sprośne.

W królewskiej dewizie: „*aultre estre ne veulx*,“ niby w więzy z kości słoniowej, zamyka duszę swą i za pawęż, za herb mu

i godło to służy, kompensatą mu jest za długie lata zapoznania. Jak z dzieł jego, tak i z listów pięknych, bystrych, głębokich, skrzących się dowcipem i werwą, o stylu błyskotliwym i barwnym, wyziera ta sama wyniosła pogarda, ta sama obojętność na łatwy poklask snobów, na powodzenie u handlarzy, na uznanie akademickich bonzów.

Rops pozostawił 600 akwafort, 300 litografij, co ze stanami (états), których nieraz jest po trzy, cztery przed planszą ostateczną, przedstawia pracę wielką, dorobek, jaki niewielu artystów przyniosło światu.

Dodać należy, że niektóre *vernis mous* — wykończone, jak obrazki Brawer'a, lub Mieris'a, jak akwaforty Callot'a. Pod lupą widzisz dopiero éme całą wykwintnych, filigranowych szczegółów, wypieszczonych twarzyczek lilipucich, figurynek o formach i wyrazach skończenie doskonałych. Na płaszczyźnie niewiększej, niż paznokieć — masz rój amorków, satyrków, elfów, bogunek. A zawsze całość góruje nad detalem, idea opanowuje i owłada materią.

Akwaforty Rops'a w szarej tonacji, rzadko mają te kontrasty świetlne plansz Rembrandta'a lub Goi. Subtelne one a proste, rysunek w nich i ustrój pewny, jasny, powiem — klasyczny. Nie szuka Rops efektów gwałtownych światłocienia, ale tworzy harmonię spokojną, a niewypowiedzianie wabną. Czernie, zniuansowane dają pełną gamę: od tłustej, gęstej czerni — aż do półtonu krepy przejrzystej. Równowaga cieni i światła, tłumikiem jakby złagodzonych — niezwykle piękna i miła.

W pierwszej manierze rylec Rops'a siepie tło siekanką rysów, — później rylec ten łągodzi się, staje nieledwie penzlem delikatnym, zachowując wszakże energię i siłę narysu, czystość i pewność linii. Technika Rops'a razem prosta i wyszukana, malarska — bo plansze jego zdają się być nasiąkłe kolorem, rzeźbiarska — dzięki zupełnej pożytywności kształtu.

*

*

*

Felicyan Rops — to wielki poeta, głęboki i bujny, zmysłowy a mistyczny, a także (kto wie?!) może i moralista wielki, bo ukazał, iż za węglem szalu — *szaleństwo*, na dnie rozkoszy — *boleść*, a po obłądnych uciechach ciała — *przesyt, czczość i żal*.

JAN TOPASS.

„PSALMODYA POLSKA“⁶³

Wespazyana Kochowskiego.

Jak po chorobie nieraz ciało zdwojonych sił nabiera, zmysły odzyskują dawną lub nawet większą jeszcze sprężystość, a w żyłach tętni krew pragnieniem nowych czynów, tak po najbardziej nieudałym utworze, po „Niespłonym Krzaku“¹⁾ duch Kochowskiego z zakolebanej równowagi artystycznej twórczości ozdrowiał, a zaostrzony smak estetyczny i spotężniła moc natchnienia w braterskim współdziałaniu ukuły koronę jego poetyckiej działalności, krystalizując się w najpiękniejszym dziele całego życia.

W roku 1695 ukazał się „Trybut Należny Wdzięczności Wszystkiego Dobrego Dawcy Panu Bogu albo Psalmidia Polska za Dobrodziejstwa Boskie dziękująca. Przez iedną Nayliższą Creaturę r. 1693 napisana, a do druku 1695 podana. W drukarni Jasnicy Góry Częstochowskiej.“

Pewne poważne okoliczności pozwalają jednak przypuszczać, że „Psalmodya“ nie powstała w jednym roku, lecz przez szereg lat, a dopiero gładząca ręka ostatecznego wykończenia nadała im dzisiejszy kształt formalny. Rok 93 będzie wprawdzie rokiem napisania niektórych psalmów, ale dla innych będzie właśnie datą ostatecznego obrobienia. Tak psalm V, który w pobieżnym szkicu wylicza królów polskich, zatrzymuje się przy abdykacyi Jana Kazimierza i biada nad Polską, pogrążoną w grubej żałobie, bo nie zrodziła jeszcze króla;²⁾ znak niepochybny, że powstał w roku 1669. Tak psalm VII zdaje się do tego samego odnosić czasu,

1) *Rubus incombustus*, 1693.

2) Psalm V, str. 11, w. 12 od dołu (Edycya Turowskiego).

ponieważ tchnie aż nadto atmosferą zbliżoną do rokoshu Lubomirskiego i chwila, w której poeta ciosał „Kamień świadectwa.“¹⁾ Tak psalm VIII niewątpliwie powstał także w tym roku, bo nie w innym „snopek—herb Wazów—umknął z pola polskiego.“ Tak psalm IX, przez omyłkę druku mówiący o elekcyi z roku 1672, z największą pewnością ma na myśli Michała Wiśniowieckiego, skoro powiada: „Radujcie się mężowie polscy, że ze krwi własnej otrzymaliście pana, którzy, obierając cudzoziemców, *dotądście sami siebie niegodnymi berła sądzili.*“²⁾ Tak psalm XV, skarżący się boleśnie na inwazyę turecką, pisany jest po stracie Kamieńca, a przed zwycięstwem chocimskim, o którym wśród grobowego nastroju nie wspomina, czyli więc przed listopadem roku 1673. Psalm XXI znowu dziwi się komecie z r. 1680 tak żywo, że trudno przypuścić powstanie psalmu w późniejszym czasie. Cały cykl psalmów, opiewających wyprawę wiedeńską (XXII, XXVI, i XXX—XXXII), prawie się widzi, jak współcześnie rośnie pod świeżym wpływem wypadków. Inne zaś, między poprzednie wplecione, nie mając według wszelkiego prawdopodobieństwa chronologicznego porządku; nie da się przynajmniej wytoczyć żadnego poważniejszego argumentu przeciw mojej hipotezie, mnie zaś w sukurs idą pochopnie różne refleksye. Naprzykład psalm XVI, któryby wypadł według powyższych obliczeń na czas po stracie Kamieńca, a przed zjawieniem się ognistej komety, jest hymnem pochwalnym na cześć N. P. Maryi, a zarazem kwintesencyą „Ogródu panieńskiego;“³⁾ czyliż więc nie jest naturalnym wniosek, że współcześnie wyplłynął z pod pióra, a więc w latach 1674—76? Oto dalej psalm XX, dziękujący za dobrodziejstwa boskie, jakie poetę spotkały, przede wszystkim cieszy się z tak długo napróżno, a z utęsknieniem oczekiwanego syna, nie płacze zaś jeszcze po żonie. Narodziny syna przypadły w 1674, zgon żony w 1677, lub w 1678 roku; dlaczegoż psalm nie miałby być błyskiem natychmiastowego uniesienia radości po spełnieniu marzeń tembardziej, że tak szczęsnego zdarzenia poeta nigdzie w szatę poezyi nie oblekł? Mielibyśmy nawet przerwę, odpowiadającą abdykacyi,

¹⁾ W obronie Lubomirskiego napisany w r. 1666 wyd. w r. 1668. Patrz Psalm VII, w. 3—9.

²⁾ L. Dziama (Psalmodya Polska. Kraków, 1896. Sprawozd. gimnazjum św. Jacka) chce koniecznie odnieść ten psalm do elekcyi Jana III. Żadną miarą! Przed nim był już jeden Piast: Wiśniowiecki.

³⁾ „Ogród Panieński“ 1681.

o jakiej poeta w dodatku do „Dzieła Boskiego“¹⁾ wspomina, to jest porzucenia poezji na szereg lat, może z powodu śmierci pierwszej żony, a z pewnością z powodu gorącego zajęcia się pisaniem historii.²⁾ Ta przerwa przypadłaby między psalm XX a XXII. Wprawdzie wyłom w niej robi psalm XXI o komecie, powstały w 1680 roku, ale współcześnie ożywienie poetycznego ducha jest zrozumiałe, skoro w tymże roku Kochowski przygotowywał do druku „Chrystusa“ i „Ogród panieński.“ Powrót do twórczości artystycznej w XXII psalmie z tych samych wpływa pobudek, co w „Dziele Boskiem,“ mianowicie oniemiały posąg Memnona, wschodzące słońce sławy wiedeńskiego zwycięstwa, przesyciło dźwięk rodzącymi promieniami. Końcowe psalmy wreszcie mają smutny nastrój, spowodowany chorobą i przecuciem blizkiej śmierci poety, zbliżającego się do wielkiego klimakteryku,³⁾ są więc najbliższe daty, uwidocznionej w tytule, czyli roku 1693. Pierwszy tylko psalm, jakby wstęp do całości stanowiący, może jest w ostatnim czasie napisany; ale właśnie ten jego introdukcyjny charakter, przypuszczalnie z rozmysłem nadany, zalecał go do wysunięcia na czoło. Porządku on zatem nie burzy. Rozumiem dobrze, że przytoczone refleksje nie są niezbitymi dowodami;⁴⁾ lecz popierają tylko hipotezę chronologicznego układu, która zbudowana jest na kośćcu politycznych psalmów. Hipoteza ta zaś tem jest podobniejsza do prawdy, że jest jedynym rozwiązaniem zagadki, czemu w „Psalmodyi“ zmieszano rozmaite materye, a nie rozgatunkowano ich według podobieństwa treści.

Reasumując powyższe wywody, snujemy wniosek: psalmy powstały między 1669 a 1693 rokiem i w genetycznie chronologicznym porządku weszły w książkę.

Wydanie „Niesplóconego krzaku“ w r. 1693, tudzież ciężka choroba, wypełzła w kołtun, trapiąca dolegliwie poetę według skarg z XXXIII psalmu—były zapewne przyczyną, dla której dopiero w 1695 roku „Psalmodya“ ukazała się w druku. Dłużej zaś Kochowski zwlekać pewnie nie chciał, gdyż jak miecz Damoklesa wisiła nad nim groźba śmierci w klimakterycznym roku ży-

1) Dzieło Boskie Wiednia Wylbawionego, 1684.

2) Klimakterów.

3) Klimakter: okres 7 lub 9 lat. Wielki klimakteryk $7 \times 9 = 63$ rok.

4) W psalmie XIII, któryby wypadł na r. 1671 jest mowa, że autor starcem—według mojej hipotezy miał, pisząc ten psalm, dopiero lat 38. Tę sprzeczność tłómaczę wygładzeniem późniejszym w 1693 r.

cia, a łatwo pojętą może być chęć oglądania duchowego dziecka, zanimby Parka nie żywota przecięła.

Pierwszą myśl napisania „Psalmodyi“ podało zapewne rozczytywanie się w psalmach Dawida i trenach Jeremiasza—powiada Leszek Dziama, który zadał sobie trud zestawienia miejsc zapożyczonych przez Kochowskiego.¹⁾ Nad każdym psalmem położył poeta jako motto wiersz z Dawida, tylko trzeci zaczyna się cytatem z Jeremiasza. Tymi wierszami w polskiem tłumaczeniu otwierał następnie psalmy, w których osnowę wplatał i inne wyjątki z Dawida, zachowując wiernie pisownię Wujka. Mimo tego jednak i mimo licznych reminiscencyj z pisma świętego, uważać można i trzeba „Psalmodyę“ za dzieło nawskroś oryginalne. Od Kochanowskiego począwszy, suty szereg poetów tłumaczył i przerabiał Dawidowe psalmy, a więc i Grochowski, i Miaskowski, i Gawiński i wielu innych; nikomu natchnienie nie poddało myśli oryginalnego naśladowania w ten wysoce artystyczny sposób. Kochowski, zwłaszcza w psalmach patryotycznych, jakby tylko u królewskiego śpiewaka zaczerpnął nastroju, a w drogę szedł sam. Tak psalmy VIII i X wprost odbiegają od motto, inne, jak XIV i XVIII idą równolegle, ale i samodzielnie. Do hebrajskich mistrzów dołączyło się dwóch polskich kaznodziej, Piotr Skarga i Szymon Starowolski, którego „Lament“²⁾ miał w 1696 roku dać tytuł jednemu z wierszy Kochowskiego. Wziął on od nich częścią ton wyrzutów, czynionych polskiemu społeczeństwu z powodu grzechów publicznych i prywatnych, częścią rozpamiętywanie nieszczęść, Polskę spotykających, i łask, któremi ojczyzna obsypuje swych synów, częścią chęć nawrócenia dyssydentów.³⁾

Kiedy wsłuchuję się w majestatyczną muzykę „Psalmodyi“, nie mogę oprzeć się uczuciu głębokiej czci dla duszy, z której, jak z cudownych organów, płyną poważne dźwięki kołyszących sercem melodyj. Widzę, jak ona powoli dąży drogą życia i jak raz w raz gasną w niej ognie ziemskich namiętności. Natomiast inne, dziwnie piękne światło poczyna rość z tlejącego zarzewia, aż przesycawszy ją do cna, wybiega z niej w żywych promieniach

¹⁾ Sprawozd. gimn. św. Jacka w Krakowie 1896, str. 12. Rzecz Dziama jest bardzo słaba. Obliczenia co do genezy nie wytrzymują krytyki. Wartość jedynie ma kwestya wpływów na „Psalmodyę.“

²⁾ „Lament strapionej Ojczyzny.“ Wyciągi Piotrowickie A. E. Koźmiana. Wrocław, 1842, str. 57 i nast.

³⁾ Patrz też Dziama str. 19—21.

i kładzie się błyszczącymi płamami na całym, otaczającym ją świecie. Zamienia się ta dusza zwolna w nieskazitelny kryształ, a wszystkie rzeczy, jakie się w niej odbijają, nabierają najpiękniejszego kolorytu czystej miłości. Kiedyś, za młodych lat poety, wabiły go i czarowały ziemskie ułudy. Teraz pod tężejącym powiewem religijnego uczucia strząsnął z siebie jadowite żądze, jak pod tchnieniem silnego wiatru drzewo strząsa gąsiennice. Oto czuł, że mieszkanie jego duszy jest próchniejącym statkiem, do którego wielką wagę przykładał, a który niósł go na groźne skały grzechu. Jakby za karę, żre go choroba i odbiera swobodę umysłu. Rośnie w nim więc bez przeszkody pogarda dla wszelkich złud światowych i niczem niewzruszona obojętność dla ziemskich bogactw, a dusza jego zamyka się wewnętrznem życiem pragnień, jak się perłowa zamyka koncha.

„Byłem w kolebce dzieckiem, teraz starością pochyłony chodzę; nie widziałem nigdy, aby sprawiedliwego Bóg opuścił, albo złośnik dobrze skończyć miał.“¹⁾ On nie tylko wierzy, ale nawet wie już, że tak jest; doświadczenie długoletniej wędrówki ułożyło się w wiarogodne świadectwo i zabiło resztę niepokoju zwątpienia, jak stwierdzenie winy odbiera życie zbrodniarzowi. Jakoż dusza poety położyła się z pokorą u stóp Boga. Oto On jest początkiem i końcem wszystkiego, jest jedynem szczęściem i niezawodzącą ostoją; człowiek sam sobie złego przyczyną, w stosunkach ludzkich rozstrzygającym pierwiastkiem samolubna korzyść, z grzechu zysku żadnego, ziemia kolce powabem róży osłania. Fala religijnego uczucia wezbrała w niepohamowaną rzekę i zalała wszystko. Do duszy weszła wiara z nadzieją i rozgościła się w niej wielmożnie. Optymizm nie zdołał wprawdzie zupełnie zniszczyć czarnego poglądu na świat, ale pewna pogoda wewnętrzna rozwiązała ręce dobrośliwości. Oczy starca zaczęły się uśmiechać łagodnie do ludzi, witał każdego przebaczeniem najgorszych względem siebie win, a miłosierdzie zamieszkało w jego domu. Nawet na publiczne grzechy nie umiał się gniewać, strofował je tylko, przestępnym tłómacząc wielkość ich przewinień. Ile razy obejrzał się w przeszłość, tylekroć spostrzegał niezliczone łaski, jakimi go Bóg obsypał. „Miejże w nazwisku bogacza Boga: ja go w złotej mierności szukam i tą drogą do Niego przejść usiłuję.“ I tak się też stało. Bóg nie odmawiał mu szczęśliwych chwil i miernego dostatku, a dobre serce poety nie znalazło miary wdzię-

¹⁾ Psalm XIII.

czności. Ale tymczasem coraz bardziej obracało się ku przyszłości, aż myśl coraz uporzeczywiej zapatrywała się w grób i pozagrobowe życie. Ufność w miłosierdzie Boże obiecywała, że niebo nie zamknie się przed nim; czasem jednak zdejnował go lęk, czy nie grzeszy zbytnią nadzieją i w takich razach z niepokojem oglądał się w przeszłość, aby zrobić rachunek sumienia. Litość nad samym sobą wypędzał precz, z przerażeniem mierzył rozmiar swoich grzechów i z największą pokorą bił się w piersi, błagając o zmiłowanie. Lecz Boża łaska napełniała go wtedy, jak słońce ziemię napełnia jasnością i rozpraszała mrok lęku.

Oto są nastroje duszy, w jakich powstała część psalmów. Najsilniej i ostatecznie dźwięczy wśród nich nuta porywającej wdzięczności za hojne dobrodziejstwa niebios. Ale jest jeszcze jeden nastrój, który niemile ma razić: nastrój zabobonu. W bardzo nawet religijnych umysłach ówczesnej Polski zabobon potrafił dla siebie zdobyć bodaj małeńki kącik: i dziś można obserwować podobne zjawisko. Kochowski z pewnością owładnięty był duchem epoki; chcę go jednak obronić przed przesadnymi zarzutami. Przedewszystkiem niema w tem nic zasadniczo okropnego; zabobon bowiem tego rodzaju nie wpływał na osłabienie religijnej wiary, a kto wie nawet, czy jej w prostych nie umacniał sercach. Kochowski czuł, że wyroki Opatrzności są niezbadane i stanowcze wyraził przekonanie, że sztuczki wróżbitów wobec tego pozostają bezsilne.¹⁾ Inna rzecz z wnioskami, wysnutymi z dziejów. Owóz sądził, że życie pojedynczego człowieka i historia ludów upoważniają do przypisania szczególniejszego znaczenia liczbom siedem i dziewięć. Dzisiejsza nawet medycyna nie przeczy zasadniczym przemianom ciała w siedmioletnich okresach. Daleko idące wnioski, dziś wydają się śmieszne, wówczas były charakterystyczne, wogóle są omyłką. Kochowski uległ pospolitemu błędowi, ale ani szkodliwym, ani fatalnym, ani absolutnie bezrozumnym, ani pogańskim nie był jego zabobon.²⁾

¹⁾ Psalm XXVII, str. 47, w. 11–12.

²⁾ Właściwie nie powinno się nawet tej wiary jego nazywać zabobonem, bo nie polegała ona przecież na idyosynkrazji, pochodzącej z instynktu, ani też na tradycyjnej, a nie popartej doświadczeniem ani rozumowaniem, obawie w złe skutki pewnych cyfr lub znaków. Przeciwnie: była wyrozumowaną, jakkolwiek mylnie; była niby opartą na obserwacji, jakkolwiek pobieżnej; była niby wnioskiem wysnutym z dziejów człowieka i ludzkości, jakkolwiek wnioskiem fantastycznym.

Religijne uczucie zmieszało się w duszy poety tak ściśle z uczuciem patryotycznym, jakby między niemi nastąpiło chemiczne połączenie, a amalgamat ten przepoił drugą część psalmów. Jest w nich upomnienie złych synów ojczyzny,¹⁾ rozpaniętywanie ciosów, jakie były w Polskę, groźba kar w braku poprawy, ale przede wszystkim jest znowu porywająca wdzięczność za dobrodziejstwa, któremi Bóg obdarza Polskę i gorące uniesienie miłości połączonej z zachwytem dla ojczyzny.

Pierwiastki tego zachwytu tkwią we wszystkich władzach duszy Kochowskiego, obejmowały go czarującymi splotami i jako poeetę, i jako katolika, i jako człowieka, i jako szlachcica.

Oto pod Wiedniem z pobliskich wzgórzy lotem pędzi husary, łopocą skrzydła, furkają proporce, Boże! cokolwiek spotkają, rozbijają w puch! W wyobraźni poety lecą niby białe orły.²⁾ Jak nie miłować tych ludzi sercem prostych, wielkich męstwem i te niwy, które im są kolebką! Przecież i Bóg mówi: „Jan jest zwierchnością nad dziedzictwem mojem, a jako serc ludzkich prostotę, tak i pól sarmackich równiny zdawna ukochałem.“³⁾

„Prawą wiarą powstała Polska; a uszanowanie kościoła uczyniło jej znaczną między narody reputacyą.“⁴⁾ Wielkie, potężne, pełne chwalebnej przeszłości państwo! A nie zawahało się oddać swojej korony Jagielle, byle Litwę nawrócić z błędnej drogi pogaństwa: „Woleliśmy poddać się w obcą rękę, żeby tylko przyczynić poddaństwa Chrystusowi.“⁵⁾ Piers katolika i Polaka rozpie-rało szlachetne uczucie dumy i miłości.

Dla człowieka, ceniącego swą godność i dla szlachcica, żaden kraj na świecie nie mógł mieć tego uroku, co Polska. Gdzie taka równość i taka swoboda? Gdzie państwo, któreby nigdy nie wyciągało zaborczej ręki? Króla u nas „nie żywot niewieści, albo marna kolebka na tronie posadzi; ale wola Boga zastępów przez głosy mnogiego rycerstwa panem uczyni.“⁶⁾ Z krwi własnej możemy sobie obrać władcę. W żadnem też innem państwie niema „balsamu wolności,“⁷⁾ jak w Polsce „veto,“ którego zresztą

1) Spokojnym tonem, jak czasem Skarga.

2) Psalm XXIV i XXXI.

3) „ VII.

4) „ V.

5) „ V.

6) „ IX.

7) „ XI.

nie powinno się używać, jeno je mieć nietykalnem zapewnieniem swobody. ¹⁾

Pod szczególną opieką Bożą zostaje Polska. Bóg uczynił sobie z niej „winnicę Chrystusową“ ²⁾, czasem „choćaż poniży, znowu podniesie głowę“ ³⁾ jej i uczyni, „że w szyderstwie zostaną, którzy nad nią przewodzić usiłują.“ Oto właśnie posłał Jana III, aby „nademdloną dźwignął“ ⁴⁾. A potem „uprzedził go natchnieniem, aby upadłe dźwigał chrześcijaństwo“ ⁵⁾, więc w zdrowiu jego zdrowie całej Europy spoczęło ⁶⁾ i Polska stać się miała Dawidem narodów ⁷⁾. Jakoż stała się istotnie i Bóg dał świadectwo jasne, że uważa ją za naród wybrany.

Te są pierwiastkami miłości Kochowskiego i wysokiej czci dla ojczyzny. Wierzy on w specjalną misję Jana III, wierzy, że Polacy są narodem wybranym. Czy zadał sobie pytanie, na co? Jakie ich posłannictwo? Czy dał jasną odpowiedź? Właściwie nie. Według Kochowskiego Bóg otoczył Polskę szczególną opieką przede wszystkim *nie w jakimś celu*, ale *z pewnego powodu*, za pilnie przechowaną wierność, za gorliwą służbę. Następnie zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że przywilej łaski Bożej obowiązuje do dalszej służby i do gromienia wrogów kościoła. Ale choć wierzył w posłannictwo, choć Polskę Dawidem narodów gotów był nazwać, choć podawał *przyczyny* wyboru, nie podał *celu*; stąd w rozwoju idei mesyanicznej jest korzeniem i pędem, nie jest kwiatem.

Psalmy podzielić można na trzy części ⁸⁾. Jedne są ściśle osobiste, drugie patryotyczno-polityczne; wśród mieści się trzecia grupa o podkładzie ogólnoludzkim.

Do grupy osobistej należą psalmy: IV, XVII, XX, XXVIII, XXXIII, XXXIV, XXXV. Na pograniczu między tą a ogólnoludzką grupą stoją psalmy II, III i XII, które wprawdzie także powstały pod wpływem osobistych refleksyj, ale mogą być i do innych ludzi zastosowane, jako błagalna lub korna modlitwa.

¹⁾ Psalm XI.

²⁾ Psalm XXXVI.

³⁾ Psalm XIV.

⁴⁾ Psalm XXVII.

⁵⁾ Psalm XXII.

⁶⁾ Psalm XXV.

⁷⁾ Psalm XXII.

⁸⁾ Psalmów jest 36; tyle, ile liryk w każdej księdze „Niepróżnującego próżnowania.“

Do grupy ogólnoludzkiej należą psalmy: I, XIII, XVI, XVIII, XIX, a dalej VI, X i XXI, które jednak już z myślą o Polsce są pisane. Przejściem do następczej grupy jest psalm XXIX, drugą swoją częścią wręcz do niej należący.

Do grupy patryotyczno-politycznej należą psalmy: VII, XI, XXVII (z przewagą pierwiastku politycznego) i V, VIII, IX, XIV, XV, XXII, XXIII, XXIV, XXV, XXVI, XXX, XXXI, XXXII, XXXVI (z przewagą pierwiastku patryotycznego).

Charakter psalmów jest rozmaity. Psalmi osobiste są albo dziękczynne (IV, XX, XXVIII), albo korne (III, XII, XXXIII, XXXIV), albo błagalne (II, XVII), albo modlitewne (XXXV). Psalmi ogólnoludzkie mają odmienny ton. Są dwa pochwalne (I, XVI), jest jeden z zabarwieniem polemicznym (VI), inny z odcieniem błagalnym (X), ale i te dwa ostatnie i wszystkie inne (XIII, XVIII, XIX, XXI, XXIX) przedewszystkiem mają oczywiście ton refleksyjno-moralny. Psalmi patryotyczne dzielą się na dziękczynne (V, IX, XXVI), tryumfalne (XXXI, XXXII), błagalne (VIII, XV, XXII, XXIII) i modlitewne (XIV, XXIV, XXV, XXX, XXXVI); polityczne zaś są znowu refleksyjno-moralne (VII, XI, XXVII).

Rzadko jednak zdarzy się psalm, w którymby utrzymany był ten sam charakter od początku do końca. Większość wygląda jak kolorowy marmur, przerźnięty grubą żyłą jednofarbną, albo jak chryzolit z ośrodkiem jednolitą dominującym barwą, obok której wiją się inne załamanyimi kręgami.

W dziękczynnych psalmach osobistych poznajemy skromność pragnień poety, co chętnie poprzestaje na małym umie. Bóg dał mu „mierny strumyczek do napoju“ spłacheć ojczyściej ziemi, a nie pozwolił, by był kławą albo sądową kondemnatą obłożon (IV). Więc skoro mu na niczem nie schodzi, skoro pociechę z syna mieć może (XX) i skoro odebranie pierwszej żony cnotą i dobrocią drugiej zostało nagrodzone (XXVIII)—niemasz kresu uniesieniom wdzięcznego serca.

Ale wśród kwiatów szczęścia czołga się wąż smutku. Kiedy zawiodły płochy ziemskie pragnienia, to zarazem w nagiej szpetocie stanęła przed oczyma jego sumienia długa wstęga grzechów. Więc w kornem rozmodleniu zaczyna wyznanie win, świadectwo własnej nicości daje (III) i w publicznej spowiedzi oświadcza, że zaparcie się Boga pociągnęło, jak pierwsze ogniwo, łańcuch następnych czynów (XII). Nie czas kryć się z pochoпноścią do zlego i próżnością w młodych latach: „Bo gdy rozmyślam przeszłe dni młodości mojej, przypominam, że tam włosów piąkszenie nie

mogło być bez obrazy Bożej i zgorśzenia bliźniego. Za to teraz zrosły się w kupę, jako strąki bobu rozkwitłego.“ Choroby zwały się nań, ale to zasłużona kara za grzechy (XXXIII); oby tylko te doczesne utrapienia zważyły szalę przewinień i oby w przyszłym życiu zbawienia zaświtało słońce (XXXIV).

Już raz gorliwie błagał o pomoc w powstaniu z grzechów (II), ale wówczas śmierć była daleko. Kiedy zaś teraz wartkieni przybliżyła się krokami, kiedy choroba wyssała siły ciała, a równocześnie w duszy sumienie chmurą wyrzutów burzę niepokojów wznieciło, kiedy nie tylko ludzie w ogóle, lecz nawet rodzina i krewni okazali się samolubami, poczuł, jak zobojętnienie dla rozkoszy świata powleka ciemnym kirem wszystko dokoła, a światłem jaśnieje wyłącznie Bóg; więc cały przemienił się w błagalną modlitwę o zgon, jaki pobożni ludzie miewają (XVII). A gdy zdawało mu się, że Parka ujęła już nożycami nić jego żywota, wówczas napisał „Testament katolicki“ w pełnem nadziei oczekiwaniu chwili, w której przyjdzie owa światłość i ogarnąwszy duszę jego, na łono wieczności przeniesie (XXXV).

Ten piękny psalm zamyka pierwszą grupę osobistą. Drugą rozpoczyna „Wyznanie niepojętej wszechmocności Boskiej“ (I). Trąca on strunę pochwalnego hymnu: „Zaprawdę, wielceś mądry i mądrze wielki.“ I kiedy potęgę Bożą śpiewa, wtóruje na cześć Bożej Matki napisanym psalmem (XVI), który sam więcej wart, niż cały „Ogród panieński.“

Lecz są ludzie, co nie wierzą tak, jak on, i na potępienie się skazują; ku dyssydentom tedy twarz obraca (VI). „Klasztorny zbieg“ (Luter) i „Niezdrowy warchoł“ (Kalwin) ciągnął ich w przepaść piekła, więc i przekonywa i perswaduje, żeby do prawdy prawego kościoła się nawrócili.

Tymczasem jednak i inne zło pociąga jego moralizatorskie pióro, a przede wszystkim serce, któreby cnotę wokół widzieć chciało. Przekupstwo sędziów, wykręty prawne gromi w X i XVIII psalmie. Bez sprawiedliwości runie Rzeczpospolita, toteż o mądrość dla sądzących, o bezwzględność w sądzeniu, o słuszość w udzielaniu nagród błaga Boga z całej siły (doskonały psalm X). Zarazem „krótkie szczęście złych a pewną zgubę i zatracenie opowiada“ i karcę i napomina, że krótką trwałość doczesnych dóbr płaci się wieczną niedolą, a cnota, poniewierana i biedna, właśnie po nagrodę do niebios podąży (XIII). Ubogim i utrapionym miłosierdzie trzeba okazywać, co się zaś im ofiaruje, to Bóg w dwójnasób wróci, jeszcze łaskę i opiekę swą doda. „Widziałem w stoku wody strumień i pomyśliłem, że to jest podobieństwo jałmużny,

którą kto daje potrzebmemu; ona też wzajem czyni, żeby nie był dający potrzebnym. A jak nie wiem, skąd w źródle wody dostaje; tak się i dziwuję, że ze źródła wszyscy czerpią, a strumień z niego niezmnieszony płynie“ (XIX).

Potem zastanawia się poeta nad ostrzegawczymi znakami, jakie Bóg zsyła, zanim ukarze (XXI). Lecz nad wszystkie znaki wznosi się sumienie, nieuśpiony stróż wewnętrzny, który ozwie się zawsze, ilekroć dusza w grzech popadnie. Kochowski nad grobem ¹⁾ stojąc, nie obawia się nikogo, prócz Boga i wysłuchawszy tajnego głosu prywatnego i publicznego sumienia, bez osłonek liczy występki i winy. Bogacze unieśli się pychą złotą, kobiety pychą piękności, kapłani nie pełnią należycie obowiązków.

„Rada i Senat, cymbał głośny i śpiża brzęcząca, kształtują wota, żeby ich słyszano; mówią, żeby swoje przewieść; kontrowertują, żeby co wytargować.

„Rycerstwo znikczemniało, męża walecznego nie pytaj; a żołnierz, pod dachem siedząc, jakby nie słyszał płaczu w niewolę zabranego pospólstwa.

„Masz Boga w sercu, kto sfalszował monetę? kto podatki nienależycie zabiera? i tą krwią z ubogich wyciśnioną, siebie i dom swój bogaci.

„Po miastach luszytk ustawiczny i stroje zbyteczne, a pospólstwo drą aż do czopa, żeby były zbyt kom nakłady“ (XXIX).

Tak piękny psalm przewodzi nas do trzeciej grupy, patryotycznej.

Idą najpierw trzy o politycznym podkładzie. Jeden z nich, bardzo dobry, wykazuje niemoc zagranicznych panujących, którzy chcą Polskę i wolność Polaków zgubić w czasie elekcji (VII). Drugi „Na mieszania i rozrywania sejmów“ potężnie karci prywatę (XI). Trzeci ostrzega, że jeśli Polacy się nie poprawią, czeka ich nieszczęście w klimakterycznym 1700 roku. Zatracono obyczaj przodków, „a co przedtem mówiono, że więcej skrzypek na smyczek, prządka na wrzeciono, niż husarz na kopią weźmie; to teraz słuszniej rzec, że więcej mający za pieniądze kupi, niż odważny żołnierz krew lejący wysłuży.“ Biada, gdyby tak dalej zostać miało! (XXVII).

Dziękczynnie rozpoczyna psalm V, który tonem skargi, stylem, z daleka Krasieńskiego przypominającym, przechodzi chwały pełną historię Polski. Potem poeta dziękuje za to, że ojczyzna

1) Według własnego przekonania.

może królów z własnej krwi obierać i że Bóg ich naznacza (IX), potem w tryumfalne uderza dzwony za zwycięstwo wiedeńskie (XXVI)¹⁾, potem „Potrzebę parkańską z Turkami przypomina“ (XXXI) i znowu „Wyjście wojsk polskich z Węgier“ tryumfalnym opiewa hymnem (XXXII)¹⁾. Czasem ręce składa do gorącej modlitwy. Śliczna jest „Prośba o dobrego pana podczas interregnum“ (VIII). To znów jego „cytra obraca się w smutek, napój w truciznę“ i wylicza nieszczęścia, jakie waliły się na Polskę (XIV), albo słucha „Lamentu kościoła Bożego na inwazyę turecką“ (XV). Oba te psalmy są bardzo piękne. Dwoma modlitwami towarzyszy wyjeżdżającemu Janowi III pod Wiedeń (XXII i XXIII), w formę modlitwy też ujmuje opis bitwy (XXV) i powitanie cesarza z królem (XXX).

Wreszcie prześlicznie zamyka psalmodyę „Wyznaniem opieki Boskiej nad koroną polską“ (XXXVI).

Zanim Kochowski napisał psalmy, odbył długą drogę przez pole religijnej twórczości. Oprócz licznych liryków cztery²⁾ utwory większych rozmiarów dostatecznie o tem świadczą. Ale nigdy nie uchwycił właściwego tonu, zawsze rozbijał się nieszczęśliwie o formę, którą wprawdzie na pozór zręcznie pokonywał, w istocie jednak obrabiał z mozołem. Niezaprzeczoną miał łatwość techniczną, z dziwnym jednak brakiem przeczności utrudniał sobie nad siły zadanie przez chorobliwą systematyczność. Zarazem próbował domieścić pierwiastek epicki, na którego właściwe rozprowadzenie brakowało mu talentu. Skrępowany wystruganemi z góry ramkami, miarą zdolności, nie pozwalających na epickie przedsięwzięcia i formą wiersza, dobieraną mało szczęśliwie, dopiero w „Psalmodyi“ rozputał się całkowicie i uchwyciwszy po długiem zarzuceniu poezyi właściwy ton dla religijnego natchnienia i właściwą formę, wzniosł się na niedotkniętą polską stopą wyżyny. Nie znaczy to wcale, jakoby przerósł wszystkich poetów, jacy go poprzedzali. Ale jest to stwierdzeniem faktu, że podążył w kierunku dotąd przez nikogo nie obranym i że w tym kierunku doszedł bardzo daleko. Przykładu, podobnego „Psalmodyi“, nie potrafiłaby wykazać nawet cała literatura europejska do końca XVII wieku³⁾.

W psalmach położyły się obok siebie, jak się barwy tęczy kładą, najbardziej narodowe pierwiastki poezyi polskiej. Głęboka

1) Wspaniale.

2) Różaniec. Chrystus cierpiący. Ogród panieński. Rubus.

3) Nehring: Studya literackie. „W. Kochowski.“ Poznań, 1884.

religijność, patryotyzm moralizujący i dumny, rycerskość i zamiłowanie do polityki, kaznodziejstwo nawet nie u księży, dydaktyzm z dobrem powszechnem na oku, wreszcie lekki wiew mistycyzmu — znalazły dobitny w nich wyraz. Kochowski jest następcą Skargi, ale w pierwszym rzędzie jest poprzednikiem mesyanicznego ruchu, zaczętego przez Brodzińskiego i Mickiewicza. Nie spoglądał w daleką przyszłość, bo zbyt przeszłością a przede wszystkim współczesnością był zajęty. Lecz dobitnie wypowiedział trzy prawdy, że *Polska jest narodem wybranym*, że *Bóg ją za przeszłość specjalną opieką otacza* i że *w walce z Turkami jest ona Dawidem narodów*.

Forma psalmów może nie być uważana za wyjątkowe arcydzieło; musi być jednak uznana za twór rzetelnej piękności. Wielka prostota chwytła się serc czytelników i ujmuje je miłymi splotami. A przecież forma jest bajecznie kwiecista! Kochowski w poetycznej wyobraźni każdą myśl widział rozciągniętą w obraz, w jego duszy każde uczucie przedmiot swój malowało farbami. Ton archaiczny, ton świątyń gotyckich zdaje się zmuszać do przypuszczenia, że psalmami, zanim je napisał, modlił się Kochowski w krakowskich kościołach. Pojęcia zamieniały się w żywe istoty i otaczały go głośnym chórem: stąd Psalmodya zarośliła się od personifikacyi. Podniosłość nastroju musiała być niepospolicie wysoka, skoro wtłoczone w jego naturę wyobrażenia szkolne o potrzebie klasycznych domieszek, jeśli poezya ma być rzetelna, i rozkapryszone zamiłowanie do makaronu w prozie — jakby nie istniały wcale. Psalmi nie zostały znęcone żadną niestosownością, żadnym cudacznym pomysłem. Słowa obcego pochodzenia są akurat w takiej ilości, że czytelnika przyzwyczajonego, chociaż trochę, do języka XVII wieku, nie razią zupełnie; bez nich nie da się przecież pomyśleć współczesnego utworu.

W niektórych zwrotach, w porównaniach zwłaszcza, jest barok, ale najlepszego gatunku. Linia analogii wydłuża się i skręca w misterne gzygunki, które posiadają wiele uroku, choćby się wołało prostotę odrodzenia. Na „Psalmodyi“ w sposób łatwo zrozumiały odbił się wpływ poezji biblijnej, a więc specjalny rodzaj wschodniego baroku. „Zwydrzałbym był bowiem większemi dostatkami obłożony i jako szkapa zbyt nim wytuczony obrokiem, wierzałbym przeciw Zakonowi“ ¹⁾. Jeszcze drastyczniejszy przykład jest w psalmie XXV: „Pogrom zwierzę trzcinne i rozpędź zgromadzenie byków między krowami; a pachołaty kozieł, roz-

¹⁾ Psalm IV.

czosnąwszy kopyto, niechaj nam dalej pozorem straszny nie będzie.“ Dobitność i plastyczność porównań jest w ogóle niezrównana. „Ciało wala się w błocie nieprawości, jako wieprz tyjąc młótem rozkoszy“¹⁾. Rozkosz odbiega „żał i ból na umyśle, jako osa żądło zostawując“²⁾. Dzięki ochrzczeniu Litwinów mamy z „przeciwników przyjaciół, jako latorośl w pniak wolności przez wiarę wszczepiona“³⁾. Ponieważ na Polskę runęli postronni, „kurczymy się jak skóra od ognia, albo krew zbiegająca się ku sercu.“

Gra słów tak przedtem fatalnie ulubiona, teraz „quantum mutata ab illa!“ „Miejże w nazwisku bogaczu Boga...“ — jakże doskonale użyta! Metafory, w „Ogrodzie“ rozpuszczane, jak cukier w wodzie, tu są co krok piękniejsze. Psalmi wyglądają jak kwiecista łąka. Moznaby się spierać, czy mała różnorodność zdań nie osłabia uroku, ale jest ona niemal jedynym chwastem. Rozumowanie i dowodzenie także bywa słabsze; poeta zsuwa w rząd raczej pewniki, ażeby zadziwiały i porywały ogromem i potęgą prawdy. Obrazy w opisach nie zahaczają się wzajem o siebie w długie pasmo, lecz wyglądają, jak klucz rozciągniętych żórawi, płynących odosobnionymi plamami po niebie. Modlitewny bieg myśli, widzeń i uczuć, modlitewne nastroje i modlitewne tony stały się kanwą, na której artystyczna ręka poety wyszyła „Psalmodyę polską.“

D-R STANISŁAW TUROWSKI.

1) Psalm II.

2) Psalm III.

3) Psalm V.

JAN GADOMSKI.

Kula mordercza przecięła pasmo dni człowieka, który stał na jednej z wybitniejszych placówek naszego życia publicznego i zarówno talentem znacznym, jak i pracą wyteżoną, służył krajowi i współziomkom wiernie, oddanie, z pożytkiem.

Zginął ś. p. Jan Gadomski, redaktor *Gazety Polskiej*.

Urodzony w r. 1859 w Warszawie, z ojca Jakóba i matki Barbary ze Zbierzchowskich, Jan Gadomski kształcił się początkowo w Siedlcach, a następnie w Warszawie, gdzie ukończył gimnazjum realne. Studya wyższe odbywał w Petersburgu i w Krakowie, gdzie na wydziale filozoficznym otrzymał poważne przygotowanie w zakresie nauk literacko-historycznych, prawnych i społecznych. Wykształcenie to uzupełnił jeszcze podróżami po Francji, Niemczech i Austrii.

Wrodzony temperament pchnął go wcześniej na niwę pracy publicystycznej. Już w r. 1880, a więc jeszcze jako słuchacz uniwersytetu, zaczął Gadomski drukować pierwsze swoje artykuły w krakowskiej *Reformie*, na której czele stał podówczas Tadeusz Romanowicz. Szczerze demokratyczny i głęboko patriotyczny kierunek tego pisma, który, obok Romanowicza, reprezentowali Adam Asnyk i Mieczysław Pawlikowski, znalazł w Gadomskim gorącego i śmiałego rzecznika. Tam, w otoczeniu ludzi światłych i zdających sobie sprawę z powagi i znaczenia, jakie posiada słowo drukowane, umocnił młody publicysta swoje przekonania i nabrał wiary w budzący się talent własny.

Talent ten w niedługim czasie miał też zabłysnąć nie tylko w dziennikarstwie, ale i w literaturze pięknej.

W kilka lat po powrocie do Warszawy, w r. 1886 nazwisko Gadomskiego stało się głośne. Było to po konkursie dramatycznym im. Wojciecha Bogusławskiego.

Z konkursu tego wyszedł *Larik* — utwór niewątpliwego talentu i szczerego natchnienia poetyckiego. Pisany podniosłą, pełną ognia, piękną i porywającą prozą, *Larik* pod osłoną allegoryi historycznej, osnutej na tle walki starożytnych Celtów z Rzymianami, niósł społeczeństwu polskiemu hasła, które szeroko oddźwiękiły w narodzie, szukającym wskazań na ciężką i trudną chwilę dziejową. Poznano odrazu Rzymian i poznano Celtów, a popularność *Larika* była tak duża, że kiedy pomysłowy księgarz ówczesny, ś. p. Teodor Paprocki, rzucił w świat tanie 10-cio groszowe wydanie poematu, cenzura uznała za stosowne i potrzebne zaabronić nadal książkowych wydań tego dzieła i niedopuszczyła go na scenę.

I nie mogło być inaczej. Słowa *Larika*, pełne miłości dla ziemi ojczystej, przepojone uwielbieniem wolności, krzepiące nadzieją, smagające bezsilny smutek i zwątpienie — nie mogły brzmieć ze sceny polskiej w okresie największego jej ucisku.

„Święty kawałku wolnej ziemi! — wołał *Larik*. Na twoich polach rozwiązane usta do mowy, która z serca płynie. Na twoich polach rozwiązana wola do czynów dobrych, których pragnie dusza. Na twoich polach człowiek tak się czuje, jak ptak w powietrzu, jak ryba w wodzie, jak dzika koza na górskiej wyżynie, jak wszelka czuła istota w żywiole, który przez wolę bogów był jej dany, aby jej słabość wspierał...”

A tymczasem na polach tej ziemi, której poeta niósł przez słowa swego bohatera otuchę — usta były zakneblowane, to, co kryło się w sercu, musiało być ukryte głęboko, wola do dobrych czynów była związana i więzy te były tak mocne, że rychło siłę ich poczuł na sobie pisarz, zrywający się do szerszego i swobodnego lotu.

Umilkł.

Oczekiwano po nim nowych dzieł, nowych objawień natchnienia twórczego, które, zdawało się, że Gadomski posiada w stopniu, wiele wróżącym. Być może, że je posiadał, ale nie umiał i nie chciał tamować ich bezpośredniości, nie godził się na dobrowolne zníženie lotu, na zamknięcie duszy w klatce — więc milczał.

Stanął natomiast do pracy zmuđnej, nieopłatnej, codziennej, jako publicysta, w tem przekonaniu, że idąc za tym pługiem i obsiewając rolę zdrowem ziarnem, będzie miał mniej rozgłosu i sławy, ale więcej świadomości spełnionego obowiązku.

Zaciągnawszy się w poczet współpracowników *Gazety Polskiej*, najpoważniejszego dziennika politycznego w ostatniem ćwierćwieczu, pracował Gadomski w tem piśmie za redakcyi Lea i Dyonizego Henkiela, pisując przez szereg lat przeglądy polityczne i artykuły krytyczne. Dziennikarstwo pochłonęło go zupełnie.

Nazwisko jego znikło z horyzontu literackiego. Szerszy ogół dowiedział się o Gadomskim ponownie dopiero wówczas, kiedy w r. 1898, po zamknięciu *Gazety Polskiej* przez władze administracyjne i po rozwiązaniu poprzedniej redakcyi, stanął on na czele odnowionego pisma, jako jego wydawca i redaktor.

Tu zaznaczył swoją ruchliwość, przedsiębiorczość i pomysłowość zarówno w kierunku wydawniczym, jak i wewnątrzno-organizacyjnym.

Bezpłatne dodatki książkowe zjednały mu w szybkim czasie znaczną ilość czytelników, a dbałość o utrzymanie *Gazety* nie tylko na dawnym jej poziomie literackim i publicystycznym z czasów Henkiela, Sienkiewicza, Bogusławskiego, Krajewskiego i innych, ale także o rozszerzenie jej wpływów i zainteresowanie ogółu podnoszonemi przez nią kwestyami w postaci zgrabnie przedsięwziętych ankiet, że wspomniny konkurs cnoty i bojkot towarów niemieckich — postawiły go w rzędzie najlepszych współczesnych redaktorów polskich.

W tym czasie nakładem redakcyi *Gazety Polskiej* wyszło też kilka dzieł istotnie cennych, świadczących o tem, że Gadomski nie tylko był pomysłowym przedsiębiorcą, ale dbał również i o korzyść umysłową swoich rodaków.

Należy tu przedewszystkiem *jedyna*, obszerna, po polsku wydana *Historya Sztuki* Springera w wybornym przekładzie Kazimierza Broniewskiego, a dalej *Historya wieku XIX-go* i *Opis ziem zamieszkanych przez Polaków*.

Działalność Gadomskiego w całym tym okresie z konieczności musiała być ściśle zastosowana do warunków. Ucisk polityczny krępował życie kraju na całym jego obszarze, a przedewszystkiem krępował to, co dotyczyło piśmiennictwa. Kleszcze cenzury zaciskały się coraz mocniej, a w walce o myśl wolną wyczerpywały się siły nawet najwytrwalszych bojowników. Dopiero dwa lata ostatnie przyniosły pewne zmiany. Powiał wiatr inny. Osłabiona przez wojnę japońską i zdyskredytowana przez biurokratyczne rządy budowa państwa rosyjskiego zaczęła trzeszczeć i pękać, a przez utworzone w niej szczeliny przedarły się pierwsze promienie słońca lepszej nadziei.

Padły one i na ziemię Polską, wobec czego życie przytłumione i smartwiałe zaczęło się powoli budzić. Atmosfera stawała się lżejszą, płuca zaczynały nabierać powietrza...

W tej atmosferze można już było mówić „mową, którą z serca płynie,“ tą mową, którą tak pragnął przemawiać autor Larika.

I wtedy to Gadomski stanął po raz drugi przed swoim społeczeństwem i stanął takim, jakim był istotnie — mądrym, utalentowanym, miłującym kraj pisarzem i obywatelem.

Udział jego w komisji senatora Kobeki, referat wygłoszony na posiedzeniu tej komisji w sprawie wolności prasy polskiej, gorące przemówienia, jakie wygłosił w obronie słusznych i niezaprzeczonych żądań narodu — zwróciły na niego oczy wszystkich i od tej pory rosło zainteresowanie się tem, co mówi i pisze redaktor *Gazety polskiej*.

W całym blasku zajaśniał jednak talent Gadomskiego dopiero wówczas, kiedy po dniu 30 października roku zeszłego, dreszcz wstrząsający przebiegł Polskę, a prasa pozyskała istotną możliwość otwartego przemówienia.

Wówczas to na łamach *Gazety Polskiej* ukazał się znamienity artykuł Gadomskiego, rozpoczynający się od słów „Pękły żelazne okowy.“

Artykuł ten był początkiem całego szeregu innych, które odtąd zjawiały się niemal codziennie i coraz lepiej odsłaniały oblicze Gadomskiego, jako publicysty.

Był to czujny, ostrożny, przewidujący szermierz idei narodowej.

Stanowisko jego było narodowe i demokratyczne, ale niezależne od stronnictwa, które te dwa hasła ma wypisane na swoim sztandarze. Bezpartyjność pozwalała mu krytycznie patrzeć na wszystko, co przynosiła z sobą chwila tak brzemienista w wypadki, busolą zaś wśród zrywającej się burzy były dla niego interesy ogólnonarodowe, interesy kulturalne Polski, w której odrodzenie wierzył i którą pragnął dźwignąć nie drogą konwulsyj rewolucyjnych, ale drogą rozwoju pokojowego i wyteżonej pracy pokolenia, na wyższy, należny jej, szczebel rozwoju ekonomicznego, społecznego i narodowego.

Stąd wynikło jego żywe starcie się ze stronnictwami lewicy i stąd pochodzi, że w obozach skrajnych zarzucano mu niejednokrotnie wsteczność i obskurantyzm.

Gadomski rzucając sobie rękawicę przyjął i wystąpił w szranki w pełnym uzbrojeniu. I nagle pióro jego błysnęło jak najostrzejszy floret, a poważny i rozważny głos jego zabrzmiał donośnie.

Uczciwy, posiadający siłę przekonania, odwagę cywilną, talent i wprost niezwykle zdolności dyalektyczne, jako polemista, zajął Gadomski w publicystyce polskiej ostatniej doby miejsce pierwszorzędne. Argumentacja jego była zawsze tak zgrabna, logika tak niewzruszona, krytycyzm tak głęboki, że w obozach przeciwnych nie umiano odeprzeć jego ataków tą samą bronią. Miotano się więc i rzucano z pianą na ustach na pisarza, który nigdy nie wyszedł z równowagi i nigdy nie dał się unieść namiętności. Forma, jakiej używał Gadomski w polemikach, była zawsze formą człowieka kulturalnego, umięjącego nawet w gniewie i słusznem oburzeniu zachować miarę i takt. Obalał on przeciwnika nie erudycją w zakresie nauk społecznych i politycznych, nie bronią, dobytą z arsenału teorii i doktryn, ale „złowym rozumem,“ trzeźwością poglądów, jasnym formułowaniem myśli i żelazną konsekwencją słów, które umiał liczyć i ważyć, choć ich nie dobierał, choć nie starał się o ich szczególny dźwięk i błyskotliwość.

Przeciwnik wszelkich „odruchów“ w życiu i w polityce, Gadomski pierwszy zwrócił uwagę na niebezpieczny kierunek, jaki przybrała po manifeście 30 października agitacja stronnictw skrajnych i wskazywał na zbytnią pochopność, z jaką na lep tej agitacji szły nietylko masy ludu roboczego, ale i pewne odłamy inteligencji polskiej. Ostrzegał przed anarchią, a stając gorąco w obronie istotnej wolności, przeprowadził odrazu ścisłą linię demarkacyjną pomiędzy rewolucją, zawierającą w sobie pierwiastki twórcze, a niszczącą i dezorganizującą życie anarchią. Strejki ekonomiczne, a zwłaszcza polityczne, rujnujące przemysł krajowy, a nie zapewniające ludowi żadnych zdobyczy pozytywnych, miały w nim surowego sędziego i przeciwnika wówczas, kiedy opinia większości, bałamucona wypadkami chwili, godziła się na taką metodę walki.

Widząc następnie nędzę robotnika, terror partyjny, walki bratobójcze, pierwsze próby „wywłaszczania,“ pierwsze napady na kasy rządowe i oceniając trafnie z jednej strony atmosferę okresu przełomowego i istotną dążność partyj wywrotowych, z drugiej zaś — psychikę ciemnego tłumu wyrostków, zaciągniętych pod sztandar rewolucyjnych organizacyj bojowych — postawił odrazu trafną dyagnozę choroby społecznej, która ogarnęła obecnie kraj cały i taką ciężką, krwawą chmurą zawisła nad nim.

I jeżeli w ostatnich czasach proces otrzeźwienia zaczął wśród wielu odłamów naszego apolitycznego społeczeństwa szybko postępować naprzód, to jest w tem niewątpliwie znaczna zasługa

Gadomskiego, który pierwszy do tego otrzeźwienia nawoływał, bił w dzwon alarmowy i starał się zwalczać rozkład, przeciwstawiając mu pracę czynną i wyteżoną, której sam był zwolennikiem.

W ostateczny tryumf tej pracy wierzył on równie mocno, jak wierzył w lepszą przyszłość Polski, w lepszą przyszłość swojego narodu, w którego siły ufał bezwzględnie.

Nieprzyjaciel osłabiającego duszę zwątpienia, szukający oparcia dla swojej nadziei nawet w najdrobniejszych, dodatnich faktach życia codziennego, był Gadomski, jako publicysta, siewcą zdrowych, krzepiących idei, które nie odrywając się zbyt wysoko od ziemi, wskazywały ludziom ich powszednie, ale ważne i niezbędne do wypełnienia obowiązki.

Zszedł z pola przedwcześnie i z wielką szkodą dla społeczeństwa, w chwili bowiem tak ważnej, jak obecna, był nietylko pożytecznym, ale niezbędnym. Przytem talent jego publicystyczny w nowych warunkach zaczął się rozwijać tak szybko i tak obiecująco, że jako *pisarz polityczny*, Gadomski w przyszłości byłby stanął niewątpliwie w szeregu najzasłużeńszych, posiadał bowiem wszystkie do tego warunki.

Z. D.

ROZMAITOŚCI.

Zjazd niemieckich socjalistów w Mannheim.

(Socialdemokratischer Parteitag).

Pomimo głośnych zapowiedzi organów socjalistycznych, że tegoroczny zjazd w Mannheim da nowe świadectwo siły stronnictwa i wywrze wpływ na wewnętrzną i zewnętrzną politykę państw europejskich — Zjazd ten w rzeczywistości wykazał istniejący już w niemieckim obozie socjalistycznym rozłam i, jak wyrażają się niektóre organy prasy, „okrył się śmiesznością,“ chcąc pogodzić powstałe w łonie stronnictwa, zasadnicze różnice poglądów na cele i taktykę partii, oraz usiłując wynaleźć dla swych postanowień sztuczne formułki, któreby wszystkich zadowolniły.

Aby zrozumieć należyte przebieg i znaczenie interesujących pod wielu względami obrad Mannheimskich, trzeba uprzytomnić sobie skład niemieckiej partii socjalistycznej, a także wypadki ostatniego roku.

Obóz socjalistyczny w Niemczech składa się z dwóch grup oddzielnych: organizacyi robotniczej (syndykaty „Gewerkschaften“), której zadaniem jest walka ekonomiczna o polepszenie warunków bytu robotnika i organizacyi partyjnej, t. j. zarządu partii dla prowadzenia walki politycznej, wyborczej i parlamentarnej; w skład pierwszej organizacyi wchodzi robotnicy, w skład drugiej — ludzie swobodnych profesyj, inteligenci, dotychczasowi przywódcy ruchu socjalistycznego; pierwsi są ludźmi praktyki, dążącymi do celów najbliższych, utylitarnych; drudzy — więcej teoretykami doktryny, sięgającymi myślą i czynem w dalszą przyszłość. Długi czas obie organizacje działały zupełnie zgodnie, t. j. syndykaty robotnicze szły ślepo za komendą zarządu, czyli sztabu partii; w miarę je-

dnak rozwoju syndykatów, zaczęły występować na jaw różnice interesów obydwóch grup i syndykaty, które stanowią teraz, liczebnie i materalnie, rzeczywistą siłę partyi, zażądały, aby cała taktyka partyi odpowiadała ich interesom ¹⁾. Różnice szczególnie uwydatniły się w ciągu roku przeszłego i przyjęły nawet ostrą formę, wskutek niedyskrecyi, popełnionej przez gazety: „Einigkeit“ — organ anarcho-socyalistów i „Vorwaerts“ — organ socyal-demokracji, które ogłosiły drukiem pewne dokumenty partyjne charakteru konfidencyonalnego.

Rozumiejąc dobrze, że oddzielenie się syndykatów robotniczych byłoby politycznem samobójstwem partyi, zjazd Mannheimski dokładał wszelkich starań, aby złagodzić powstałe niesnaski, dając żądaniom syndykatów możliwe zadośćuczynienie i wynajdywał dla swych postanowień takie formułki, w których mogłyby się ponieść sprzeczne z sobą rezolucye syndykatów robotniczych i organizacyi partyjnej. W rezultacie pojednanie nastąpiło, pozornie zapanowała zgoda, ale czy na długo — przyszłość pokaże, bo jak mówią Niemcy: „Verständigung und Zusammenbleiben sind nicht dasselbe.“

Główną przyczyną niezgody jest kwestya ogólnego bezrobocia (Massenstreik); jedni bowiem z niemieckich socyalistów trzymają się zasady, że „Generalstreik ist Generalunsinn,“ drudzy przeciwnie, uważają taki strajk za wykonalny i w niektórych wypadkach, pożyteczny.

Zjazd syndykatów robotniczych, w Kolonii, w maju 1905 r., wystąpił w swej rezolucyi jasno i stanowczo przeciw myśli ogólnego bezrobocia o charakterze politycznym i przeciw ogólnemu świętowaniu 1-go maja, zalecając organizacyom robotniczym energicznie przeciwdziałać podobnej propagandzie, którą usilnie od pewnego czasu prowadził w berlińskich lokalnych organizacyach robotniczych znany anarcho-socyalista D-r Friedeberg. Rezolucya Kolońska nie podobała się wielu członkom partyi i wywołała ostre z ich strony zarzuty przeciw kierownikom i taktyce syndykatów; tak np. znana i u nas niestety Róża Luxemburg, w jednym ze swych publicznych wystąpień, wyraziła się, że ta rezolucya świadczy o „selbstgefällige Borniertheit der Gewerkschaftsführer in Köln.“ Prawdopodobnie pod wpływem wypadków w Rosyi, widzianych zdaleka, myśl ogólnego bezrobocia zyskiwała coraz

¹⁾ Do syndykatów należy obecnie w niemieckiem państwie około trzech milionów robotników.

więcej zwolenników w kołach niemieckich socjalistów; na dorocznym zjeździe partii w Jenie, w jesieni 1905 r., stała się przedmiotem ożywionej dyskusji i znalazła tu w większości zebranych przychylnie uznanie. Nie tylko radykalni członkowie, ale i sam osiwiwały przywódca partii, August Bebel, wygłosił gorącą mowę, w której dowodził celowości i skuteczności ogólnego bezrobocia, w danych okolicznościach. Pod wpływem ogólnego nastroju i wygłoszonych mów, Zjazd w Jenie powziął rezolucję, że uważa zastosowanie w szerokich rozmiarach ogólnego bezrobocia w danym wypadku, jako jeden z najskuteczniejszych środków walki dla obrony przeciw zamachowi na prawa klasy robotczej (prawo wyborcze i prawo związków), lub też dla zdobycia nowego zasadniczego prawa. Ważnym w tym razie był nie tyle tekst rezolucji, ile sam fakt widoczny, że myśl, a więc do pewnego stopnia i projekt ogólnego politycznego bezrobocia w Niemczech, zostały przez Zjazd przyjęte.

Wobec sprzeczności dwóch rezolucji: Kolońskiej i Jeńskiej, zarząd partii, z Beblem na czele. odbył w d. 21 stycznia 1906 r. poufną konferencję z ogólnym zarządem syndykatów (General-kommission der Gewerkschaften), w celu możliwego wyrównania owej sprzeczności; następnie w lutym 1906 r. miało miejsce w Berlinie zwykłe zebranie zarządów syndykatowych robotniczych, na którem omawiano także powstałe nieporozumienie i przyjęto do wiadomości tłumaczenie Bebla, dane na poufnej konferencji, że zarząd partii nie ma zamiaru propagować ogólnego bezrobocia politycznego, lecz przeciwnie, w miarę swych sił, będzie się starał do niego nie dopuścić. To tłumaczenie Bebla, jak i protokoły innych obrad poufnych, zostały, bez wiedzy osób zainteresowanych, ogłoszone w organach partyjnych; wywołały naturalnie u wielu silne rozgoryczenie i dały powód do namiętnej między członkami stronnictwa polemiki.

W takich warunkach rozpoczął się zjazd w Mannheimie; miał on przed sobą trudne zadanie pogodzenia wszystkich: z jednej strony radykalnych anarcho-socjalistów i znajdujące się pod ich wpływem lokalne organizacje robotnicze, z drugiej — umiarkowane syndykaty robotnicze; jednocześnie musiał ratować zachwianą przez nietakt Bebla powagę Zarządu partii i nakoniec nie dać się partii rozpaść na oddzielne grupy.

Pierwszy krok na drodze kompromisów i pojednania zrobił sam Bebel; Mannheimskie jego przemówienia różniły się treścią, a jeszcze bardziej swym tonem, od gorącej mowy, wygłoszonej przed rokiem w Jenie. Na wstępie zaznaczył, że poglądy jego

w kwestyi ogólnego strejku pozostały bez zmiany, musi przytem objaśnić, że chociaż przemawiał w Jenie z ożywieniem (mit Begeisterung) za strejkiem zasadniczo, to jednak z żadnego jego słowa nie można było wywnioskować, żeby głosował za ogólnym strejkiem już w najbliższym roku; przeciwnie, zdaniem jego, urzeczywistnienie takiego strejku możliwem jest tylko przy istnieniu w masach odpowiedniego nastroju (Massenstreikstimmung), a nastroju tego niepodobna sztucznie wywołać; nauką pod tym względem jest przykład Rosyi, gdzie w sierpniu r. b. przywódcy partii socjalistycznej większością głosów zdecydowali ogólne bezrobocie; nie udało się ono jednak, gdyż większość robotników i organizacyj robotniczych nie chciała do niego przystąpić. Każdy rozsądny człowiek przyzna, mówił dalej Bebel, że grupa 400.000 politycznie zorganizowanych „towarzyszy,“ jakich liczy obecnie niemiecka partya socjalistyczna, bez współdziałania przewodników i członków syndykatów robotniczych, jest za słabą, aby oprzeć się militarnej potędze państwa, które rozporządza pięciu milionami bagnatów i w razie zamierzonego bezrobocia uciekłoby się do nadzwyczajnych środków (np. Kriegsrecht); zresztą, w państwie tak dobrze zorganizowanem, i tu zabrzniała w mowie Bebla nuta patryotyczna, istnieją inne skuteczne sposoby walki politycznej i ekonomicznej. Z tych powodów Bebel nie zgadza się z tymi, którzy myślą, że ogólne bezrobocie można w każdej chwili zaszczepić, lecz utrzymuje w dalszym ciągu, że ogólne bezrobocie pozostaje, jako skuteczny środek obrony, na przypadek zamierzonego przez rząd pogwałcenia kardynalnych praw klasy roboczej.

Pojednawcze przemówienia Bebla spotkały opozycję ze strony radykalnych odłamów partii; wystąpiła przeciw Beblowi Róża Luxemburg, zaprawiona na naszym gruncie w fantastycznej i bezmyślnej propagandzie strejkowej i w swym zapale posunęła się do wypowiedzenia zdania, że ogólne bezrobocie powinno być propagowane i przeprowadzane nawet wtedy, kiedy nie można liczyć na jego powodzenie; zdanie takie jednak u rozważnych Niemców nie znalazło uznania i posłuchu.

Przemawiał także za celowością ogólnego strejku stary, nieprzejednany doktryner partii Kautsky (Principienreiter, jak go nazywają), którego literackie prace są u nas teraz tak usilnie tłómaczone; występował on ostro przeciw syndykatom robotniczym, zarzucał im neutralność polityczną i żądał, aby dotychczasowe ich statuty, noszące charakter praktyczno-uitylitarny, zostały zmienione w duchu socjalno-demokratycznym; jako argument, dowodzący konieczności takiej zmiany, przytoczył przykład

angielskich Trade-Union'ów, które zdaniem jego znajdują się w stanie bezczynności i zupełnej stagnacji, bo nie są socjalno-demokratycznymi; przykład niezbyt przekonujący, gdyż w rzeczywistości angielskie organizacje robotnicze przedstawiają teraz siłę znacznie większą od niemieckich, jakkolwiek działalność ich niepodoba się Kautsky'emu.

Natomiast wszyscy przedstawiciele syndykatów robotniczych, ich główny kierownik Legien, a także znany rewizjonista D-r David, w swych przemówieniach, w myśl rezolucyi Kolońskiej, dowodzili bezcelowości i szkodliwości ogólnego bezrobocia i dopominali się zupełnego odrzucenia przez zjazd zapadłej w Jenie rezolucyi.

Debaty z obydwóch stron były gorące, wypowiedziano sobie nawzajem dużo zarzutów; w końcu jednak rozważa wzięła górę i drogą wzajemnych ustępstw ułożono rezolucyę, którą zjazd znaczną większością zaakceptował. Rezolucya zaznacza, że, pomimo zewnętrznych pozorów, nie ma sprzeczności w wewnętrznej treści rezolucyj zjazdów w Kolonii i w Jenie i że ogólne bezrobocie należy uważać, jako „ultima ratio,“ do której klasa robocza może się uciec, w odpowiednich warunkach i za wspólnem postanowieniem zarządów partyj i syndykatów robotniczych, dla obrony zagrożonych swych praw, jako to: prawa wyborczego, lub prawa związków. Ponieważ ewentualność taka nie jest do przewidzenia w warunkach życia państwa niemieckiego — tem samem znika w praktyce możliwość i potrzeba strejku i z tego względu na powyższą formułę rezolucyi mogli się zgodzić nawet przeciwnicy ogólnego bezrobocia, jakimi są w Niemczech przedstawiciele syndykatów robotniczych.

Druga rezolucya, powzięta na zjeździe Mannheimskim, tyczyła się stosunku syndykatów robotniczych do zarządu partyi; rezolucya stwierdza przedewszystkiem, że syndykaty są instytucją nieodzownie potrzebną dla polepszenia socjalnych warunków bytu klasy roboczej, uznaje następnie, że syndykaty są nie mniej konieczne, jak i zarząd partyi, i że obydwie te organizacje powinny działać zgodnie, za wspólnem porozumieniem i w końcu oświadcza, że dla osiągnięcia jedności celu i akcji, pożądanem jest, aby działalność syndykatów robotniczych była przejęta duchem socjalistycznym i że obowiązkiem każdego „towarzysza“ jest działać w tym duchu. Rezolucya została przyjęta prawie jednogłośnie.

*

*

*

Zjazd tegoroczny w Mannheim był bardzo liczny; stawilo się nań do 7,000 towarzyszy i towarzyszek, a w tej liczbie 400 delegatów rozmaitych stowarzyszeń. Ponieważ poprzednio odbyła się także w Mannheimie konferencja kobiet-socjalistek, element kobiecy na zjeździe był tym razem silnie reprezentowany. Obrady trwały od 23 do 29 września. Honorowymi gośćmi, którym ustępowano pierwszego miejsca, byli rosyjscy i polscy socjaliści, między nimi Róża Luxemburg, otoczona aureolą przebytych w Polsce i Rosyi prześladowań i cierpień; liczni jej przyjaciele nie zaniedbują żadnej sposobności dla reklamy, przechodzącej rzeczywistą wartość i znaczenie w partyi tej działaczki i teraz zgotowali jej owacyjne przyjęcie na pierwszym posiedzeniu zjazdu. Po otwarciu zjazdu, towarzyszka Zetkin zwróciła się do Rosyan z serdeczną przemową, zapewniając ich o sympatyi i pomocy ze strony niemieckich socjalistów; w imieniu Rosyan odpowiadała dziękując towarzyszka Bałabanowa (Ormianka); mówił także przedstawiciel rosyjsko-polskiej partyi terrorystycznej, Rotter, tłumacząc taktykę partyi. Nakoniec, przy zamknięciu zjazdu, na wniosek Bebla, zjazd jednogłośnie postanowił wyrazić uznanie rosyjskim rewolucyonistom w ich walce o wolność i udzielać im nadal pieniężnej pomocy i moralnego poparcia; podczas obrad zjazdu była także kilkakrotnie mowa o tem, że w razie zamiaru rządu niemieckiego interwencji zbrojnej do spraw wewnętrznych Rosyi, partya wszystkimi środkami będzie się starała przeszkodzić wykonaniu podobnego zamiaru.

Oświadczenia powyższe nie są platoniczne; dowodzi tego odczytane na zjeździe sprawozdanie roczne zarządu, z którego się okazuje, że z kasy niemieckiej partyi socjalistycznej wypłacono już rosyjskim partyom rewolucyjnym półmilion marek subsydium. Sprawozdanie konstatuje również powiększanie się liczby członków stronnictwa, pomyślny stan kasy i znaczny rozwój prasy socjalistycznej, zyskującej coraz większe koła czytelników.

O socjalistach można powiedzieć tak, jak o rządzie, że każdy naród ma ich takich, na jakich zasługuje; pomimo wyrażen sympatyi i zapewnień o wspólności celów, istnieje w rzeczywistości duża różnica między rosyjskimi i niemieckimi socjalistami. Ci ostatni złożyli na zjeździe w Mannheimie dowód wyrobienia politycznego i umiarkowania; są oni bowiem z natury swej i wychowania dalecy od rewolucyjnych zapędów, mają poszanowanie tradycyi, porządku, pracy i prawa; w dodatku, pomimo wszystkiego, pozostają w swej masie, niemieckimi patryotami, z serca i z rozumu. O patryotycznych uczuciach ogółu niemieckich socjalistów

świadczy wypadek, jaki miał miejsce na ostatnim zjeździe; D-r Liebknecht, syn jednego z twórców partyi, zwrócił się do zjazdu z wnioskiem założenia specjalnego biura dla antimilitarnej propagandy w wojsku; po przemówieniu Bebla, dowodzącem niestosowności i szkodliwości takiego biura, zjazd wniosek Liebknechta odrzucił; nie zechcieli więc niemieccy socjaliści pójść śladem Francauza Hervé.

Wobec tych danych, można twierdzić, że normalny rozwój niemieckiej partyi socjalistycznej, takiej, jak się ona wyrobiła na gruncie niemieckim, nie zagraża ani przyszłości niemieckiego narodu i państwa, ani też postępowej ewolucyi jego społecznego ustroju; niebezpieczna kwestya ogólnego bezrobocia, po sformułowaniu przez zjazd Mannheimski, straciła zupełnie praktyczny charakter i została przesunięta do sfery socjalistycznych utopij.



PIŚMIENNICTWO.

D-r. STANISŁAW KUTRZEBA. Docent Uniwersytetu Jagiellońskiego. *Historia ustroju Polski w zarysie*. Lwów, 1905.

W krótkiej przedmowie autor zaznacza, że brak podręcznika, któryby przedstawiał historię ustroju państwa polskiego, daje się odczuć oddawna. Nie mogą już dziś wystarczyć ani prace Lenigicha, Skrzetuskiego, pisane jeszcze za czasów bytu państwa polskiego, ani też dzieła Bandtkiego, Hoffmanna i Huppego, wcześniejsze od długiego szeregu rozpraw i monografij, które rozjaśniły w ostatnich dziesiątkach lat tak znakomicie te dzieje. Z podręczników historii polskiej, ostatni, który w pełnej mierze uwzględniał także i rozwój wewnętrzny państwa, „Dzieje Polski w zarysie“ prof. Bobrzyńskiego, oddawna już jest wyczerpany, a pisany był lat temu dwadzieścia kilka. Inne zaś późniejsze, bądź kwestyę ustroju traktują tylko ubocznie, nie wyczerpująco, bądź też o ile im więcej poświęcają miejsca—to przecież dają raczej tylko zbiór wiadomości z tego zakresu, niż pogląd na warunki i stopnie rozwoju. Że pomimo tego braku dotąd nauka polska nie zdobyła się na całokształt historii ustroju, przyczyn tego szukać należy w bardzo znacznych trudnościach. Podręcznik musi się opierać na pracach przygotowawczych, monograficznych, a choć tych prac jest już dziś dużo i to w części doskonałych, to przecież jeszcze niema opracowania szeregu kwestyj pierwszorzędnej wagi, a nawet w najważniejszych poglądach (np. na genezę ustroju społecznego) niema teorii, któraby ogólnie była przyjęta.

Z trudności owych autor dobrze sobie zdawał sprawę, zabierając się do ogłoszenia powyższego krótkiego zarysu. Że mimo nich przecież tej roboty nie zaprzestał, niech usprawiedliwieniem będzie wielka potrzeba takiego zarysu, tak silnie dająca się odczuć, a kto wie, jak jeszcze długo trzebaby czekać, nim badania

monograficzne ogarną wszystkie, niejasne dotąd kwestye. Autor spodziewa się, że jego próba zachęci innych, więcej powołanych od niego, do ponownego opracowania przedmiotu, do naprawienia tych błędów, które się znajdują w jego pracy. W przedstawieniu rzeczy kierował się autor dwoma względami: by dać całość równomierną, i by, o ile można, przedstawić tylko to, co już dziś w nauce zostało uznane i przyjęte. By dopiąć pierwszego z tych celów, autor przerobił, opracował źródłowo wszystkie te kwestye, które dotąd nie są dostatecznie zbadane. Oczywiście podał z tych badań tylko rezultaty. By jaknajmniej być zmuszonym podawać kwestye dotąd niedostatecznie opracowane, starał się autor skreślić tylko główne zarysy, jaknajkrócej. Stąd też tak nie wielki rozmiar książki w stosunku do wielkości przedmiotu. Mimo to cały szereg poglądów, często zasadniczego znaczenia, jest wyłączną własnością autora; było to jednak rzeczą nieuniknioną. Historia ustroju nie może być zlepkiem wiadomości, musi przedstawić rozwój życia i jego form, musi ten rozwój tłómaczyć.

Rozmyślnie przytoczyłem główniejsze myśli z przedmowy autora, albowiem one przekonywują czytelnika, że autor, pisząc podręcznik dla inteligentnych sfer, pojmował należycie zadanie i przygotował się do jego wykonania gruntownie. Przedstawiając ustrój dawnej Rzeczypospolitej polskiej przeciętnie inteligentnemu czytelnikowi, autor oparł się na niezawodnym materiale naukowo-monograficznym i unikał niczem nie ujętych hipotez i frazeologicznej historyozofii. Autor ujął historję ustroju Polski od połowy X-go wieku aż do r. 1795 w jeden udatny i wyraźny obraz. Ponieważ jednak w ciągu tego czasu doznawał ustrój państwowy Polski ważnych zmian, przeto konieczną było rzeczą dla jaśniejszego przedstawienia rozwoju państwowo-konstytucyjnego polskiego, podzielić go na pewne okresy. Że jednak zmiany w ustroju zwykle nie są gwałtowne i nie zawsze też schodzą się, o ile chodzi o różne działy życia społecznego czy państwowego, nie można kłaść, jako granicy, okresów ścisłych dat, lecz trzeba je ogólniej zaznaczyć. Uwzględniając takie charakterystyczne cechy epok w dziejach ustroju Polski, dzieli je autor na pięć okresów, z których ostatni jest właściwie tylko początkiem okresu przerwane go przez upadek państwa. Okresy są następujące: 1) Okres wstępny — do połowy X wieku, t. j. do powstania państwa polskiego. Jest to okres organizacyi rodowej. 2) Okres I-szy prawa książęcego, do wydania pierwszych przywilejów na rzecz społeczeństwa w końcu XII wieku. 3) Okres II-gi organizacyi społeczeństwa, do śmierci Kazimierza Wielkiego (1370) i przywileju Ko-

szczykiego (1374). 4) Okres III-ci, stanowy, do unii lubelskiej (1569) i pierwszego bezkrólewia (1572). 5) Okres IV-ty Rzeczypospolitej szlacheckiej, do reform, rozpoczętych w czasie ostatniego bezkrólewia (1764). 6) Okres V-ty reform, nieskończony, przerwany przez upadek państwa r. 1795. Obraz ustroju państwa polskiego przedstawił autor jasno, gruntownie, z należytem ustosunkowaniem rzeczy zasadniczych do szczegółów. Uwagi historyozoficzne nie są przeciążone pierwiastkami hipotetycznymi i przemawiają do przekonania. Jednem słowem podręcznik autora należy uznawać za rzecz udaną, odpowiadającą zadaniu i opartą na gruntownej znajomości przedmiotu. Ponieważ *Historya Ustroju Polski* ukaże się niewątpliwie w niedalekiej przyszłości w nowych wydaniach, przeto pozwolę sobie uczynić kilka drobnych uwag, które autor może uznać za stosowne uwzględnić. Przedewszystkiem we wszystkich dawniejszych podręcznikach prawa państwowego, czy też w nowszych monografiach państwowo-prawnych, spotykamy się z twierdzeniem: że miasta królewskie w XII w. przestały posłów posyłać na sejmy ordynaryjne i tylko na sejmach konwokacyjnych, elekcyjnych i koronacyjnych spotkać się z nimi było można aż do końca istnienia państwa polskiego. To samo, co autor utrzymuje, pisałem i ja w „*Konfederacyi i Rokoszu*,” powtarzając poglądy Lengnicha, Skrzetuskiego i następnych prawników. Studium wszakże Rymana p. t. „*Udział Krakowa w sejmach i sejmikach Rzeczypospolitej*” (Rocznik krakowski Tom VII), skłoni prawdopodobnie historyków prawa państwowego polskiego do ustępstwa na rzecz miasta Krakowa, który do ostatka wysyłał posłów na sejmy ordynaryjne. Drugim drobnym szczegółem, którym autor zarał specjalnie polski stylistyczny charakter, jest to mianowicie iż naszemu przywilejowi: *neminem captivari permittemus nisi jure victum*, powtórzonemu przez konstytucyę Ks. Warszawskiego (1807) i konstytucyę Królestwa Polskiego (1815), autor nadał brznienie angielskie: *neminem captivabimus nisi jure victum*. Jeszcze bardzo drobny zarzut ośmielę się uczynić autorowi, a mianowicie, że niedostatecznie ocenił doniosłość reform indywidualnych miejskich, rozpoczętych w 1733 r. przez miasto Poznań, a następnie, że o komisjach *Boni ordinis* za Stanisława Augusta nie uczynił żadnej wzmianki. W komisjach *Boni ordinis* (dla Warszawy była już komisya *B. ord.* w r. 1764) istnieje dowód niezbity, jak wczesnie przemyślał Stanisław August o reformach dla stanu miejskiego, a następnie jak gorliwie się stan szlachecki do nich przykładał.

Jedną uwagę historyzoficzną autora uważałbym za niezupełnie przekonywającą. Mianowicie ten ustęp, w którym autor oświadcza, że okres absolutyzmu nie był konieczny dla rozwoju Polski, nie on jeden tylko mógł ją poprowadzić naprzód. Te same rezultaty, które osiągnęły inne państwa przez okres absolutyzmu, mogła Polska uzyskać na innej drodze, przez dalszy rozwój praw społeczeństwa. W wyrażonem przez autora przypuszczeniu widzę bardzo mało prawdopodobieństwa i ów dalszy rozwój, niby sam z siebie i przez się, społeczeństwa wydaje mi się bardzo problematycznym. Nie chodzi tu bynajmniej o erę absolutyzmu dla Polski, bo wtedy, gdy absolutyzm mógł zapobiedz anarchii Rzeczypospolitej, mocarstwa ościenne byłyby go w interesie własnym nie dopuściły, ale nie o absolutyzm w tym wypadku chodzi, tylko o monarchizm dziedziczny, który, jak nam tego Anglia przykładem, zdołał utrzymać równowagę między stanami i nałożyć reprezentacyi państwowej należyty hanulec. Bez silnego, dziedzicznego monarchizmu rozwój praw społecznych przechylałby się zawsze więcej lub mniej w stronę uprzywilejowanych, co czyniłoby organizację państwową zbyt słabą wobec mocarstw sąsiadnych.

W Bibliografii, jaką autor podał na końcu pracy, dostrzegam drobne braki. Ponieważ jednak autor w podręczniku swym uwzględnił i prace, których nie uważał za stosowne wymienić, przeto zaznaczam, że nie podejrzewam autora, aby prace monograficzne, wymienione przezemnie, były mu nieznane, tylko uważam, że należało je przytoczyć dla tego, że swego czasu zdobyły sobie zasługę uzupełnienia w mniejszym lub większym zakresie historii ustroju państwa polskiego. Do takich prac znamienitych należą przede wszystkim: 1) Hoffinana: Listy o rządzie w Polsce, drukowane niegdyś w Przeglądzie poznańskim, następnie tłómaczone na niemiecki przez Weissenhorsta, a w końcu wyzyskane obficie i potajemnie przez Huppego. 2) Dzieło Krasińskiego o reformacyi w Polsce, które ukazało się po angielsku i po niemiecku. 3) Dzieło Lubowicza o reformacyi w Polsce, przynoszące nieco nowych źródeł i chwalone przez prof. Pawińskiego. 4) Lengnicha niemieckie dzieło, poświęcone historii prawnej miasta Gdańska. 5) Budanova, o niemieckiem prawie na Litwie i w Polsce. 6) Halbana, niemieckie studjum o prawie magdeburskiem w Polsce. Następnie, jeżeli autor przytoczył Kojalowicza: „Lublińska unija na lublińskim sejmie,” to uważałbym za nieodzowne wymienić: 7) Działyńskiego, wydanie Dyaryusza sejmu unii. I dzieło 8) Lubawskiego, p. t. Sejm litewsko-ruskij (po rosyjsku), uważam również za nie-

zbędne do zapoznania się ze stosunkami prawno-państwowemi dawnej Polski.

Historya ustroju Polski w zarysie d-ra Kutrzeby jest pierwszym podręcznikiem w literaturze polskiej, który odpowiedział naleyście zadaniu. Podręcznik powyższy jest w stanie zainteresować inteligentnego czytelnika i gruntownie go pouczyć o przeszłości polityczno-prawnej dawnego państwa polskiego.

A. R.

FRANCISZEK MORAWSKI. „Z Zachodnich kresów.“

Przed kilku tygodniami ukazała się w Krakowie, nakładem spółki wydawniczej książka p. Franciszka Morawskiego „Z zachodnich kresów“ omawiająca wielkopolskie stosunki. Wzięliśmy ją do ręki z zainteresowaniem, ciekawi coby z tej krainy smutku i przygnębienia, nowego jeszcze napisać można, a przeczytaliśmy jednym tchem, pociągnięci charakterem szczerości i bezparcyjalności zarazem, który bije ze wszystkich jej kartek. Miałoby się ochotę napisać w nagłówku tej książki motto jednej z Maupasant'owskich powieści „simple vérité.“ W rzeczy samej to prosta prawda, tak prosta, że wydawałoby się niemal mogło, iż każdy widziećby ją i opisać potrafił i dopiero po zastanowieniu spostrzeżga się, jak bystrego oka było potrzeba, by tę prawdę tak pochwycić, uprościć i uwydatnić.

Na tom ten spory składają się artykuły rozmaitych rozmiarów i treści, pisane stylem zawsze lekkin i jasnym, czasem wprost wesołym, nigdy pedantycznym, ani nudnym. Niekiedy jednak ten charakter pogodny dzieła nabiera tragicznego zabarwienia. Nie żeby autor wstępował na koturny i uroczystym przemawiał tonem, nie, zawsze ta sama trzeźwość wyobraźni, ta sama prostota wyrażień, ale przedmiot sam uchwycony jest w swej wewnętrznej rdzennej dramatyczności. Otwieramy tom, natrafiamy zaraz na pierwszej kartce na istną perłę ścisłej obserwacyi i artystycznej syntezy. Idziemy z autorem w odwiedziny do poznańskiego nauczyciela ludowego, jednego z rzadkich Polaków, którzy się na tem stanowisku utrzymać zdołali. Czytając tę krótką opowieść, rozumie się lepiej, jak po długich wywodach, ducha pruskich zaborów. Pozory zachowane znakomicie, naukowa rzekomo obiektywność humanitarna lubi nosić maskę, dobrobyt może się krzewić, cywilizacya widoczna. Lecz pod tym pokostem wstrętna kryje się rze-

czywistość. Spekulowanie na najniższych instynktach ludzkich święci tu tryumfy. Kto nie może taić i udawać, kto ma odwagę swych przekonań i gorące serce nosi w piersi, ten nie jest godny piastować urząd państwowy, ten niech zawczasu się usunie, by nie być brutalnie usuniętym. Szpiegowani na każdym kroku, lekceważeni przez zwierzchników, a pogardzani nieraz przez podwładnych, nauczyciele polscy w Prusiech przejść muszą wpierw przez szkoły obłudy i tchórzostwa, zanim powierzone im będzie wychowanie przyszłych obywateli kraju. Jesteśmy zaprawdę niepoprawnymi utopistami politycznymi. Mimo kolonizacji i hakatyzmu, mimo Wrześni i wydalai, znajdują się jeszcze, zwłaszcza w innych zaborach, admiratorowie i zwolennicy pruskiego systemu, bodaj czy nie pruskiego rządu. Ci niech przeczytają książkę z kresów zachodnich, a ochłoną chyba z niewczesnych uniesień. Widzimy tu w rozmaitych rozdziałach rozmaite przejawy germańskiego ducha. Raz będzie to *Pocziwy Niemiec*, wzorowy ojciec, czuły mąż i rządny gospodarz, ciążący dla rodziny grosze z subwencji rządowych za objawianie niemieckich uczuć, który mimo strachu jaki w nim budzi rozszalały antagonizm narodowy, mimo sentymentalizmu i pocziwości, idzie z musu, choć niechętnie, za germanizacyjną falangą. Albo znowu *Mój przyjaciel hakatysta*, tajny agent kolonizacji, czyż nie doskonały w swej pogardzie dla polskiego hrabiego, który przed laty kilkudziesięciułożył na jego wychowanie lub w swym liryzmie nad tą krainą ukochaną, która niebawem zakwitnąć ma jak makiem czerwonymi domkami pruskich kolonistów. A w *Testamencie krwi* inną znowu widzimy stronę niemieckiej duszy. Nie jest ona nam mniej wrogą, ale przynajmniej sympatyczniejszą trochę od poprzednich. Zbrojne junkierstwo pruskie, ta kasta zawsze uderzyć gotowa, posłuszna i sprawna, rozumująca tylko nad tem, jak skoczyć na łup i kły weń zapuścić, to niezbędna awangarda krętej dyplomacji i ekonomicznej zachłanności. Przesuwają się nam przed oczami różnorodne typy i różne epizody, poznajemy kraj i ludzi. I przekonujemy się, że wiele dawnych pojęć o Niemcach i o nas samych wymaga rewizji i odnowienia. Świat społeczny i polityczny nie mieści się już w tradycyjnych ramach. I jedno przebija coraz wyraźniej, to, że nie przemogą rządowe systemy, ani materialne środki przeciw trwałemu dążeniu uświadomionego ustroju narodowego

„Die fremden Eroberer kommen und gehen
Wir gehorchen aber wir bleiben stehen.“

Materya może tworzyć tylko materję, ducha nią nie stworzysz. To też miliony pruskie przeciw nim samym się obracają. Rzucając swym niemieckim poddanym złożoną przynętę, rząd obudził w nich nienasycony tylko głód złota, który pokusie zrobienia dobrego interesu, oprzeć się już nie może. Powstał też wśród nich nowy typ lojalności, patryotyzm opłacany, smutny objaw słabości ludzkiej, ale i dowód zarazem, jak niskim w swych pobudkach i środkach jest obecny germanizacyjny kierunek.

Jednakże nietylko ciemne kartki widzimy w dziele pana Morawskiego, są i wesołe i podnoszące ducha. *Król chłopów wielkopolskich*, patron kótek włościańskich, to postać tak tradycyjnie piękna a tak nowożytna zarazem, że w niej upatrywać można niejako symbol przyszłego społeczeństwa polskiego.

Już teraz Wielkopolska tem tylko się trzyma, że ma więcej od Niemców miłości do ziemi, do języka, do sprawy. Widzimy w książce „Z zachodnich kresów“ cały arsenał broni germanizacyjnej. Od stowarzyszenia ku „obronie“ Niemczyzny, od wojska mającego wytworzyć w rekrucie polskim bierne w obec rządu posłuszeństwo, aż do bibliotek i muzeów nęcących bogactwem naukowych i wytwórczych skarbów, nie braknie żadnego środka, który umysł ludzki stwarza, by pełnąć bezbronnego Polaka w objęcia pruskiego opiekuna. Brakuje tych, które stwarza serce. Już książę Maurycy Saski twierdził, że w Polsce kobiety tylko umieją być mężczyznami, a Bismarck lubił nazywać Polaków kobiecym narodem. Otóż w ogniu ta kobiecość okazała się odporniejszą niż przewidywali nasi wrogowie. Gruba ręka rządowa czuje się bezbronną tam, gdzie spotyka się innego rządu. Sercem prawem można wiele zrozumieć, można walczyć i zwyciężać. To też miło jest odczuć jego drgania tam, gdzie tak często spotykamy tylko suche rozumowanie lub retoryczny ogólnik. W książce „Z zachodnich kresów“ czuć wyraźnie mimo rzeczowości tonu, że sprawy, które się autorowi nasuwają pod pióro, bołą go lub cieszą głęboko, że odziedziczył po dziadku jenerale-poecie Franciszku Morawskim nietylko bezpartyjny umysł, który wśród burz literackich pisał niegdyś spokojny i wesoły list „Do klasyków i romantyków,“ ale że wziął po nim zarazem i gorącą miłość kraju, która w tak urocze barwy ubrała „Dworzec mego dziadka.“ Niech książka niniejsza posłuży za przykład, jakim w obecnych warunkach patryotyzmu polskiego powinno być hasło: „Suaviter in modo, fortiter in re.“

JAN LEMAŃSKI. *Nowenna czyli Dziewięćdziesiąt dziewięć dytyrambów o szczęściu.*
Warszawa—Lwów 1906. Książnica Polska.

Autor *Nowenny* gotów jest wybaczyć ludziom wiele rzeczy ludzkich, nie znosi jednak głupoty, która zawsze największą wy-
rządzała światu krzywdę, bo najbardziej smakowała w lepkiem błocie niedołęstwa i apatyi. Ona też — ta głupota — jest atmosferą, w której najlepiej czuje się *prawdziwe*, tępe filisterstwo współczesne.

Lemański dostrzega je wszędzie, na całym obszarze życia, we wszystkich jego dziedzinach. Mikroby tego filisterstwa, jak mikroby malaryi, zatruwają dziś społeczeństwo od góry do dołu. Wszędzie, gdzie zjawi się jaki taki dostatek materyalny, choroba wkracza przez drzwi otwarte. Dusza ludzka zasypia lub idzie w ką, a hasło

„Używajmy dóbr miluchnie
Aż circumferencya spuchnie,“

rozlega się od urządzonego z przepychem salonu burżuazyjnego, aż do skromnego „ogródka,“ gdzie

. . . gra wiolonczela,
Zdrój wódek. Szampan strzela.
Używa ludek wesela . . .

Poeta nie zjawia się jednak wśród tego rozbawionego i żadnego uciech zmysłowych tłumu, jako wysłannik „armii zbawienia“ lub kwakier, dźwigający biblię pod pachą. Przeciwnie, on śmieje się razem z tym tłumem i śmieje się tak dyskretnie, że chwilami czytelnik może nawet nie poznać, że to śmianie się *z nim razem* jest jednocześnie gorzkim, sarkastycznym wyśmiewaniem jego wad i przywar, jest bolesnym żartem z tego życia, które powie-
działo sobie

„Był jest krótki. Wierz tej tezie!
Zamiast w głupiej tkwić ascezie,
Żyj, używaj, ile wlezie!
Nie znieprawiaj dni goryczą!
Nie peroruj moralniczo,
Nie kłam enót, gdy żądze ryczą!
Młodyś? użyj. Dziad? klep pacierz . . .“

Lemański żartuje ze wszystkiego — nawet z samego siebie. Wszystko rzuca na ogień swoich żywych, czasem kunsztownych, a czasem wprost żartujących sobie ze sztuki rymotwórczej *tercyn*

i z jakąś piekielną werwą podaje nam jedno danie za drugim. Całe życie, jak w kalejdoskopie, przesuwa się przez *Nowennę* i grzmi w tych jednorymowych tercynach dziwnym, niemal histerycznym chichotem.

A jednak, kiedy się książkę odłoży na bok, ten śmiech milknie odrazu. Budzą się natomiast wrażenia i refleksje zupełnie poważne. Odczuwa się, że „dziewięćdziesiąt dziewięć dytyrambów o szczęściu“ są tylko jednym, wielkim wołaniem o *duszę*...

Dajcie człowiekowi duszę, obudźcie ją z odrętwienia, wyprowadźcie ją z zatęchłej atmosfery współczesnego życia społecznego, towarzyskiego, rodzinnego, pozwólcie jej iść na jasne łąki, gdzie pełno kwiatów o zadziwiającej budowie kielichów i o zawrotnym zapachu, gdzie niebo jest pogodne, słoneczne, ciche, gdzie króluje wielka, wspaniała, kojąca Natura.

Dajcie człowiekowi duszę, któraby umiała rozmawiać z Bogiem, piąć się ku szczytom poznania, garnać się ku pięknu, rozlanemu we wszechświecie, ku tajemnicy, przemawiającej do niej głosem nocy gwiazdzistych, szeptem zbóż, rozkołysanych na łanie, pogwarem lasów dalekich.

Dajcie człowiekowi duszę, zdolną kochać i cierpieć, umiejącą prawdziwie czuć i zrywać się do lotów górniejszych.

A wtedy zobaczycie, jak się życie całe odrodzi, jakimi pójdzie drogami, jak otrząśnie się z błota, i przekonacie się, że

. . . „ludów powaga

Rośnie, gdy się w nich duch wzmaga“ . . .

Z. D.

Kronika miesięczna.

Pogrom Siedlecki. — Wzrost anarchii. — Porozumienie stronnictw. — Kultura naszych miast. — Towarzystwo opieki nad pamiątkami historycznymi i zabytkami sztuki polskiej. — Biblioteka publiczna.

Ciężkie chmury, jakie zawisły nad krajem, ani na chwilę nie zostały przebite przez jaśniejszy promień. Przeciwnie—padł z nich nowy piorun.

W Siedlcach rozegrała się krwawa tragedia, przenosząca swojemi rozmiarami wszystko, co działo się dotychczas. Pod hasłem walki z rewolucjonistami odbył się tam pogrom ludności spokojnej i niewinnej. Życie miasta ubogiego, nie odznaczającego się ani w dziedzinie handlu, ani w dziedzinie przemysłu, zostało sparaliżowane na długo. Dobytek ludzki uległ zniszczeniu. Przez trzy dni wzdłuż ulic grzmiały nieustannie salwy karabinowe, a od czasu do czasu towarzyszył im huk armat, które wytoczono dla burzenia domów.

Dzienniki były przepełnione wstrząsającymi opisami, na których podstawie łatwo było sobie odmalować całą grozę położenia nieszczęśliwych siedlczan. Nie powtarzamy tu rzeczy znanych, tembardziej, że o tego rodzaju wydarzeniach trudno jest sądzić na chłodno. Historia dopiero oceni je właściwie i potępi winnych. Dziś można jedynie powiedzieć, że dzieje ludzkości znają wogóle mało podobnych tragedij.

Mimowoli też przypominają się wieki średnie—nieszpory Sycylijskie, noc św. Bartłomieja i rzezie miast, zdobywanych przez nieprzyjaciela. Ale tanto wszystko działo się w epoce tryumfu siły nad prawem, w epoce barbarzyńskiej w porównaniu ze zdobyczami cywilizacji nowoczesnej. Wówczas nie śniło się jeszcze nikomu o „prawach człowieka,“ a dziś—upłynęło już z górą sto lat

od chwili, kiedy te prawa zostały proklamowane przez Wielką rewolucję francuską.

Prawda, że pogrom siedlecki przypadł na czas wznagającej się na całym obszarze państwa anarchii, ale—czyż usprawiedliwia to postępowanie władz wojskowych, które, zgodnie z intencją rządu centralnego, przedewszystkiem powinny dbać o to, aby ludności spokojnej, pracowitej, nie przykładającej ręki do działań wywrotowych—zapewnić bezpieczeństwo życia i mienia. A wśród ofiar katastrofy nie brak kobiet i dzieci, które żadną miarą nie mogły być związane z ruchem anarchistyczno-rewolucyjnym i niczem nie zagrażały ani całości państwa, ani porządkowi ustroju społecznego.

Tragedya Siedlecka wywołała też panikę na całym obszarze Królestwa, bo *hodie mihi, cras tibi*. Powstały też na tem tle potworne pogłoski o pogromach w Radomiu, w Częstochowie, w Brześciu Litewskim, w Będzinie, nawet w Warszawie. Wśród ludności żydowskiej uczynił się popłoch i mnóstwo rodzin opuściło miasta, wyjeżdżając za granicę lub na wieś.

Przedsiębiorczość, która jest dźwignią handlu i przemysłu, musi w takich warunkach upadać. Nikt nie ma odwagi myśleć o interesach, skoro nie jest pewien swojego jutra. W ten sposób wytwarza się tylko atmosfera, która jeszcze bardziej będzie sprzyjała anarchii i tak już rozwielenionej nad wszelki wyraz.

Bo rzecz dziwna. Wszystkie stany wyjątkowe, ochrony wzmocnione, obostrzenia, stosowane tak szczerze w ostatnich czasach, ogromnym ciężarem spadły na ogół i fatalnie odbiły się na całokształcie naszego życia, a w niczem nie przeszkodziły rozwojowi anarchii.

Przeciwnie—im większe są obostrzenia tem śmielszy i bezczelniejszy charakter przybierają wystąpienia bandytów i opryszków, którzy żartują sobie nawet z zaprowadzonych niedawno sądów polowych.

Ten środek ostateczny, do którego uciekł się rząd przed kilku tygodniami, bynajmniej nie przyniósł z sobą pożądanego spokoju.

W chwili, kiedy to piszemy, w kraju wykonano już kilkanaście wyroków śmierci i niema dnia, żeby sądy nie rozpatrywały nowych spraw, których wynik będzie niewątpliwie taki sam, a jednocześnie nie ma dnia, któryby minął bez rozlewu krwi, bez napadu, grabieży, rozboju.

Warszawa jest w tej chwili gniazdem opryszków. W ciągu ostatnich kilku tygodni działalność ich przybrała rozmiary wprost nadzwyczajne, a spryt, z jakim potrafią unikać policyi, zdumiewa.

Najczęściej uchodzą bezkarnie, a w rzadkich wypadkach, kiedy spotkają się z policją oko w oko—walczą z nią przy pomocy browningów i... nieraz zwyciężają.

Nadto działają zawsze na pewno, jakby na podstawie szczegółowo zebranych informacji o tem, kto, kiedy, gdzie i jaką sumę pieniędzy będzie miał przy sobie. Każę to przypuszczać, że bandytyzm organizuje się i ćwiczy specjalnie do swego straszego rzemiosła—tu—w naszym mieście, pod boki władz i w groźnej atmosferze stanu wojennego, który nie przeszkadza mu w niczem, zwracając się całym swoim ostrzem przeciw spokojnej ludności, wziętej w ten sposób, jakby we dwa ognie.

Położenie staje się tem poważniejsze i tem większą budzące zgrozę, że to, co działo się do niedawna w miastach, co było niemal wyłącznym przywilejem dwóch wielkich ognisk naszego życia — Warszawy i Łodzi — rozlewa się teraz szeroką falą na całą prowincję.

Nie tak dawno jeszcze temu prowincya była spokojna. Mieszkańcy jej, którzy chwilowo znajdowali się w Warszawie, opuszczali ją chętnie i z upragnieniem wracali do domu, gdy bowiem w mieście dławiała ich atmosfera, u siebie, na wsi, czuli się bezpieczni. Nawet okres usiłowanych strejków rolnych nie wywołał tam zbyt wielkiego zamętu, nie zatrzymał życia i nie wprowadził do niego czynników rozkładowych. Praca szła normalnie i spokój przerywało chyba zjawienie się jakiego agitatora „uświadamiającego“ lud i podburzającego go przeciw właścicielom większej własności, „pragnącym powrotu pańszczyzny,“ lub — co zdarzało się częściej — wiadomości o krwawych wypadkach w Warszawie mąciły ciszę dworu wiejskiego.

Nagle zmieniło się wszystko. Prowincję objęła trwoga.

Bandyci, których ilość wzrasta z dnia na dzień, przez ciągły dopływ nowych sił, rekrutujących się czy to z odpadków zdemoralizowanych „bojowców“ socjalistycznych, czy z mętów, które w każdym wielkim mieście zawsze są poddostatkiem, a w chwilach takich, jak obecna, staczają się szybko na samo dno—nie poprzestali na Warszawie i Łodzi, ale zaczęli zapuszczać się w głąb kraju.

Kilkanaście dworów wiejskich uległo napadowi i rabunkowi.

Bandy, składające się z kilkudziesięciu ludzi, nocą zjawiły się nagle pod oknami, a skrzepowawszy poprzednio służbę w czworakach, wpadały do dworów i pod grozą śmierci rozpoczynały poszukiwania pieniędzy i kosztowności, a zagrabiwszy, co się dało, zniknęły bezkarnie.

Straż ziemska przyhywała na miejsce wypadku już po wszystkim i rozpoczynała pościg, który żadnych nie dawał wyników.

W ten sposób wieś polska — i to zarówno dwór jak i chata włościańska — wydane zostały na łup opryszkom, zwłaszcza, że władze, jak dotąd, nie chcą słyszeć o zorganizowaniu samoobrony obywatelskiej i bardzo skąpo wydają pozwolenia na broń palną.

Nie dziw też, że pod wpływem tego, co dzieje się obecnie, obywatelstwo ziemskie zaczyna przenosić się na stały pobyt do miast, lub wyjeżdża zagranicę, aby tam doczekać się przesilenia i nastania doby spokojniejszej.

I znów przypominają się wieki średnie... Drogi, pełne zbójców, napady nocne, grabieże, rozboje i zbrodnie, których nie ma końca i które tworzą już tak przerażająco długi łańcuch, że w jego piekielnych oplotach przyjdzie nam zginąć, jeżeli dotychczasowa metoda rządów wewnętrznych nie ulegnie zmianom zasadniczym, to znaczy, jeżeli społeczeństwo nie otrzyma możliwości zorganizowania na własną rękę walki z anarchią.

Że zaś jednym ze środków takiej walki jest niewątpliwie *życie*, płynące normalnym swoim potokiem, to pracowite, wytwórcze życie, które swoim ładem i porządkiem przeciwstawia się rozkładowi, więc zasadniczym postulatem chwili jest przywrócenie temu życiu jego form dawnych przez zniesienie krępujących je ograniczeń i zarządzeń.

Stan wojenny, jak zaznaczyliśmy już powyżej, ani na jotę nie zmienił panujących w kraju stosunków. Okazał się on i okazuje zupełnie bezsilnym w walce nie tylko z anarchią polityczną, ale i z anarchią społeczną, tamuje natomiast swobodę działania tych czynników społecznych, które pragną i mogłyby działać na pożytek kraju i narodu.

Pod tym względem opinia wszystkich naszych stronnictw i partyj, z bardzo małemi uchyleniami, jest prawie jednolita.

To, co stronnictwa narodowe mówiły już oddawna, staje się teraz coraz jaśniejszem nawet dla stronnictw lewicy, sympatyzującej z rewolucją rosyjską, a tem samem tolerującej, pod hasłem walki o prawa ludu, szerzącą się anarchię, jedyny dotychczasowy produkt tej walki.

Spostrzeżono mianowicie, że fala podniosła się za wysoko i że naród zagrożony jest obecnie w najwyższych dobrach swoich — w całym kulturalnym dorobku, opartym na pracy długich wieków. I dziś nie jest już dla nikogo tajemnicą, że jeżeli stan taki potrwa dłużej — to kulturze polskiej grozi zniszczenie, a epoka, która mogła się stać epoką odrodzenia narodowego, będzie dla nas no-

wem, ciężkiem doświadczeniem i znów, zamiast pchnąć nas na przód, zatrzyma w rozwoju.

Świadomość tego niebezpieczeństwa staje się coraz wyraźniejsza i do coraz szerszych kół przenika.

Walka z anarchią i z rozkładem—oto hasło, pod którym zaczynają się skupiać i porozumiewać ze sobą stronnictwa.

Bardzo poważne rokowania wzajemne rozpoczęły już między sobą grupy narodowe.

Czy wyłoni się z tego koncentracja, jak chcą jedni, czy tylko chwilowy kompromis i porozumienie, co do metod działania w pewnych kierunkach—tego w tej chwili przesądzać nie można. Samo jednak dążenie do porozumienia się, do omówienia różnic programowych i taktycznych, jest już objawem pomyślnym i zasługującym na podkreślenie.

Rokowania toczą się obecnie pomiędzy trzema stronnictwami—Stronnictwem polityki realnej, Spójnią i Demokracją narodową. Ewentualnie za przyszłego sojusznika uważać można i nowo kreowaną Polską Partję Postępową (P. P. P.), która jest narodową frakcją Demokracji Postępowej, oddzieloną od niej jeszcze przed wyborami, jako „Związek Demokratyczny.“ Partya ta w ogłoszonym świeżo swoim wyznaniu wiary akcentuje bardzo mocno swój lojalny stosunek do ojczyzny i tem przeciwstawia się Demokracji Postępowej. Poza tem polityczno-społeczny jej program, aczkolwiek okrywa się czerwonym płaszczem „radikalizmu polskiego“ jest w gruncie rzeczy programem umiarkowanym, ewolucyjno-pokojowym, który ma wiele rzeczy wspólnych z programami partyj narodowych już istniejących.

Na uboczu trzyma się jeszcze dotąd jedynie Demokracja Postępową, która tak nieszczęśliwie zapisała się w pamięci ogółu przez niefortunny swój sojusz przedwyborczy. Od tej pory lawiruje ona ciągle i nie ma odwagi odstąpić swojej fizygnomii istotnej. Z jednej więc strony rzuca się z pianą na ustach na „polski nacjonalizm“ Narodowej Demokracji, z drugiej—toleruje i popiera rozwijający się w ostatnich czasach bardzo jaskrawo „nacjonalizm“ żydowski. Jednocześnie kokietuje ciągle z Polską Partją Socjalistyczną i mimo ciągłych afrontów, jakie z tej strony ją spotykają, wyraźnie dąży do tego, aby ją *tam* uważano za cichego współnika. Nie przeszkadza to wszakże tej samej partyi stać na gruncie interesów burżuazji i broniąc zdawkowych haseł postępu, służyć przeżywającemu się liberalizmowi.

Cokolwiek bądź jednak nastąpi — chwila obecna w układzie i organizacyi naszych stronnictw politycznych odegra rolę decydu-

jąca i można mieć nadzieję, że przyszłe wybory do Dumy Państwowej, jakie, według pogłosek ostatnich, mają się odbyć jeszcze w grudniu r. b., odbędą się już pod hasłem, wspólnem wszystkim stronnictwom narodowym, stojącym na gruncie autonomii kraju i pragnącym jego uspokojenia i wyrwania z otchłani anarchii.

I dla tego rokowania, jakie toczą się obecnie, mają doniosłość niepospolitą, od ich wyniku bowiem zależy stworzenie i ustalenie kierunku naszej polityki wewnętrznej na pewien dłuższy okres czasu.

Doba fermentu i walki stronnictw, nietyle o zasady, ile o drobne różnice metodyczne, powinna się skończyć. W okresie tej walki nauczyliśmy się niewątpliwie wielu rzeczy, poznaliśmy swoje siły wzajemne, złe i dobre strony. Czas więc na przyjęcie tego hasła, jakie zawsze i wszędzie prowadziło do zwycięstw: „maszerować oddzielnie, uderzać razem.“

Stronnictwa muszą być i muszą się różnić, ale konieczne jest porozumienie pomiędzy niemi, konieczne chwilowe zawieszenie broni tam, gdzie niebezpieczeństwo jest wspólne i gdzie cel wspólny polega na odwróceniu tego niebezpieczeństwa.

Miejmy nadzieję, że prawda ta stanie się prawdą, uznaną przez wszystkie partie i stronnictwa i że działając wspólnie, potrafią one uratować kraj od ostatecznej ruiny i upadku, ku którym pchają go obłąkane umysły rewolucjonistów *quand même* i — niedołęstwo rządu.

*

*

*

Do jakich rezultatów doprowadziła kraj nasz czterdziestoletnia gospodarka biurokracji rosyjskiej świadczą wymownie *nawet* cyfry „urzędowe,“ zebrane i opracowane przez Centralny Komitet Statystyczny.

Oto garść tych cyfr, którym dobrze jest przyjrzeć się w przededniu spodziewanego samorządu.

Liczba ogólna miast w Królestwie Polskiem wynosi 121, w tem 10 miast gubernialnych i 67 powiatowych.

Względnie do gęstości zaludnienia, miasta te grupują się w sposób następujący: miast z ludnością powyżej 100,000 jest dwa—Warszawa i Łódź,—z ludnością od 20,000 do 100,000 — sie-

demnaście, małych miasteczek z ludnością od 3—20,000 osiemdziesiąt cztery i osad miejskich z ludnością poniżej 3,000 mieszkańców — siedemnaście.

Przeważają więc znacznie miasta mniejsze.

Pod względem narodowościowym w miastach rzuca się w oczy znaczna przewaga ludności żydowskiej, aczkolwiek nie brak i takich miast, w których przeważa ludność polska.

Liczba ogólna miast z przeważającą ludnością żydowską wynosi 86 czyli 80%, z przeważającą ludnością polską 34 czyli zaledwie 28%. Najjaskrawiej pod tym względem wyglądają ziemie: suwalska, siedlecka, radomska, lubelska i łomżyńska.

Statystykę ludności rosyjskiej w miastach Królestwa, dane Komitetu przedstawiają w sposób następujący: w trzech miastach— w Chełmie, Hrubieszowie i Dubience liczba ich dochodzi do 20%, w siedmiu miastach jest Rosyan powyżej 10%, w dziesięciu od 5% — 10%, w pięćdziesięciu dziewięciu od 1 — 5%, w 37 poniżej 1%, w czterech zaś miastach, w Kraśniku, Dąbrowie, Przedborzu i Staszowie—Rosyan nie ma wcale.

Z danych, które charakteryzują gospodarkę miast naszych, pozwolimy sobie przytoczyć najwymowniejsze.

Oto ogromna większość miast Królestwa Polskiego jest jeszcze oświetlona naftą. Elektryczność posiadają tylko miasta: Radom, Częstochowa, Sosnowice i Zawiercie. Z miast gubernialnych najgorzej oświetlone są Suwałki, gdzie jedną latarnię od drugiej dzieli przestrzeń 69 sążni, najlepiej Warszawa, gdzie przestrzeń ta wynosi 12 sążni i Piotrków — 17.

Nie o wiele inaczej przedstawia się i sprawa wodociągów. Oprócz czterech miast gubernialnych Warszawy, Łomży, Lublina i Płocka, oraz pięciu miast pomniejszych, posiadających urządzenia wodociągowe, pozostałe miasta czerpią wodę wprost z rzek i studni. Kanalizację, odprowadzającą ścieki, posiadają tylko Warszawa, Płock, Brześć Kujawski, Końskie i Zamość, w pozostałych zaś miastach praktykowana jest dotąd wywózka nieczystości, dokonywana przeważnie w sposób bardzo pierwotny, nie uwzględniający najkardynalniejszych wymagań higieny.

Sprawa szpitalnictwa przedstawia się już wprost rozpaczliwie. Szpitali brak jest więcej niż w połowie zaludnionych punktów kraju, mianowicie w 58-iu miastach!

Co się zaś tyczy pomocy lekarskiej wogóle, to mieszkańcy Królestwa mają ją zapewnioną w sposób bardzo nierównomierny, bo kiedy w Warszawie 1 lekarz przypada na 750 mieszkańców, w Suwałkach przypada 1 na 3096!

Tramwaje dotąd zaprowadziło u siebie 8 miast, hoteli brak jest w 34 miastach, zgoła żadnych zajazdów niema w 18 miastach, a w tej liczbie nawet w 5-iu powiatowych.

Wszystko to jednak jest jeszcze niczem w zestawieniu ze statystyką t. zw. instytucyj kulturalnych.

Z cyfr, zgromadzonych przez Komitet, dowiadujemy się, że w 53 miastach niema zupełnie żadnych czytelni ani bibliotek, a w liczbie miast pod tym względem upośledzonych, znajduje się jedno z najludniejszych miast gubernialnych — Lublin.

Zakłady naukowe wyższe były tylko w dwóch miastach w Warszawie i w Puławach.

Zakłady naukowe średnie istnieją: męskie w 32 miastach i żeńskie w 23. Szkół średnich w miastach Królestwa jest ogółem męskich 64, żeńskich 30. Szkoły niższe w liczbie ogólnej 90 posiadają wszystkie miasta, szkoły niedzielne istnieją w 68 miastach.

Oto obraz, który bez wdawania się w szczegóły, może napędzić poważną troską obywateli, rozumiejących potrzebę rychłego podźwignięcia kraju na wyższy stopień kultury.

Jakiż ogrom pracy czeka przyszłe rady miejskie! Trzeba budować szkoły, zakładać szpitale, ogrody miejskie, zaprowadzać oświetlenie, kanalizację, wodociągi, wiercić studnie, otwierać czytelnie, tworzyć biblioteki, słowem rozpoczynać pracę kulturalną niemal od samego początku.

Czterdzieści lat ubiegłych, to dla rozwoju naszych miast lata stracone niemal zupełnie. Wiele z nich nietylko, że nie poszło wcale naprzód, ale cofnęło się, w wielu z nich pokasowano dawne szkoły, dawne stowarzyszenia, które do tej pory byłyby się rozwinęły i działalnością swoją krajowi korzyść przyniosły.

Puścizna, jaką rady miast samorządnych otrzymają po magistratach, jest wprost opłakana. Dość jest narysować sobie w wyobraźni przeciętne nasze miasto prowincjonalne i porównać je z takim samym miastem w Niemczech, aby dojść do smutnego wniosku, że jesteśmy w ogonie kultury i że trzeba wielką wysiłków, abyśmy w ciągu kilku dziesiątków lat mogli zaspokoić choćby tylko najpierwsze potrzeby.

A jeżeli tak jest w miastach, które bądź co bądź, jako większe skupienia ludzi, miały większą łatwość w cywilizowaniu się, a nadto w niejednym wypadku korzystały z linii kolejowych (na 121 miast 58 leży przy kolei), będących, jak wiadomo, ważnym czynnikiem w rozprowadzaniu kultury, to o ileż smutnej wygląda wieś polska, odbita od świata, nie posiadająca nawet dróg dobrych i zamknięta w granicach bardzo pierwotnych potrzeb.

I tu samorząd, o ile zostanie wprowadzony w ramach, jakich mamy prawo spodziewać się, i powoła do pracy czynniki społeczne — będzie miał rozległe przed sobą zadania do spełnienia. I tu trzeba będzie zaczynać od samego początku — od rozrzużenia wsi polskiej, od budowania chałup, od krycia ich dachówką ogniotrwałą, słowem od tego, co gdzieindziej zdołało się już dawno zestarzeć, a u nas jest dopiero nadzieją idącej przyszłości...

Do tego jednak, aby społeczeństwo mogło z całym zrozumieniem rzeczy zabrać się do oczekującej je pracy i pracy tej podołać — potrzebne jest należyte przygotowanie, to znaczy z jednej strony rozejrzenie się w tem, co jest do zrobienia najpilniejszego — z drugiej zapoznanie się z najpraktyczniejszymi metodami działania i z całą obszerną literaturą naukową samorządu lokalnego.

Odsunięci od życia publicznego przez długie lata, skrepowani w inicjatywie, niedopuszczani do rządzenia sobą, — zostawiliśmy odłogiem całą tę dziedzinę, dziś więc, kiedy ona otwiera się przed nami, nie możemy stapać po omacku, ale musimy uzbroić się w wiedzę odpowiednią, która uchroni nas od pomyłek i wskaże najwłaściwsze drogi, prowadzące do upragnionego celu.

Obywatele miejscy i ziemscy powinni to mieć na uwadze i starać się zawczasu o rozszerzanie i pogłębianie swoich wiadomości teoretycznych z zakresu gospodarki miast i samorządu wiejskiego, aby z chwilą, kiedy powołani zostaną do działalności praktycznej, mieli oczy otwarte na wszystko i umieli się łatwo w sytuacji zorientować.

*

*

*

Pamiętki naszej przeszłości historycznej, tudzież zabytki naszej sztuki i kultury były u nas narażone na dwojakie niebezpieczeństwo. Z jednej strony rząd rosyjski dążył świadomie do ich niszczenia i usuwania z przed oczu narodu, z drugiej — ignorancja i lekkomyślność jednostek z pośród społeczeństwa polskiego nieświadomie do tej akcyi niszcycielskiej przykładały rękę.

Zwracaliśmy na to uwagę niejednokrotnie, jeszcze w tych czasach, kiedy rzeczy po imieniu nazywać nie było można. Byliśmy też zawsze wyrazicielami tej części opinii, która domagała się oddawna założeń u nas instytucyi, powołanej do czuwania

nad tem, co zostawiły nam w spadku po sobie wieki ubiegłe, wieki wysokiej kultury, do jakiej naród nasz doszedł. Puścizna ta nie jest nadzwyczajnie bogata, kraj bowiem, który przez takie przeszedł nieszczęścia, wiele musiał stracić. Wojny, pożary, grabieże, konfiskaty — wszystko to obracało zamki i pałace w ruinę, gotując zniszczenie tym dziełom sztuki, które znajdowały tam schronienie. Część ich przepadła zupełnie, część została zrabowana, resztki zamożniejsze rody wywiozły za granicę. W kraju pozostało niewiele—tem jednak cenniejsze jest to wszystko, co ocalało, co zdołaliśmy dotąd przechować i co mamy obowiązek przekazać w całości pokoleniom następnym.

Dokładna inwentaryzacja tych zabytków oraz rozciągnięcie umiejętnej pieczy nad niemi, jest też pierwszorzędnej wagi obowiązkiem kulturalnym, jaki dziś ciąży na nas.

Dokonać tego może tylko instytucya, specjalnie do tego powołana. I taka instytucya właśnie powstała. Jest nią zawiązane świeżo z inicjatywy mec. Powichrowskiego „Towarzystwo opieki nad historycznymi pamiątkami i zabytkami sztuki i kultury polskiej.“

Instytucya zakreśla sobie zadanie szerokie. Przedewszystkiem zajmie się ona wyszukaniem rozproszonych po kraju i zarejestrowaniem odnalezionych pamiątek i zabytków. Następnie będzie je gromadziła drogą kupna, darowizn i zapisów, tak, aby mogła z czasem stworzyć własne muzeum.

Dalej Towarzystwo będzie zabezpieczało od zniszczenia środkami technicznymi i prawnymi ruiny polskich zamków i baszt, pomniki, domy starodawne i wszelkie budowle, mające znaczenie historyczne, archeologiczne lub artystyczne, tudzież będzie przedsiębrało wszelkie środki, zapobiegające uszkodzeniu ich i zagładzie.

Nadto jedynie za wiedzą i opinią Towarzystwa będzie mogło być uskuteczniane odnawianie zabytków historycznych nieruchomości, czy to prywatnych, czy też publicznych, miejskich i kościelnych.

Dalsze plany Towarzystwa stanowią: nabywanie na własność nieruchomości pamiątek i zabytków, lub też wyjednywanie u rządu wywłaszczenia ich na użytek publiczny; pomieszczanie na domach i miejscach, upamiętnionych wydarzeniami dziejowymi lub pobytym znakomitych mężów, tablic z odpowiedniami napisami; mianowanie na całym terytoryum swej działalności t. j. wszędzie, gdziekolwiek znajdują się pamiątki i zabytki sztuki i kultury polskiej—korespondentów, działających z ramienia i dla celów T-wa; urządzanie w lokalu Towarzystwa lub w miejscach publicznych odczytów i pogadanek bądź w ograniczonym kole swych człon-

ków, bądź dla szerszych kół publiczności; wydawanie własnego czasopisma lub obranie jednego z istniejących już organów prasy za swój specjalny organ, w którym T-wo pomieszczać będzie prace naukowe swych członków, dotyczące zabytków i pamiątek, oraz peryodyczne sprawozdania ze swej działalności; wreszcie utrzymywanie stosunków z polskimi i zagranicznymi Towarzystwami i instytucjami, których cele są pokrewne celom Towarzystwa.

Jak widzimy jest to szeroki zakres działania, zupełnie odpowiadający potrzebom w tym kierunku, możliwy jednak do urzeczywistnienia tylko przy istnieniu odpowiednich funduszków, to znaczy przy należytem poparciu materyalnem T-wa ze strony całego społeczeństwa.

Członkiem T-wa powinien zostać każdy, komu drogie są pamiątki i zabytki naszej przeszłości. Nie powinno być w kraju takiej okolicy, gdzieby wiadomość o Towarzystwie nie dotarła i gdzie nie znalazłaby się jednostka, popierająca jego cele i dopomagająca mu w pracy. Uczynić to tem łatwiej, że składki członkowskie nowego T-wa są stosunkowo niskie. A więc członkiem założycielem jest każdy, kto na cele T-wa złoży jednorazowo przynajmniej 100 rb., członek protektor płaci rocznej składki przynajmniej 10 rb., a członek zwyczajny tylko *rubla* rocznie. Na tych *członkach zwyczajnych* T-wo byt swój oprze z łatwością, jeżeli staną oni do apelu zwartym szeregiem i stworzą zastęp tak liczny, jaki stworzyć powinni.

*

*

*

Życie przeciwstawia się anarchii przez swoją moc twórczą i dzięki tej mocy pierwiastek ładu i porządku musi zwyciężyć. Niedołęstwo rządu, opaczne środki, których się on chwytą w walce z rozkładem, zwycięstwo to odsuwają, pomimo to wszakże, nawet w ciężkich warunkach obecnych, praca, która prowadzi nas do lepszej przyszłości, rozwija się i posuwa naprzód.

Niema prawie dziedziny, którą inicjatywa ludzi, miłujących prawdziwie swój kraj i naród, pozostawiłaby nieotkniętą. Wszędzie znać ruch wzmożony, wszędzie usiłowania w kierunku twórczym.

Długie lata ucisku cofnęły nas, lub zatrzymały w rozwoju normalnym. Byliśmy społeczeństwem, pozbawionem niemal wszyst-

kiego i dziś czujemy braki na każdym kroku. Zapełnić je — oto zadanie pokolenia, któremu sądzono żyć w dobie przełomu i rzucać podwalinę pod gnach przyszłej pomyślności narodu.

Pomyślność ta zależy jednak przedewszystkiem od *światta*. Dla tego też hasła oświaty znalazły oddźwięk najszerszy i zgrupowały ogromną ilość ludzi, chętnych do pracy i ofiar, dokoła Macierzy Szkolnej. Dla tego też wszelkie projekty, czy dotyczą one instytutu pedagogicznego im. Orzeszkowej, czy kursów naukowych, czy ochron wiejskich — spotykają się z poparciem ogółu.

Między innymi i zawiązujące się *Towarzystwo biblioteki publicznej* ma na celu zdobycie jednego z ważnych środków szerzenia kultury.

Brak biblioteki — naprawdę publicznej i zasobnej w książki ze wszystkich działów nauki, oddawna dawał się Warszawie we znaki.

Stolica kraju, — główny ośrodek jego ruchu umysłowego — posiada dotąd jedynie bibliotekę uniwersytecką, która już przez to samo, że jest uniwersytecką, nie może zaspokoić potrzeb inteligentnego ogółu. Jak wiadomo bowiem, biblioteki uniwersyteckie, są przedewszystkiem bibliotekami dla profesorów i studentów, normują więc swoje zbiory potrzebami poszczególnych katedr i to w tych wyłącznie kierunkach, w jakich dany profesor pracuje, co przy współczesnej specjalizacji wiedzy upośledza pewne działy jednej i tej samej nauki na rzecz innych. Dalej — profesorowie uniwersytetu warszawskiego w przeważnej swojej liczbie nie odznaczali się ani szerokimi horyzontami, ani zbyt wielkim zapalem do wiedzy. Jako urzędnicy, wykładali to, co zawiera program, nauki jednak naprzód nie popychali, a stąd mało zwracali uwagi na to, czy ich „warsztaty“ są w porządku. I nie koniec na tem. Uniwersytet warszawski, który był raczej narzędziem polityki rusyfikacyjnej, niż wyższą szkołą w istotnem rozumieniu rzeczy, wielu katedr nie posiadał, a stąd są całe gałęzie wiedzy, które przez nikogo na tym uniwersytecie nie były uprawiane, a więc nikt nie dbał o gromadzenie książek odpowiednich.

Największą jednak przeszkodą, tamującą zbliżenie się do tej biblioteki społeczeństwa polskiego, obok wspomnianego już jej charakteru urzędowo-rosyjskiego, jest ograniczona ilość godzin, w ciągu których biblioteka funkcjonuje. Jest ona mianowicie otwarta jedynie od 10 rano do 3-iej po poł., i rzecz naturalna, że cały zastęp ludzi, którzy w tym czasie pracują na chleb, nie może korzystać wcale z księgozbioru naukowego, zamkniętego nadto na siedem pieczęci podczas feryj Wielkanocnych, Bożego Narodzenia i długich wakacyj letnich.

Obok biblioteki uniwersyteckiej istnieją wprawdzie w Warszawie dwa jeszcze bogate księgozbiory: ordynacyi Zamoyskich i ordynacyi Krasińskich, ale są one bibliotekami prywatnymi i rzecz zrozumiała, że właściciele pozwalają tam pracować jedynie uczonej specjalistom. Nadto oba księgozbiory mają bardzo cenny i bogaty materiał w dziedzinie historyczno-literackiej, zaś nauki przyrodnicze, społeczne i ekonomiczne są tam z natury rzeczy reprezentowane słabo.

Tymczasem właśnie w dziedzinie tych nauk w ostatnich latach ruch wzmógł się bardzo i prawdopodobnie nadal w jeszcze szybszym tempie wzmagać się będzie.

Stworzenie więc wielkiej książnicy, która byłaby dla wszystkich dostępna, a nadto posiadałaby dzieła z zakresu wszystkich nauk ważniejszych—ma dla Warszawy znaczenie niepoślednie.

Jeżeli dziś praca naukowa nie rozwija się u nas należycie, to winna jest temu nietylko szkoła rosyjska, która myśl naukową celowo zabijała w swoich uczniach, ale i brak odpowiedniego warsztatu do takiej pracy.

Warsztatem takim jest zaś *dobra biblioteka* i od niej zależeć będzie w niemałym stopniu przyszłość naszego ruchu naukowego.

Przed rokiem podaliśmy na tem miejscu wiadomość o zamiarach p. S. Smolikowskiego, który bogate zbiory swoje pragnął umieścić w specjalnie na ten cel zbudowanym gmachu i oddać je na użytek publiczny. W tym celu został już nabyty obszerny plac przy zbiegu ulic Pięknej, Mokotowskiej i Kruczej i gdyby nie czasy niezwykłych wstrząśnień, jakie przeżywamy, być może, że budowa gmachu byłaby już rozpoczętą. W każdym razie jest to rzecz, która prędzej czy później będzie urzeczywistnioną. Należałoby więc, aby Towarzystwo biblioteki publicznej porozumiało się przedewszystkiem z p. Smolikowskim, a kto wie, czy jego usiłowań nie da się połączyć z usiłowaniami grona osób, występujących obecnie z inicjatywą stworzenia wielkiej biblioteki publicznej. Gdyby porozumienie do skutku nie doszło, w takim razie społeczeństwo będzie miało do spełnienia zadanie o wiele trudniejsze i większych wymagające środków, ale nie zawaha się zapewne przed żadną ofiarą, aby cel upragniony osiągnąć. Znajdą się niewątpliwie hojni ofiarodawcy, którzy bądź wezmą na siebie skompletowanie poszczególnych działów biblioteki, bądź przekażą jej własne zbiory, bądź wreszcie wesprą Towarzystwo środkami materialnymi.

Tą drogą Warszawa za lat kilka może mieć nowe ognisko pracy umysłowej, odpowiadające jej potrzebom wielostronnym i dostępne nietylko dla uczonych zawodowych, ale i dla tego szerszego koła inteligencji, która zajmuje się nauką o tyle, że pragnie wiedzieć o tem, co się w jej świecie dzieje. Nadto przyszła biblioteka publiczna powinna mieć także obszerną czytelnię *popularną*, zaopatrzoną nawet w czasopisma bieżące, tak, aby każdy obywatel mógł tam wejść i znaleźć odpowiedni dla siebie pokarm duchowy.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO WYŻSZYCH KURSÓW NAUKOWYCH W WARSZAWIE. —
Od dawna brak wyższej uczelni polskiej w Warszawie, był najdotkliwszym niedostatkiem kulturalnym, jaki wytworzyły anormalne warunki kraju. Dziś brakowi temu, chociaż w części, zapobiega nowa instytucja, nosząca powyższy tytuł. Kursa naukowe zorganizowane zostały, dzięki energicznej pracy kilku jednostek i rychło się rozwinęły. Już w roku zeszłym miały miejsce wykłady w dwóch sekcjach: technicznej i przyrodniczej. Teraz utworzyła się sekcja humanistyczna i z dniem 1 października, wszystkie trzy oddziały, obejmujące całokształt nauk, zaczęły funkcjonować. Powodzenie, jakim się cieszyły wykłady przyrodnicze w roku zeszłym, każe się spodziewać, że i teraz społeczeństwo odniesie się życzliwie do instytucji i licznymi zapisami da możliwość utrzymania nadal i coraz to szerszego rozwijania tego pierwszego polskiego prywatnego uniwersytetu w Warszawie.

Towarzystwo Kursów Naukowych, bo tak oficjalnie brzmi jego nazwa, dla wypełnienia głównego swego celu: rozpowszechniania wiadomości naukowych wśród szerszych warstw społeczeństwa, urządzać zamierza: oprócz systematycznych wykładów naukowych z dziedziny językoznawstwa, historii, literatury, sztuki, prawa, ekonomii i nauk społecznych, filozofii, pedagogiki, nauk matematycznych, przyrodniczych i technicznych,—jeszcze konwersatoria naukowe na tematy z powyższych dziedzin, ćwiczenia praktyczne w pracowniach naukowych Tow. Kursów Nauk. lub w innych instytucjach, prace seminaryjne i wycieczki naukowe.—Podział nauk na humanistyczne, przyrodnicze i techniczne, przyjęty w wykładach K. N., nie odpowiada przyjętym dotąd w uniwersytetach klasyfikacyom na wydziały, jest jednak o wiele racjonalniejszy, bo odpowiada najbardziej rozpowszechnionym klasyfikacyom umiejętności, co do których nie stosują się uniwersytety, jako instytucye dawniej powstałe.

W sekcji humanistycznej na semestr 1-szy zimowy 1906/7 ogłoszono następujące wykłady:

A. Językoznawstwo. 1. Wstęp do językoznawstwa ogólnego, p. *K. Appel*. 2. Rozwój języka polskiego, p. *A. A. Kryński*. 3. Ojaśnienie zażytków języka polskiego, p. *A. A. Kryński*. 4. Fiziologia mowy na podstawie polszczyzny, p. *T. Benni*. 5. Wykład naukowy języka francuskiego, p. *K. Appel*. 6. Język angielski, p. *T. Benni*.

B. Historia. 1. Dzieje kultury pierwotnej, p. *L. Krzywicki*. 2. Historia słowian od czasów najdawniejszych do końca X wieku, p. *K. Wachowski*. 3. Seminaryum historyczne, p. *K. Wachowski*. 4. Dzieje Polski do r. 1296, p. *St. Kętrzyński*. 5. Dzieje Polski od 1296 do 1505, p. *Z. K. Kochanowski*. 6. Dzieje Litwy i Rusi w epoce Jagiellonów, p. *J. Jakubowski*. 7. Seminaryum historyczne, p. *J. Jakubowski*. 8. Czasy Saskie, p. *Wł. Konopczyński*. 9. Wielka rewolucya francuska równolegle ze współczesną historją Polski (1788—1804), p. *T. Korzon*. 10. Dzieje Księstwa Warszawskiego, p. *J. Bujasiński*. 11. Historia polityczna Europy 1814—1834 r., p. *M. Sokolnicki*.

C. Nauki pomocnicze historyczne. 1. Dyplomatyka ogólna ze szczególnem uwzględnieniem polskiej, p. *St. Kętrzyński*. 2. Ćwiczenia z paleografii, p. *J. Kochanowski*.

D. Teorya i historia literatury i sztuki. 1) Historia sztuki i archeologia, p. *W. Trojanowski*. 2. Złoty wiek literatury staropolskiej, p. *Ig. Chrzanowski*. 3. Wskazówki do badań hist. liter., objaśnianie autorów XVI w., p. *Ig. Chrzanowski*. 4. Wskazówki do szkolnego nauczania hist. i lit. polskiej oraz do wypracowań, p. *Ig. Chrzanowski*. 5. Prądy literatury zachodnioeuropejskiej w drugiej połowie XIX st., p. *Władysław Jabłonowski*.

E. Prawo i ekonomia społeczna. 1. Prawo polityczne i konstytucye współczesne, p. *Br. Bouffał*. 2. Prawo handlowe, p. *K. Dunin*. 3. Samorząd i autonomia, p. *H. Konic*. 4. Nowoczesna polityka kryminalna, p. *E. Rappaport*. 5. Historia prawa karnego polskiego, p. *M. Handelsman*. 6. Ekonomia polityczna, p. *Wł. Studnicki*. 7. Rozwój historyczny teoryj ekonomicznych, p. *St. Bukowiecki*.

F. Filozofia. 1. Wstęp do filozofii, p. *Wł. M. Kozłowski*. 2. Filozofia Kanta, p. *J. Lewkowicz*. 3. Seminaryum (z filozofii Kanta), p. *J. Lewkowicz*. 4. Filozofia współczesna, p. *Wł. M. Kozłowski*.

Na sekcji fizyko-matematycznej ogłoszono następujące wykłady:

A. Przedmioty matematyczne. 1. Wstęp do analizy, p. *T. Sierpiński*. 2. Analiza algebraiczna (ciąg dalszy), p. *S. Dickstein*. 3. Geometrya analityczna przestrzeni, p. *L. Zarzecki*. 4. Geometrya analityczna płaszczyzny, p. *L. Zarzecki*. 5. Kurs matematyki dla przyrodników, p. *S. Dickstein*. 6. Teorya liczb, p. *T. Sierpiński*. 7. Rachunek nieskończoności, p. *S. Dickstein*.

B. Przedmioty przyrodnicze. 1. Biologia ogólna dla nowowst., p. *J. Sosnowski*. 2. Biologia ogólna c. d., p. *J. Sosnowski*. 3. Fiziologia (nerwy, mięśnie, zmysły), p. *J. Sosnowski*. 4. Embryologia porównawcza, p. *J. Tur*. 5. Zoologia dla nowowst., p. *J. Tur*. 6. Zoologia c. d., p. *J. Tur*. 7. Botanika. Morfologia, p. *Z. Wóycicki*. 8. Botanika. Ćwiczenia z morfol., p. *Z. Wóycicki*. 9. Botanika. Anatomia dla nowowst., p. *Z. Wóycicki*. 10. Mineralogia, p. *Z. Wey-*

berg. 11. Geologia dynamiczna, p. *J. Lewiński*. 12. Paleontologia, p. *J. Lewiński*. 13. Fizyka (ciepło i część światła), p. *S. Kalinowski*. 14. Chemia nieorganiczna, p. *T. Miłobędzki*. 15. Chemia organiczna cz. II, p. *J. Bielecki*. 16. Antropologia zoologiczna, p. *K. Stołyhuo*. 17. Antropologia etniczna, p. *L. Krzywicki*. 18. Logika, p. *A. Mahrburg*. 19. Psychologia dla nowowst., p. *A. Mahrburg*. 20. Psychologia c. d., p. *A. Mahrburg*.

Na sekyi technicznej ogłoszono wykłady:

A. Ogólne. 1. Uzupełniający kurs matematyki średniej, p. *K. Bagiński*. 2. Rachunek różniczkowy i całkowity, część I-sza, p. *Z. Straszewicz*. 3. Rachunek różniczkowy i całkowity, p. *Z. Straszewicz*. 4. Geometria analityczna, p. *Czopowski*. 5. Mechanika techniczna, p. *Radziszewski*. 6. Geometria wykreslna, p. *Faterson*.

B. Specyalne. 1. Części maszyn, p. *Lisiecki*. 2. Technika ciepła, p. *Okolski*. 3. Zarysy elektrotechnik, cz. II: maszyny, przyrządy i instalacje, p. *Pozaryski*. 4. Próby materyałów budowlanych: wykład i zajęcia praktyczne, p. *Szczeniowski*. 5. Wytrzymałość materyałów teoretyczna, p. *Obrębowicz*. 6. Termodynamika, p. *Czopowski*. 7. Statyka budowlana I: ustroje statycznie wyznaczalne, p. *Grabowski*. 8. Statyka budowlana II: ustroje statycznie niewyznaczalne, p. *Grabowski*. 9. Zesłady żelazne w zastosowaniu do budownictwa, p. *Jenike*. 10. Konstrukcyje budowlane, p. *Domaniewski*. 11. Formy architektoniczne, p. *Heurich*. 12. Kompozycya architektoniczna, pp. *Marconi* i *S. Szyller*. 13. Historia architektury średniowiecznej, p. *Dziekoński*. 14. Statyka wykreslna z ćwiczeniami, p. *Milkowski*. 15. Kolejnictwo, p. *Wasintyński*. 16. Geologia, p. *Kontkiewicz*. 17. Krystalografia, p. *Sioma*. 18. Mineralogia, p. *Sioma*. 19. Technologia chemiczna ogólna, p. *B. Miklaszewski*.

Towarzystwo K. N. składa się z Zarządu, do którego wchodzą pp.: Chełchowski Kazimierz, Chrzanowski Ignacy, Drzewiecki Piotr, Eberhardt Julian, Kryński Leon, Natanson Józef, Osuchowski Antoni, Ruśkiewicz Tomasz i Świętochowski Andrzej. Zarząd zajmie się sprawami administracyjnymi i organizacyjnymi. Poza tem jest Rada naukowa, składająca się z osób, wykładających na kursach. Dzieli się ona na trzy sekye, które zajmują się sprawami naukowymi i pedagogicznymi, wchodzącymi w zakres specyalności każdej sekyi. — Faktycznie jednak, wobec niemożności zwoływania pełnej Rady naukowej wszystkich jej członków, naukowymi sprawami Towarzystwa zarządza prezydium złożone z przewodniczącego Rady naukowej (*S. Dickstein*), sekretarza (p. *Z. K. Kochanowskiego*) i prezesów i delegatów od poszczególnych sekyj, mianowicie: z sekyi humanistycznej, jako prezes *T. Korzon*, jako delegat *A. Kryński*; z sekyi fizyko-matematycznej, jako prezes *S. Dickstein*, zastępujący go wiceprezes *Jan Lewiński*, i jako delegat *Mahrburg*, z sekyi zaś technicznej przewodniczący jej inż. *K. Obrębowicz*.

Członkiem Tow. K. N. zostaje każdy, kto zechce płacić 10 rs. rocznie i zostanie przez Tow. przyjęty.

F. P.

— TOWARZYSTWO OPIEKI NAD HISTORYCZNYMI PAMIĄTKAMI I ZABYTKAMI SZTUKI I KULTURY POLSKIEJ. Kiedy na całej powierzchni Europy czynione są usiłowania ochrony zabytków przeszłości i ich naukowego opracowania, kiedy sama Galicya ma dwa grona konserwatorów zabytków: wschodnie i zachodnie, (oprócz Komisji Historii Sztuki przy Akademii i Towarzystwa Miłośników Krakowa), tu, w Królestwie, nie było dotąd ani jednego organu naukowego, któryby roztaczał opiekę nad wpadającymi w ruinę zabytkami, naukowo je opracowywał. Dotychczasowa zaś opieka państwowa spełniała w tym kierunku tylko rolę złej macochy. To też uważać należy za wielką zdobycz kulturalną i naukową, pozwolenie zorganizowania w Warszawie tak ważnej instytucji, bez której żadne społeczeństwo, przeszłość kulturalną mające, już dziś się nie obywa. I mieć należy nadzieję, że nawet wśród zawieruchy politycznej piękna myśl inicjatorów Towarzystwa w społeczeństwie naszym uszanowaną zostanie i należyte znajdzie poparcie. Według ogłoszonej drukiem ustawy Towarzystwo (nie wiemy, jaką alfabetyczną kombinację sobie wybierze T. O. N. H. P.), ma na celu zabezpieczanie i chronienie zabytków sztuki kultury polskiej od uszkodzeń i zagłady. W tym celu Towarzystwo 1) wyszukuje i inwentaryzuje pamiątki i zabytki polskiej sztuki i kultury; 2) gromadzi pomienione zabytki drogą kupna, darowizn, zapisów i t. p.; 3) otacza opieką, zabezpiecza od zniszczenia środkami technicznymi i prawnymi ruiny zamków i baszt, pomniki, domy starodawne i wszelkie budowle, mające znaczenie historyczne, archeologiczne lub artystyczne, i przedsięwzię wszelkie środki, zapobiegające uszkodzeniu ich i zagładzie. Nadto odnawianie zabytków artystycznych i pamiątek historycznych nieruchomych, czy to prywatnych czy też publicznych, miejskich i kościelnych, jedynie za wiedzą i opinią Towarzystwa skutecznym być może; 4) nabywa na własność nieruchomości pamiątki i zabytki, lub też wyjednywa u Rządu wywłaszczenie ich na użytek publiczny; 5) pomieszcza na domach i miejscach upamiętnionych wydarzeniami dziejowymi lub pobytom znakomitych mężów tablice z odpowiednimi napisami; 6) mianuje na całym terytorium swej działalności, gdzie się okaże potrzeba, korespondentów, działających z ramienia i dla celów Towarzystwa; 7) urządza w lokalu Towarzystwa lub w miejscach publicznych odczyty i pogadanki bądź w ograniczonym kole swych członków, bądź dla szerszych kół publiczności; 8) prenumeruje fachowe czasopisma i gromadzi dzieła celom Towarzystwa odpowiednie, dla użytku Zarządu i członków Towarzystwa; 9) wydaje własne czasopismo, lub obiera jeden z istniejących już organów prasy za swój specjalny organ, w którym Towarzystwo pomieszczać będzie prace naukowe swych członków, dotyczące zabytków i pamiątek, periodyczne sprawozdania ze swej działalności i poszczególnych swych członków oraz sprawozdania z ogólnych Zgromadzeń Towarzystwa; 10) utrzymuje stosunki z polskimi i zagranicznymi Towarzystwami i Instytucjami, których cele są pokrewne celom Towarzystwa.

Członkowie założyciele wnoszą po 100 rb., protektorowie po 10 rb., zwyczajni po rublu. Zarząd składa 15 członków, z których 9 ma być fachowców.

Jedynym brakiem, jaki w ustawie dopatrujemy, to brak prawa, któreby pozwalało Towarzystwu zabraniać nawet właścicielom dowolnych przebudówek, gdy ci z nieumiejętnością do takowych przystępują. Miejmy nadzieję, że

z czasem i ten konieczny dla dopięcia celów Towarzystwa warunek przyznany mu zostanie.

F. P.

N O W E K S I A Ź K I.

— TEKI A. PAWIŃSKIEGO T. VII. Księgi sądowe brzesko-kujawskie (1418—1424), opracował i wydał *I. K. Kochanowski*. Warszawa, 1905. 8-o, str. XXI + 631.

Jak wiadomo po ś. p. Pawińskim pozostało wiele rękopisów, częściowo przygotowanych do druku i czekających na odpowiednie opracowanie. Z materiałów tych wydano dotąd sześć tomów, z których 3 zawierają księgi sądowe łączycykie, dwie „kwitancye“ Aleksandra i Kazimierza Jagiellończyka, a jeden dyaryusz sejmowe: 1581, 1681 i 1726. Obecnie ukazał się siódmy z kolei tom, w którym opublikowano księgę brzesko-kujawskich zapisek sądowych z lat 1418—1424, (właściwie połowę tej księgi, gdyż całkowita obejmuje lata od 1418 po 1430). Nie jest to najdawniejsza księga brzesko-kujawska. Jest ona właściwie czwartą z kolei. Archiwum główne w Warszawie posiada trzy dawniejsze, z których najstarsza zawiera podobno zapiski sięgające dalej w przeszłość, bo aż do 1381 roku. Zazwyczaj, przystępując do ogłaszania drukiem zapisek sądowych, wydawcy zaczynają od najdawniejszych — usprawiedliwia się więc we wstępie p. Kochanowski ze swego wyboru i tłumaczy go brakiem wiadomości o dawniejszych księgach w „Tekach Pawińskiego.“—W przyszłości zamierza on ogłosić i te najdawniejsze pomniki prawa i wewnętrznych dziejów ziemi kujawskiej. Obecnie z wielką skrupulatnością, uwzględniając wszystkie „szykany wydawnicze,“ ogłasza zapiski od 1418 — 1424, t. j. za przeciąg lat sześciu. W obszernej przedmowie wyjaśnia on przyjętą przez siebie metodę wydawniczą. I tu za zasługę wydawcy poczytać należy, że nie zastosował do swego wydawnictwa dość ogólnie przyjętego zwyczaju streszczenia zapisek. Każde bowiem streszczenie wnosi element subiektywny do wydawnictwa i zacieśnia ramy jego późniejszej użyteczności, gdyż w przyszłości zjawić się mogą kwestye dziś zgola w nauce nie przewidziane. Drugą wielką zasługę wydawcy i dowód ogromnej jego pracowitości, stanowią świetne indeksa. Nie mówiąc już o indeksie osobowym, który przedstawia wielkie trudności, znane tylko osobom z wydawnictwami podobnemi mającym do czynienia, wskazać należy na wielce wyczerpujący indeks rzeczowy, dzięki któremu każdy badacz, czy to historyk, czy prawnik, w labiryncie 4072 zapisek łatwo będzie się mógł zorientować. Mamy nadzieję, że po wydaniu tomu 4-tego zapisek brzesko-kujawskich, autor, włożywszy tyle tak mozolnego trudu w świetne opracowanie zapisek 1418—1424, zechce zużytkować ten pozyskany zasób znajomości lokalnych stosunków, a także wyzyskać swoje doświadczenie w technice wydawniczej tak świetnie w tym tomie uwydatnione, aby corychlej przystąpić do ogłoszenia najdawniejszych ksiąg brzesko-kujawskich, które wraz z już ogłoszonym tomem stanowią mogą nieoceniony materiał historyczny, prawny i obyczajowy.

Nie bądźmy jednak zbyt wymagającymi: to, co tom niniejszy zawiera, jest już bardzo wiele. Zresztą nie posiadamy pewności, czy najdawniejsze księgi wielce się różniły od ogłoszonej teraz drukiem. Autor we wstępie wyraża zdanie, że przy konserwatyzmie wieków średnich, okres jednego pokolenia, parę dziesiątków lat, nie mógł uwydatnić na tle właściwego materiału dziejowego różnice poważniejsze.

Praca niniejsza została chlubnie odznaczona przez Kasę Mianowskiego, jako najlepsze dzieło związek z historią mające, a ogłoszone przez Królewską w przeciągu lat 1903, 1904, 1905, do czego przywiązana jest nagroda Rb. 600.

F. P.

— ANTYKWARYAT POLSKI w Warszawie pod firmą *Hieronim Wiler i Sp.* wydał pierwszy swój katalog p. t. *Historja Polski*. Katalog ten obejmuje 1100 numerów. Dobór dzieł historycznych tutaj zebranych, oraz dokładne jego opracowanie, chlubne daje świadectwo Antykwaryatowi, który stawia sobie zadanie „zapobiegania butwieniu naszych druków i obrazów oraz nie wypuszczania rzeczy cenniejszych poza granice kraju,“ a poza tem obiecuje uskutecznić w miarę możności przedruki dzieł rzadkich, odbitki rycin nieznanych, a przede wszystkim udostępniać uczonym naszym źródła swoje i obce, zbieraczom zaś ułatwiać gromadzenie poszukiwanych rzeczy.

Główny zrząd Antykwaryatu Polskiego stanowią jak dotąd: dublety bib. Ord. Kraśińskich, bib. Ord. Zamoyskich, księgozbiór dr. Stan. Krysińskiego, gen. A. hr. Tolstoja i niedawno zmarłego lingwisty prof. Ant. Kaliny. Poza tem dublety biblioteki Ossolińskich we Lwowie zasilą wkrótce Antykwaryat kilkunastu tysiącami tomów.

Pora, w której założono tak potrzebną dla nauki instytucję w Warszawie, jest może niezbyt dla jej rozwoju odpowiednią, trzeba jednak wierzyć, że założyciele czasy złe przetrwają i nie zrażą się małym zainteresowaniem, jakie dziś budzi wśród ogółu ich praca.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— CZASOPISMO LEKARSKIE. Lipiec. Sierpień. St. Markiewicz (Warszawa): Uwagi dotyczące organizacji ochrony zdrowia i pomocy lekarskiej w różnych grupach zawodowych;—St. Ronthaler (Warszawa): Badanie słuchoł w szkołach;—W. Jasiński (Łódź): Przyczynek do kazuistyki ropni miednicowych u dzieci;—J. Brudziński i H. Trenkner (Łódź): Przyczynek do leczenia płonicy surowicą przeciwploniczą (z 11 rysunkami);—H. Nowak (Częstochowa): Zasady walki ze śmiertelnością niemowląt (dokończenie);—Korespondencye;—Tow. Lekarskie prowincjonalne;—Kronika.

— NOWINY LEKARSKIE. Sierpień. Zembrzusi (Warszawa): W sprawie operowania w przypadkach ran postrzałowych czaszki z uwięzieniem kuli w mózgu;—J. Hornowski (Warszawa): O znaczeniu inoskopii przy rozpoznawa-

niu cierpień jamy brzusznej;—Dział sprawozdawczy;—Ruch w Towarzystwach;—Przegląd polskiej prasy lekarskiej;—Odcinek;—Rozmaitości.

— OGNISKO. Lipiec. W. Załęski: Kwestya robotnicza i socyalizm;—M. Rej, R. Wrzesień: Schadzka, nowela;—Ż. Różycki: Jasne dusze, wiersz;—M.: Bunt wojskowy podczas rewolucyi. Ze wspomnień dziejowych;—Dramat w Klondyke;—Or-Ot: Pieśń o dziejach naszych, wiersz;—Polowanie z aparatem fotograficznym na krokodyla, przełożyła H. O.;—B. Rogaczewski: Wrażenia z wycieczki po Szwajcaryi;—D. K.: Z bajek dalekiego wschodu, nowela;—Myśliwy bez rąk;—M. Koblane: Niezwykłe przygody Lupina;—Pod słońcem afrykańskim w Abisynii;—Fr. Galiński: Łów pereł, wiersz;—Dzieje deputowanego, nowela, z franc. Med.;—E. Żmijewska: Sprawy kobiece;—Duchy i widma;—Rozmaitości.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. T. III. Zesz. 2. Wrzesień i październik. Al. Brückner: Próbkę najnowszej krytyki historycznej, dokończenie;—X. Władysław Szcześniak: Rzekoma bytność legatów Leona IX, Papieża, na Rusi w r. 1054;—Maryan Goyski: Sprawa zastawu ziemi dobrzyńskiej przez Władysława Opolczyka i pierwsze lata sporu (1391 - 1399). Szkic historyczny (2. Tytuł prawny posiadania i legalność zastawu. 3. Wojna i dalsze matactwa), ciąg dalszy;—Władysław Smoleński: Szkice z dziejów szlachty mazowieckiej (Sprawa drobnej szlachty w XVIII w.);—M. Sokolnicki: Generał Michał Sokolnicki a drugi legion naddunajski (1799—1802), (1. Sprawa legionowa. 2. Wojna nad Renem);—A. Kraushar: Z tajnego archiwum senatora Nowosilcowa. (Lojalna historia Rzymu profesora Zinserlinga). Kartka z dziejów szkolnictwa za Królestwa Kongresowego (1819—1824);—Szymon Askenazy: Przegląd dziejów wewnętrznych Rosyi (1815—1830), dokończenie;—N. Michalewicz: O prawie przyzwalania krewnych na pozbywanie nieruchomości w Wielkopolsce aż do ustawodawstwa Kazimierza Wielkiego (2. Przedmioty prawa przyzwalania), ciąg dalszy;—Stefan Gorski: Towarzystwo naukowe plockie;—Sprawozdania: Henri Hauser: 1 Przegląd najnowszej historyografii francuskiej (ostatnie pięćdziesiąt lat), dokończenie.

— PRZEWODNIK ZDROWIA. Sierpień. Kąpiel powietrzno-słoneczna i jej znaczenie dla zdrowia naszego;—Sposoby zabezpieczenia mleka od kwaśnienia i przepisy zdrowotnego obchodzenia się z mlekiem;—Głosy z koła czytających: Dziecko zatrute medycyną!—Przestrogi i Rady;—Rozmaitości;—W dodatku: O krzyżującej niedorzeczności i strasznej szkodliwości szczyptenia ospy.

— WIADOMOŚCI PASTERSKIE. Sierpień. Ks. A. Szymański: O szczególniejszych zadaniach katolicyzmu w Polsce;—Ks. F. Klein: Dawniejsze i dzisiejsze naznaczenie biskupów;—Ks. A. Orchowski: Duszoznawstwo w pracy kapłańskiej;—Zagadnienia teologiczno-pasterskie;—Prawo i liturgia;—Trybuna wolna;—Piśmiennictwo.

B I B L I O G R A F I A.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA. — NAUKI SPOŁECZNE.

BEBEL AUGUST: Antysemityzm i socjalizm w Niemczech. Przekład Zofii Libkind-Lubodzieckiej. Warszawa, 1906. Skład główny w księg. Powszechnej. 8-o, str. 46.

HERZEN A., DR.: Wiedza a obyczajność. (Słowo do młodzieży męskiej). Odczyt wygłoszony w Genewie i Lozannie przez ... Opatrzony wstępem prof. dr. Adolfa Harnaka i prof. dr. Fr. Brentano, spolszczył E. J. Warszawa, 1906. Skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 43.

KAUTSKY KAROL: Etyka w świetle materyalistycznego pojmowania historii. Szkic. Bibl. Naukowa. Warszawa, 1906. 8-o, str. 150.

KOPYCIŃSKI ADAM, Ks. DR.: O sakramencie pokuty. Według zasad św. Alfonsa i innych znakomitych autorów. Opracował ponownie ... Wydanie nowe. Przemyśl, 1905. Skł. gł. w księg. „Kron. Rodz.” w Warszawie. 8-o, str. XVI + 535.

Ks. PRAWDZIC: Lud a duchowieństwo. Warszawa, 1906. Skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 136.

RENOUVIER K.: O obowiązkach społecznych człowieka i obywatela. Z nowego wydania, ogłoszonego z notatką o Karolu Renouvier. Przez J. Thomasa. Przełożył Konrad Drzewiecki. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 220.

STERN I.: Materyalizm dziejowy i teoria nadwartościowa Karola Marxa (w wykładzie popularnym). Przełożył A. T. Warszawa, 1906. Skład główny w księg. Powszechnej. 8-o, str. 47.

H I S T O R Y A.

BERG MIKOŁAJ, PROF.: Zapiski o polskich spiskach i powstaniach. Przekład z rosyjskiego. Warszawa, 1906. Bibl. Dz. Wyb. № 444, 445. 8-o, cz. V str. 131, cz. VI str. 131.

BONIECKI ADAM: Herbarz polski. Tom IX. Zeszyt VII. Od Karczewscy—Karpowie. 4-o, str. od 241 do 280.

KAREJEW M., PROF.: Podręcznik historii nowożytnej z mapami historycznymi. Przekład z ostatniego wydania oryginału dokonany z upoważnienia autora przez Wł. Bukowińskiego. Warszawa, 1906. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. głów. w księg. E. Wende i S-ka. 8-o, str. VII + 328.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Dwa szkice historyczne z czasów Stanisława Augusta. Biblioteka Dzieł Wyborowych № 389 i 390. Warszawa, 1905. 8-o, str. 124 + 120.

KUMANIECKI KAZIMIERZ WŁADYSŁAW: Cechy rękodzielnicze w Krakowie. Osobne odbicie z zeszytu IX statystyki m. Krakowa. Kraków, 1906. 8-o, form. duży, str. 37.

MORAWSKI SZCZĘSNY: Aryanie polscy. (Z 8 rycinami.) Lwów, 1906. Nakł. autora. Kraków, Skł. gł. Gebethner i Sp. 8-o, str. XXVII + 564.

POWSTANIE NARODU POLSKIEGO 1830 — 1831 R. W świetle krytyki mocarstw europejskich. Z rękopisów przełożył na język polski * ** *. Kraków, 1906. Nakł. „Wydawnictwa pism politycznych.“ 8-o, str. 144.

RAKOWSKI KAZIMIERZ, DR.: Powstanie Poznańskie w 1848 roku. (Z mapką i 4-ma podobiznami dokumentów w tekście).

SCHERR J.: Z krwawych dni (Komuna paryska). Przełożył z niemieckiego I K. Warszawa, 1906. Bibl. Dzieł Wybor. № 443. 8-o, str. 131.

WIPPER R., PROF.: Historia wieków średnich w zarysie. Z mapami historycznymi. Przełożył Stefan Ehrenkretz. Warszawa, 1907. Wydawn. St. Kucharskiego. „Biblioteka Naukowa.“ 8-o, str. 379.

HISTORIA LITERATURY.

BIBLIOTEKA ZAPOMNIANYCH POETÓW I PROZAIKÓW POLSKICH XVI—XVII W. Zeszyt XXII. Listy brata do siostry. (Kardynała Denhoffa do wojewodziny Kątskiej) 1686 — 1697. Warszawa, 1905. Wydał Teodor Wierzbowski (z zapomogi Kasy Mianowskiego). 8-o, str. 32. — Zeszyt XXIII, Jerzego Dzieciszewskiego, Traktat o elekcji królów polskich z r. 1707. Warszawa, 1906. 8-o, str. 21.

GRABOWSKI TADEUSZ DR.: Z dziejów literatury kalwińskiej w Polsce (1550—1650).

JABŁONOWSKI WŁ.: Dwaj wiecy patryoci włoscy (Giuseppe Mazzini i Giuseppe Garibaldi). Odbitka z „Myśli Polskiej.“ Warszawa, 1906. Nakł. „Myśli Polskiej.“ Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 40.

TENŻE: Gorkij Maksym. (Szkic literacki.) Warszawa, 1906. Nakł. księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 54.

NITOWSKI JAN: Zarys historii literatury polskiej. Napisał ... Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 246.

NOWACZYŃSKI ADOLF: Oskar Wilde. Studium. Aforyzmy. Nowele.

WIERZBOWSKI TEODOR: Komisya Edukacyi Narodowej, 1773—1794. Zeszyt 7. Raporty szkoły wydziałowej poznańskiej, składane Szkole Głównej w latach 1777—1789. Z zapomogi Kasy Mianowskiego. Warszawa, 1905. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 8 o, str. 285.

PRAWO. — EKONOMIA POLITYCZNA.

B. G., A. S. i C. G.: Tablica porównawcza współczesnych konstytucyj Anglii, Australii, Francji, Belgii, Holandyi, Niemiec, Prus, Austro-Węgier, Szwajcaryi, Włoch, Hiszpanii, Portugalii, Serbii, Rumunii, Grecyi, Danii, Szwecyi, Norwegii, Stanów Zjednoczonych Ameryki Póln., Japonii. Warszawa, 1906. Skł. główny w księg. G. Centnerszvera i Sp.

GRUŻEWSKI BOLESŁAW: Sądownictwo królewskie w pierwszej połowie rządów Zygmunta Starego.

SOMBART WERNER: Fryderyk Engels 1820—1895. Karta z dziejów rozwoju socjalizmu. Warszawa, 1907. Nakł. Księg. Popularnej. 8-o, str. 61.

TENŻE: Kwestya robotnicza w przemyśle. Z upoważnienia autora przełożył Bohdan Wasiutyński. Warszawa, 1906. Nakł. księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 180.

WASIUTYŃSKI BOHDAN: Administracya lokalna Królestwa Polskiego (1807—1905) wobec samorządu ziemskiego.

F I L O L O G I A.

BENNI TYTUS: Spostrzeżenia w dziedzinie polskiego sandhi. Odbitka z III-go tomu „Materiałów i Prac komisji językowej Akademii Umiejętności w Krakowie“ 1905.

NAUKI PRZYRODNICZE.

LOEB JACQUES, prof. fizjologii w Chicago. Wstęp do fizjologii i psychologii porównawczej. Przekład z wydania niemieckiego, uzupełniony podług wydania angielskiego, d-ra Zygmunta Szymanowskiego. Słowo wstępne Adama Mahrburga. Z ilustracyami. Nakład Księgarni Naukowej. Warszawa, 1906. 8-o, str. 238.

ROSTAFIŃSKI JÓZEF, DR.: Botanika na biologicznej podstawie. Kurs II. Ogólny. Z tablicą barwną i 416 rycinami w tekście. Wydanie trzecie. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 200.

P O W I E Ś Ć. — P O E Z Y A.

ANDRZEJEW LEONIDAS: Ku gwiazdom. Dramat w czterech aktach. Przełożyła z rosyjskiego Campo. Warszawa, 1907. Nakład Księg. Powszechnej. 8-o, str. 117.

BYTKOWSKI ZYGMUNT: Ines de Kastro. Dramat w czterech aktach. Lwów, 1906. Nakładem księgarni H. Altenberga. Skł. główny w Warszawie E. Wende i Sp. 8 o, str. 163

GLIŃSKI KAZIMIERZ: Gady. Powieść z XIV w. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 422.

LEMAŃSKI JAN: Ofiara królowy. Powieść fantastyczna. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 195.

ROGOWICZ WACŁAW: Proscenium. Warszawa, 1906. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. podł., str. 147.

RÓŻNYMI SZLAKI: Noworocznik literacki młodzieży kijowskiej. Z przedmową Kazimierza Przerwy Tetmajera. Kijów, 1906. Skład głów. w księg. L. Idzikowskiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 4-o, str. 164.

RÓŻYCKI ZYGMUNT: Pocałunki. Poezye. Serya III. Warszawa, 1906. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbrandów i S-ów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 4-o, form. mały, str. 91.

VOSS RYSZARD: Willa Fakowieri. Przekład M. Łaganowskiej. Tom I i II. Warszawa, 1906. Bibl. Dz. Wyb. № 446, 447. 8-o, tom I str. 131, tom II str. 160.

WROŃSKI HENRYK: Rozbrzaski. Warszawa, 1906. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 111.

PEDAGOGIA. — PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

BARANIECKI MARYAN A.: Krótka arytmetyka z wielu zadaniami w dwu częściach. Napisał ... Część druga. Wydanie drugie. Warszawa, 1906. Nakładem M. Arcta. 8-o, str. 134.

BERGER HUGO: English prose reader. Wypisy angielskie dla zakładów naukowych komercyjnych i technicznych oraz do użytku domowego z dodatkiem krótkiego zarysu historii literatury angielskiej, poezyi, geografii Anglii, zbiór listów handlowych i prywatnych. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa.

BUHLE, DR.: Na czem opiera się wychowanie. Opracował Józef Muklanowicz. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. Ks. dla wszystkich № 276. 16-o, str. 67.

FELDBLUM M., DR.: Algebra elementarna. Warszawa, 1906. Nakł. księg. L. Fiszer. 8-o, str. VI+500.

GALLE HENRYK: Wypisy polskie. Część wstępna. Z 40-ma obrazkami. Warszawa, 1906. Nakład M. Arcta. 8-o, str. 256.

JESKE AUGUST: Gramatyka języka polskiego. Wyłożył (w wydaniu 1-ym i 2-im) ... Wydanie jedenaste podług pisowni autorów „Wielkiego Słownika języka polskiego.“ Opracowali Fl. Łąg. i Zb. Kam. Wydanie III-cie było zalecone przez Ministerium Oświaty. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 200.

KRASNOWOLSKI ANTONI: Krótka gram. polska. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 106.

KRASNOWOLSKI ANTONI: Przenośnie mowy potocznej. Cz. I. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. Ks. dla wszystkich № 297. 16-o, str. 228.

OSTERLOFF WALDEMAR: Biblioteka autorów niemieckich dla średnich zakładów naukowych z objaśnieniami i słownikiem niemiecko-polskim. Ułożył ... Tom I. Bajki. Opracowane podług Fryderyka Lehmensika. Warszawa, 1906. Nakł. księg. L. Fiszer. 8-o, str. 24 + słownik str. 17.

— Tom II. Uriel Akosta. Dramat w pięciu aktach Karola Gutzkowa. 8-o, str. 86 + słownik str. 79.

— Tom III. Dziewica Orleańska. Romantyczna tragedia Fryderyka Schillera. 8-o, str. 152 + słownik str. 45.

— Tom IV. Robinson Kruzoe. Opracowany podług Fryderyka Lehmensika. 8-o, str. 78 + słownik str. 38.

— Tom V. Opowiadanie o wojnie Trojańskiej. Opracowane podług Nesselta. 8-o, str. 23.

TENŻE: Kurs metodyczny nauki języka niemieckiego. Ułożył ... Stopień IV. Warszawa, 1906. Nakł. księg. L. Fiszer. 8-o, str. 168.

— Stopień V. Warszawa, 1906. Nakł. księg. L. Fiszer. 8-o, str. 201.

SPRAWY SZKOLNE I WYCHOWAWCZE: Odczyty wygłoszone w wydziale wychowawczym Warszawskiego Towarzystwa Hygienicznego. Serya pierwsza. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 163.

THOMAS STANISŁAW: Teorya arytmetyki. Ułożył ... Część II ułamki zwyczajne i dziesiętne (do zadań części III-ej). Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 107.

TENŻE: Zbiór zadań arytmetycznych. Część III. Zadania na ułamki zwyczajne (do teoryi arytmetyki cz. II-ej). Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 102.

M E D Y C Y N A. — H Y G I E N A.

BĄCZKIEWICZ JAN, DR.: Jak ochraniać dzieci od chorób zakaźnych. Napisał ... Aprobowane przez Radę Towarzystwa Hygienicznego. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. Ks. dla wszystkich № 329. 16-o, str. 95.

COMBY JULES: Podręcznik chorób dzieci. Tom III. Choroby układu nerwowego. Choroby mięśni. Choroby narządu krążenia. Choroby narządów moczopłciowych. Choroby narządów zmysłów. Choroby skóry. Choroby płodu. Z IV przejrzanego i uzupełnionego wydania spolszczył dr. Józef Zawadzki. Bibl. lek. rok IV. Tom XIV. Warszawa, 1906. Nakł. Bibl. lekarskiej. 8-o, str. 385 + V.

FOREL AUGUST, dr. medycyny, filozofii i praw b. prof. psychiatrii. Zagadnienia seksualne, roztrząsane ze stanowiska nauk przyrodniczych, psychologii, higieny i socjologii. Przełożone z niemieckiego przez d-ra Władysława Witwickiego, doc. uniw., prof. Tadeusza Witwickiego i prof. Witolda

Schreibera. Lwów, 1906. Nakład Księgarni Polskiej B. Połanieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, tom I str. 470, tom II 425, z licznymi rysunkami na 6 tablicach.

P U B L I C Y S T Y K A.

CH. I., ks.: Bezrobocie rolne w oświeteniu najswiezszych doświadczeń. Napisał ... Przedruk z „Mazura.“ Płock, 1906. 8-o, str. 38.

KAUTSKY KAROL: Kwestya rolna w Rosyi. Z niemieckiego przetłómaczył L. Skarżyński. Wyd. Heleny Gorskiej. Kijów, 1906. 8-o.

SZECH ANTONI: W sprawie Mankietnictwa. Kraków, 1906. 8-o, form. podl., str. 30.

